

Kochanowicz Małgorzata

Poszukiwana

Śmierć

14 września 1904 r. – środa rano

Inspektor Kurz stał nad Wisłą i patrzył ponuro na brzeg, tam gdzie twarzą do ziemi leżał mężczyzna. Wczesnym rankiem spostrzegli go podążający do pracy robotnicy i czym prędzej powiadomili policję.

Inspektor wolno przeniósł wzrok na zachmurzone niebo. Poczuł zimny powiew wiatru. Postawił kołnierz marynarki.

Była poranna szaruga, kiedy z twardego snu wyrwało go natarczywe pukanie. Powoli wstał z łóżka i otworzył drzwi. Na progu stał żandarm Teodor Mauer. Zdenerwowanym głosem próbował wyjaśnić, dlaczego tak wcześnie pojawił się w mieszkaniu inspektora. Niepotrzebnie usprawiedliwiał swoje najście, albowiem kilka miesięcy wcześniej Kurz wydał swoim ludziom polecenie, aby ci niezwłocznie informowali go o każdym niecodziennym wydarzeniu.

Żandarm plątał się tak długo, aż poirytowany Kurz kazał mu zamilknąć. Z potoku słów zrozumiał tylko, że gdzieś nad Wisłą znaleziono ciało mężczyzny.

Kurz ubrał się w pośpiechu. Nie zdążył zjeść, wypić kawy ani się ogolić. Zarzucił na siebie marynarkę, zapominając o płaszczu. Nie lubił dni, które rozpoczynały się zbyt wcześnie i nerwowo.

Jechali w ciszy, uśpionymi ulicami Krakowa, ledwo widoczni w otulającej miasto porannej mgle.

W miarę jak zbliżali się do Wisły, mgła gęstniała. Nad samą wodą przysłaniała drugi brzeg. Na Kurzu ten widok nie zrobił żadnego wrażenia. Inspiracji mógłby dostarczyć tylko artyście.



Kurz potarł dłonią nieogolony podbródek. Zastanawiał się nad przyczyną śmierci. Prawdopodobnie był to wypadek. Mężczyzna spacerował brzegiem Wisły, nieszczęśliwie się poślizgnął i wpadł do wody. Gdyby te przypuszczenia się potwierdziły, można by od razu zamknąć sprawę.

Skupiony na tych rozważaniach, inspektor nie zauważył, kiedy na skarpie pojawił się siwowłosy mężczyzna. Był to Emil Godlewski, lekarz policyjny.

– Piękny poranek – mruknął.

– Ano – odpowiedział Kurz.

Ostrożnie zeszli na brzeg.

Lekarz pochylił się nad denatem. Obrócił go na plecy i zamarł. Godlewski – człowiek głęboko wierzący – szybko się przeżegnał.

– Mój Boże, przecież to jeszcze dziecko... – wyszeptał. – Przed nim było całe życie – dodał ze smutkiem.

Odmówił krótką modlitwę i dopiero potem przystąpił do oględzin.

Chłopak był schludnie ubrany, czysty. Ani śladu brudu pod paznokciami. W oczy rzucały się jedynie bosa stopy – poranione tak, jakby krótko przed śmiercią szedł bez butów po kamienistej lub żwirowej drodze.

Zamyślony Godlewski podrapał się za uchem. Dotknął przegubów chłopca, obejrzał dokładnie głowę.

Pięć minut później wiedział już prawie wszystko. Wyprostował się. Otrzeptał kolana

z ziemi.

Kurz popatrzył na doktora uważnie.

– Co pan o tym myśli? Wypadek?

Godlewski pokręcił głową.

– Raczej nie.

Tymi słowami pogrzebał nadzieje Kurza na szybkie zamknięcie sprawy.

– Za wcześnie na jakiegokolwiek wnioski, ale jednego jestem pewien. To nie był wypadek – powiedział, podnosząc palec w charakterystycznym geście. – Zastanawiające jest to, że chłopak ma ślady na przegubach dłoni. Myślę, że miał ręce związane grubym sznurem. Był więziony. Może próbował uciec? – snuł na głos przypuszczenia.

Inspektora interesowała jeszcze jedna rzecz.

– Kiedy nastąpił zgon?

Tym razem musiał dłużej czekać na odpowiedź.

– W tej chwili trudno jednoznacznie określić. Sądzę, że nie później niż dwa dni temu...

– Czyli w poniedziałek?

– Być może.

Inspektor się zamyślił. Był dzieckiem Krakowa i ze swym rodzinnym miastem niemal się nie rozstawał, jeśli nie liczyć krótkich wyjazdów do Lwowa, gdzie mieszkała jego siostra.

Przez lata walczył z falą zbrodni, grzebał się w ludzkich sprawach i dramatach, ocierał się o śmierć. Coraz częściej pojawiała się myśl, że jego wysiłki są daremne. Ludzie zabijali od zarania dziejów, kierowani różnymi pobudkami, czasami ocierającymi się o śmieszność. Przeszawał ich rozumieć.

Zastanawiał się, czy nie nadszedł już czas, aby to wszystko rzucić i poszukać sobie spokojniejszego zajęcia. Z drugiej strony nie wiedział, czy potrafiłby żyć bez dreszczyku emocji towarzyszącego każdej sprawie.

Odegnął ponure myśli.

Jego wzrok powędrował w stronę położonych pod Wawelem malowniczych dworków, teraz prawie niewidocznych we mgle.

Skinął na żandarma, który stał na brzegu i odganiał ciekawskich gromadzących się tutaj na widok policyjnych mundurów. Był to Tomasz Plaskota, niemłody już mężczyzna, poważnie podchodzący do swoich obowiązków. Kurz wiedział, że może powierzyć mu każde zadanie.

Plaskota podszedł i stuknął obcasami. Z trudem panował nad drżeniem. Stał tu przeszło godzinę, wystawiony na zimne porywy wiatru.

– Słucham, panie inspektorze?

Kurz patrzył na niego z wyrozumiałością.

– To robota akurat dla ciebie – rzucił.

Żandarm wyprostował się służbiście. Kurz rzadko chwalił swoich ludzi, tak naprawdę Plaskota nie pamiętał, czy usłyszał z ust inspektora kiedykolwiek pochwałę, dlatego słowa, które padły, potraktował, jako swoistą tego formę.

Plaskota czekał na dalsze polecenia.

– Pójdiesz tam – Kurz wskazał dworki – i przepytasz mieszkańców. Może ktoś zauważył coś szczególnego.

– Tak jest...

Plaskota odwrócił się, gotowy natychmiast wykonać polecenie.

Nie zdążył odejść, bo zatrzymał go głos Kurza.

– Poczekaj.

– Tak?

– O wszystkim, co istotne, masz mnie natychmiast informować.

Stanisław Wereszyński

14 września 1904 r. – środa po południu

Przed szóstą Witold Korczyński, szczupły mężczyzna o lekko siwiejących włosach, z ulgą wkroczył do wynajmowanego od ponad czterech lat mieszkania. Ten położony przy ulicy św. Sebastiana neorenesansowy pałacyk ze stylowym ogrodem, murkiem i zielenią wychodzącą na ulicę urzekł architekturą.

Witold bardzo chwalił sobie ten dom, przede wszystkim ze względu na dogodne położenie – stąd wszędzie było blisko. I na Rynek, i na Kazimierz.

Na twarzy Witolda błąkał się uśmiech. Mężczyzna był zadowolony z pracowitego dnia, chociaż ten okazał się dla niego męczący. W dość krótkim czasie rozwikłał zagadkę, z którą cesarsko-królewska policja nie mogła poradzić sobie przez kilka tygodni. Odnalazł cenny, należący do znamienitej krakowskiej rodziny naszyjnik, który zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Sprawcami kradzieży okazali się dwaj lwowiacy. Złodzieje zawitali do Krakowa na gościnne występy, skuszeni zapewne pojawiającymi się tu i ówdzie informacjami o zamożności jego mieszkańców.

Witold, który podszedł do tej zagadki metodycznie, musiał przyznać, że ludzie inspektora Kurza do pewnego momentu podążali dobrym tropem.

Wraz z rozwojem zawilego śledztwa zgubili jeden wątek. Jak się później okazało – istotny.

Właściciel naszyjnika, Ksawery Urlepsi, niekrył swej radości, kiedy Witold wczesnym popołudniem odwiedził go i oddał mu cenną pamiątkę. Na znak wdzięczności poczęstował Witolda koniakiem trzymanym na specjalne okazje.

Witold wypił tylko dwie lampki. W normalnych okolicznościach nie odczułby działania alkoholu tak szybko, lecz po nieprzespanej nocy i pełnym napięcia dniu zasumiało mu w głowie.

Kwadrans przed piątą pożegnał się. Zanim jednak trafił do domu, odwiedził inspektora Kurza, aby zdać mu relację z wyników śledztwa.

Panów łączyła niepisana umowa. Jak czas pokazał – korzystna dla obu stron. Na początku jednak nic nie wskazywało na to, że dojdzie między nimi do jakiegokolwiek współpracy. Przed czterema laty pewne zdarzenia zmusiły inspektora Kurza do podjęcia wobec Witolda zdecydowanych działań. Inspektor postawił Witoldowi twarde warunki, nakazując mu jak najszybciej opuścić Kraków. Korczyński musiał zastosować się do tego polecenia.

Prowadzona przez niego wówczas sprawa Żuawa Śmierci została zamknięta. A przynajmniej wszystko na to wskazywało. Witold zdołał przesunąć swój wyjazd o kilka dni tylko po to, aby pożegnać się z Emilią Hornowską, młodą kobietą wplątaną zupełnie przypadkowo w śledztwo.

W Prądniku, gdzie Hornowska spędzała czas w dworku swojej ciotki, hrabiny Ledóchowskiej, Witold przekonał się, że zarówno on, jak i inspektor popełnili błąd. Cena tej pomyłki była wysoka. Odniesiona przez Witolda rana była na tyle poważna, że musiał pozostać w Krakowie ponad wyznaczony przez Kurza termin. Żaden z nich jednak wtedy nawet nie przypuszczał, że pobyt Witolda w Krakowie przedłuży się aż tak bardzo.

Po kilkutygodniowej kuracji, kiedy szykował się do wyjazdu, przez Kraków przeszła bowiem fala kradzieży.

Kurz był bezradny. Chcąc ratować dobre imię ck policji, zwrócił się o pomoc do Witolda,

którego działań nie ograniczała potężna machina rządząca c.k. dyрекcją policji. Dzięki temu szybko poradził sobie z tą sprawą.

Inspektor w zamian za tę drobną przysługę zaproponował Witoldowi pewien układ. Mężczyzna, któremu nie uśmiechał się wyjazd z Krakowa, przystał na te warunki.

Najbardziej ucieszyła się gosposia Korczyńskiego, Jadwiga Małecka. Pulchna kobieta zachodziła w głowę, gdzie znajdzie nowe zajęcie i jak dalej sobie poradzi. Nie była już młoda i zdawała sobie sprawę, że nikt nie przyjmie jej na służbę. Groźba biedy nie pozwalała jej spać. Co prawda Witold obiecywał, że nie zostawi jej samej, ale nie miała pewności, czy tak rzeczywiście będzie.



Witold nie zdążył nawet zdjąć kapelusza, kiedy Jadwiga zaatakowała go potokiem słów.

– Zniknął pan na dwa dni, znaku życia nie dawał. Gdzie pan znów chodził? Mógł pan chociaż przez ekspresa przysłać jakąś wiadomość, to bym była spokojniejsza. Ale pan nie, zajęty swoimi śledztwami, zapomniał jak zwykle o całym bożym świecie. – Przerwała, żeby zaczerpnąć oddechu.

– Poprawię się – zażartował.

Jadwidze wcale nie było do śmiechu. Miała nie lada problem. Przez kilka chwil biła się z myślami. Wszystko zaczęło się w poniedziałek. Rano, kiedy Witold jeszcze spał, do mieszkania zapukał ekspres. Przyniósł list. Jadwiga nie chciała budzić gospodarza, więc odłożyła list do szuflady. Potem najzwyczajniej w świecie o nim zapomniała. Witold zaś zniknął i nie pojawił się w domu przez następne dwa dni.

Teraz Jadwiga obawiała się, czy w liście nie było jakiejś ważnej wiadomości, której adresat nie otrzymał przez jej roztargnienie. Wiedziała jedno – list przysłała kobieta, gdyż kopertę skropiono perfumami, których zapach nawet teraz jeszcze był odczuwalny.

Przez kilka chwil gosposia patrzyła w milczeniu na Witolda.

Raz kozie śmierć, pomyślała. Trzeba się przyznać.

– List do pana przyszedł – powiedziała cicho.

Podeszła do kredensu i otworzyła szufladę.

– List? – Witold spojrzał na Jadwigę uważnie. – Może z Londynu?

W jego głosie zabrzmiała nutka nadziei.

Od pewnego czasu Witold słał listy do Benjamina Fletchera, prawnika i finansisty w jednej osobie. Nie wiadomo, dlaczego mężczyzna, który zajmował się między innymi pośrednictwem w sprzedaży udziałów w spółkach, a z którego usług Witold nie raz już korzystał, od blisko roku nie dawał żadnego znaku życia. Niepokoilo to Witolda z prostego powodu. Fletcher zarządzał jego udziałami w kopalni Kimberly, w założonej w 1888 roku spółce De Beers Consolidated Mines Ltd. Witold nabył je przed laty, w czasach, kiedy zaangażował się w wojnę burską. Teraz jego sytuacja finansowa nie przedstawiała się najlepiej, więc chciał się ich pozbyć.

– Od kobiety – wyjaśniła krótko Jadwiga, rozwiewając tym samym nadzieje Witolda.

– Od kobiety? – powtórzył bezwiednie.

Obejrzał dokładnie kopertę.

– Zapomniałam – usprawiedliwiła się szybko.

Stał zamyślony.

– Nie otworzy pan? – spytała, ciekawa, kto jest autorem listu.

Witold zagłębił się w fotelu. Wolno rozerwał kopertę. Przebiegł wzrokiem treść listu.

– Od kogo? – gosposię zżerała ciekawość.

Nie raczył odpowiedzieć. W jednej chwili zniknął jego dobry humor.

Jadwiga westchnęła. Mieszkała z tym człowiekiem ponad cztery lata, ale nadal go nie rozumiała. Niby nie mogła na niego narzekać. Płacił jej więcej, niż powinien, pozwalał na wiele, nie wtrącał się zbytnio do prowadzenia domu, rzadko zwracał na coś uwagę. Ale bywały takie dni, kiedy wołała zejść mu z drogi. Nagle, zupełnie niespodziewanie, wpadał w dziwny nastrój. Nie lubiła, kiedy był tak zamknięty w sobie, nieobecny, niezdający sobie sprawy z tego, gdzie jest i co się wokół niego dzieje.

– Od kogo jest list, panie Witoldzie? – powtórzyła pytanie.

– Od Heleny – mruknął.

– Od naszej pani Heleny? – W głosie Jadwigi zabrzmiała nutka radości.

Przez te lata przewinęło się przez dom na św. Sebastiana kilka kobiet. Jedne zostawały krócej, inne dłużej. Żadna nie zagrzała miejsca na stałe.

Jadwiga była rozdarta. Patrzyła na te miłosne przygody Witolda z pewnym niesmakiem, bo jak to tak można żyć z kobietą – pod jednym dachem, ale bez ślubu. Z drugiej strony, pokonując własne uprzedzenia, życzyła Witoldowi jak najlepiej.

Równie zaniepokojony był Henryk Winiarski, stary przyjaciel rodziny, opiekun Witolda w czasach, kiedy ten studiował w Oksfordzie. W przeciwieństwie do Jadwigi mężczyzna nie krył swego niezadowolenia. Raz w chwili gniewu wypomniał Witoldowi sercowe przygody.

– Te miłostki kiedyś cię zgubią – rzucił.

– Nie jestem mnichem – usłyszał w odpowiedzi.

Jadwiga najbardziej polubiła Helenę Małachowską, którą Witold przywiózł z Lwowa, gdzie przed dwoma laty, na początku 1902 roku, spędził prawie pięć miesięcy, rozwiązując zagadkę morderstwa znanego bankiera.

Helena była szczupłą kobietą o delikatnych rysach twarzy i pięknych oczach. Mieszkała na św. Sebastiana prawie pół roku. Nie wyglądało to na kolejną przelotną znajomość.

Jadwiga widziała, że jest im razem dobrze. Witold więcej czasu spędzał w domu, prowadzone sprawy nie pochłaniały go już tak bardzo. Wydawało się, że wszystko zmierza w dobrym kierunku, a ślub jest tylko kwestią czasu, kiedy ku całkowitemu zaskoczeniu gosposi Helena z dnia na dzień zniknęła z ich życia. Odeszła, a w domu zrobiło się pusto.

Jadwiga stała teraz przy drzwiach i w milczeniu patrzyła na pochmurną twarz Witolda.

– Nie będę już panu potrzebna?

Nie odpowiedział.

Wiedziała swoje. Chciał być sam.

– W takim razie wychodzę.

Chociaż nie spytał dokąd, poczuwała się do obowiązku, aby wyjaśnić.

– Idę do kościoła. Potem zajdę do kumy, Bartasiakowej.



Kiedy za Jadwigą zamknęły się drzwi, Witold jeszcze raz, tym razem uważnie, przeczytał list.

Od paru miesięcy jestem w Krakowie. Kraków to małe miasto, więc nie raz i nie dwa widziałam cię z oddali. Ale nie śmiałam podejść. Przykro mi, że nasza znajomość skończyła się tak nagle. Musisz mnie zrozumieć. Z pewnych względów nie mogłam wówczas postąpić inaczej. Teraz, z perspektywy czasu i pewnych zdarzeń, zaczynam dostrzegać, że to był błąd. Nie śmiem prosić cię o pomoc, ale...

List urywał się. Ostatnie słowo napisane zostało niewyraźnie. Czyżby ręka trzymająca

pióro zadrżała?

Zawieszona w próżni „ale” mogło oznaczać wszystko.

Nieco poirytowany Witold zmiął kartkę papieru.

Aż do teraz był przekonany, że znajomość z Heleną jest rozdziałem zamkniętym.

Daremnie jednak próbował odgonić wspomnienia. Zagłębiając się w obrazach z przeszłości, zatracił poczucie czasu. Ocknął się, kiedy zegar wybił siódmą.

Jak ktoś wyrwany z głębokiego snu spojrzął na pogniecioną kartkę. Rozprostował ją powoli. Jego myśli uparcie krążyły wokół ostatniego zdania.

Nie śmiem prosić cię o pomoc, ale...

– Dosyć – mruknął.

Co mnie obchodzą twoje problemy, Heleno.

Wstał i podszedł do okna. Patrzył na smutną o tej porze ulicę. Wiatr targał gałęziami drzew. Padał deszcz. Gdzieś obok przejechała dorożka, jeszcze długo było słychać miarowe uderzenia kopyt o bruk.

Usiłował sobie przypomnieć, dlaczego cztery lata temu zdecydował, że zamieszka w Krakowie. Pozostawił za sobą Paryż z jego hałasem i gwarem, nowoczesne miasto o niepowtarzalnym klimacie, i wybrał życie na obrzeżach Europy, w ubogim, przeludnionym Krakowie, z jego małomiasteczkowymi problemami.

I z ludźmi, których poglądy pozostawiały wiele do życzenia. Ludźmi wrogo nastawionymi do przybyszów z ziem carskich. Witold nie odczuł tej wrogości na własnej skórze, chociaż sam pochodził z Warszawy, tylko dlatego, że mało kto wiedział o jego korzeniach. Oczywiście spotykał tutaj i osoby o otwartym umyśle, śmiało i z nadzieją patrzące w przyszłość.

Myśli Witolda powędrowały w stronę Emilii Hornowskiej. Ta młoda kobieta, dusza towarzyskich spotkań, bezgranicznie wierzyła w odzyskanie przez Polskę niepodległości oraz w to, że Wawel zostanie oddany w ręce jego prawowitych gospodarzy. To, co dla innych było tylko sennym marzeniem, dla niej było czymś realnym. Aktywnie włączała się w akcje związane z odnową dawnej rezydencji królów – miejsca, gdzie po krążgankach wędrowały duchy przeszłości. Witold pamiętał, jak pod hasłem „Składka centowa na odnowę Wawelu” rozdawała wśród znajomych gliniane skarbonki. Sam wrzucił do jednej z nich kilka banknotów.

Ciotka Emilii, hrabina Ledóchowska, za sprawą bratanicy często zapraszała Witolda do swojego salonu przy rynku. Witold szczególnie upodobał sobie organizowane raz w tygodniu wieczorki poetyckie, na których omawiano najnowsze trendy nie tylko w polskojęzycznej literaturze.

Zasmakował w panującej tam rodzinnej atmosferze i nigdy nie odmawiał. Wszystkie sprawy schodziły na dalszy plan – nawet te, które szczególnie zajmowały jego myśli. W tym świecie bez agresji i przemocy, z którymi obcował na co dzień, czas płynął leniwie. Zdarzało się, że rozmowy trwały do późnych godzin.

Kiedy przed paroma miesiącami Emilia wyjechała do rodzinnego Włocławka, aby zaopiekować się chorym ojcem, okazało się, że nikt nie potrafi prowadzić dyskusji tak jak ona. Spotkania powoli zatracaly swój charakter, a po kilku tygodniach zamieniły się w zwykłe czytanie na głos fragmentów powieści. Witold wciąż otrzymywał zaproszenia, ale korzystał z nich bardzo rzadko, aż w końcu zupełnie przestał tam bywać.

Nie oznaczało to jednak, że zerwał z hrabiną wszelkie kontakty. Ledóchowska szanowała Witolda za to, co zrobił dla jej bratanicy. Czuła się więc w obowiązku podtrzymywać tę znajomość, chociaż z biegiem czasu coraz rzadziej znajdowali wspólny język. Hrabina oczywiście wiedziała, czym Witold się zajmuje i nieraz, niby w żartach, wypomniła mu, że człowiek tak inteligentny jak on powinien znaleźć inne, porządne zajęcie. Któregoś dnia Witold

nie wytrzymał i zachowując odpowiednie formy, grzecznie, ale stanowczo oświadczył, że to on decyduje, jak ma przeżyć swoje życie. Potem żałował wypowiedzianych w gniewie słów.

Oderwał myśli od rodziny Ledóchowskich.

Podszedł do serwantki, gdzie stała taca z napojami. Nalał do kieliszka solidną porcję alkoholu. Pił drobnymi łyżkami i patrzył na zakupiony dwa lata temu fortepian. Dzięki Helenie przypomniał sobie kilka melodii, których w dzieciństwie nauczyła go matka.

Nie był dobrym muzykiem i wiedział o tym, dlatego grał rzadko, na wyraźną prośbę Heleny. Ona w przeciwieństwie do niego umiała wydobyć z instrumentu niepowtarzalne dźwięki. Kiedy odeszła bez słowa wyjaśnienia, w pierwszym odruchu chciał sprzedać instrument, pozbyć się jednej z rzeczy, które przypominały mu o niej. Ale nie znalazł kupca i porzucił ten pomysł. Odkrył, że granie odpręża go i pozwala uspokoić myśli. Jadwiga nazywała jego grę rzępoleniem, ale zbyt szybko się tym nie przejmował.

Podszedł do fortepianu. Postawił kieliszek na podłodze. Otworzył klapę i przysunął stołek. Zerknął na nuty. Zniecierpliwionym ruchem odrzucił je i zaczął grać z pamięci. Przypadkowo naciskane klawisze burzyły harmonię dźwięków. Próbował nadać im jakiś porządek. Kiedy udało mu się zapanować nad emocjami, popłynęła spokojna, przyjemna dla ucha melodia.

Po dziesięciu minutach przerwał grę tylko po to, aby dolać sobie koniaku.

Wrócił do fortepianu i przez kilka chwil zastanawiał się nad następną melodią. Podniósł z podłogi nuty, wybrał Chopina.

W połowie utworu usłyszał, jak ktoś otwiera drzwi. Nawet nie spojrzał w stronę wejścia, przekonany, że to Jadwiga.

– Strasznie pan gra, panie Witoldzie. – Słowa bynajmniej nie padły z kobiecych ust.

Witold oderwał wzrok od nut i przerwał grę.

Przy drzwiach stał wysoki mężczyzna o ponurej twarzy i gładko zaczesanych blond włosach, z modnym przedziałkiem pośrodku.

– Kim pan jest? – zapytał.

– Gustaw Reiner. – Mężczyzna lekko skłonił głowę. – Pracuję dla pana Stanisława Wereszyńskiego.

– Wereszyński... – powtórzył za nim Witold. Pierwsze nazwisko było mu całkowicie obce, drugie obito mu się o uszy. Padło przy jakiejś okazji, której w tej chwili nie potrafił sobie przypomnieć.

– Pan Wereszyński będzie wielce rad, mogąc pana gościć u siebie – oznajmił przybyły grzecznym tonem.

Witold spojrzał w okno. Padający deszcz zniechęcał do wychodzenia z domu.

– Obawiam się, że nie znajdę dzisiaj czasu, aby odwiedzić pana Wereszyńskiego – odpowiedział z równie wyszukaną elegancją.

Twarz gościa pozostała nieodgadniona.

Witold sięgnął po kieliszek postawiony na fortepianie. Prawa dłoń powędrowała na klawisze. W salonie zabrzmiało kilka pojedynczych tonów.

– On nie będzie zadowolony, że pan odmówił.

Reiner podszedł bliżej. Stał teraz zaledwie krok od Witolda.

Witold uśmiechnął się tylko. Nadal nie rozumiał, dlaczego miałby skorzystać ze złożonego w dość specyficznej formie zaproszenia.

– Proszę przyjść jutro – rzucił przez ramię, całą swoją uwagę skupiając na grze. Dla niego rozmowa była zakończona.

Na twarzy Reiner'a pojawiło się zniecierpliwienie.

– Nalegam – rzekł twardo.

Witold nie przerywał gry.

Chwilę później zrozumiał, że popełnił błąd, ignorując nieproszonego gościa.

Mężczyzna poruszył się bardzo szybko. Zdecydowanym ruchem opuścił klawisz fortepianu, przytrzaszkując dłoń Witolda.

– Nie lubię stosować przemocy i uciekam się do niej w ostateczności, ale pan nie pozostawił mi wyboru – wysyczał mu do ucha i wzmocnił ucisk. – Wie pan, co może nastąpić za moment? Obaj chyba tego nie chcemy, prawda?

Witold milczał.

– Wstawaj.

Chwytał Witolda za ramię, popatrzył na jego zakrwawioną dłoń. Niczym mistrz zachwycony swoim dziełem cmoknął kilkakrotnie.

– Paskudnie to wygląda – rzekł z uśmiechem. Wyjął z kieszeni dużą chustkę i podał ją Korczyńskiemu. Opatrunek szybko przesiąkł krwią.

– To wszystko na pana własne życzenie.

Słowa docierały do Witolda jak przez mgłę.

– Idziemy. – Reiner popchnął Witolda w stronę drzwi.

Przed domem stała zaprzężona w dwa konie dorożka. Siedzący na koźle stangret o smutnych oczach i lisiej twarzy spojrział na Reinerę ze znudzeniem.

– Dlaczego to trwało tak długo? – spytał z nutką wyrzutu w głosie. Zdażył przemarznąć. Przed zacinającym deszczem nie był w stanie ochronić go nawet długi płaszcz.

Reiner zmroził go wzrokiem.

– Nie gadaj, Jakub, tylko jedź – mruknął.

Trzasnął bat.



Witold oparł się o zagłówek i przymknął oczy. Walczył z bólem i ogarniającym go zmęczeniem. Walka ta skazana była na porażkę. Bólu nie był w stanie pokonać, a zmęczenie potęgował wypity tego dnia w nadmiernej ilości alkohol.

Reiner, który przez całą podróż uważnie obserwował swego pasażera, nie wiedział, czego może się po nim spodziewać. Wereszyński ostrzegał go, że zadanie nie będzie łatwe. Nakaz sprowadzenia Witolda za wszelką cenę pozwalał mu zastosować wszelkie możliwe środki, z czego Reiner skwapliwie skorzystał.

Przejechali most kolejowodrogowy i skręcili w lewo, aby po kilkudziesięciu metrach wjechać na cypel wiślany, gdzie znajdował się cel ich podróży.

Była to imponujących rozmiarów budowla – okazała willa z surowej cegły, neogotycka, z trzema kondygnacjami od wschodu i dwoma w środku.



Weszli do przestronnego holu, który tonął w elektrycznym świetle. Szczupły lokaj w liberii skinął głową na przywitanie. O nic nie pytał. Nawet jeśli był zdziwiony wyglądem gościa, nie dał tego po sobie poznać.

– Pan Stanisław czeka w salonie – oznajmił.

Salon urządzony był z przepychem. Zgromadzono tutaj wiele pięknych przedmiotów: patery, wazon, świeczniki firm niemieckich. W narożnych, zdobionych szafkach znajdowała się okazała kolekcja porcelanowych figurek.

Na serwantkach ustawiono artystyczne wyroby z brązu.

Całości obrazu dopełniały dwa komplety wypoczynkowe: jeden obity zielonym pluszem, drugi – jedwabną tkaniną w kolorze różu indyjskiego.

Dla Witolda, który lubił minimalizm, wszystkiego było tu za dużo.

Szpakowaty mężczyzna o poważnej twarzy, z krzaczastymi brwiami i mocnym podbródkiem opuścił swoje miejsce przy oknie, skąd patrzył na oddalony o cztery kilometry Kopiec Kościuszki. Z jego ruchów przebijała wielka pewność siebie.

Mężczyzna jak na tak późną porę ubrany był z przesadną elegancją. Biała koszula, surdut, czarne spodnie z kantem.

– Stanisław Wereszyński – rzucił i wyciągnął dłoń na przywitanie. – Bardzo się cieszę, że raczył pan skorzystać z mojego zaproszenia. – Ręka zawisała w powietrzu, kiedy dostrzegł owiniętą chustką dłoń Witolda.

– Zaskoczyła mnie szczegółna forma tego zaproszenia – mruknął Witold.

Wereszyński spojrział na Reinera, a ten pospieszył z wyjaśnieniem:

– Nie chciał przyjechać, więc musiałem użyć mocniejszych argumentów. Sam pan przecież mówił, abym...

Wystarczyło jedno spojrzenie, aby Reiner zamilkł.

– Potrzebuje pan lekarza – stwierdził Wereszyński. Skinął głową na Reinera. – Sprowadź Roszkowskiego.

Nie minęło nawet pięć minut, kiedy do pokoju wszedł wyprostowany, elegancki mężczyzna o przeredzonych włosach.

Wereszyński w dzieciństwie często chorował, a teraz mógł sobie pozwolić na opłacanie własnego doktora. Do dyspozycji Juliana Roszkowskiego oddał trzy pokoje, wyposażył mu gabinet i laboratorium do badań nad zastosowaniem roślin w medycynie.

Doktor widział w swoim życiu wiele, dlatego przywykł o nic nie pytać. Zaprowadził Witolda do siebie. W zaciszu gabinetu dokładnie zbadał zakrwawioną dłoń. Fachowo opatrzył ranę, uspokajając przy tym, że palce nie są złamane, tylko mocno stłuczone. Na koniec podał silny lek przeciwbólowy.

Panowie wrócili do salonu.

W czasie ich nieobecności lokaj zdążył zaparzyć kawę, której aromat przyjemnie unosił się w powietrzu.

Doktor zatrzymał się przy drzwiach.

– Czy będę jeszcze potrzebny? – spytał.

– Mam nadzieję, że dzisiaj już nic złego nas nie spotka – odpowiedział Wereszyński i podszedł do barku.

– W takim razie... – Doktor zerknął na drzwi.

– Może pan wracać do swoich badań, które – mam nadzieję – kiedyś ujrzą światło dzienne.

Doktor już miał wyjść, kiedy usłyszał skierowane do Witolda pytanie:

– Napije się pan czegoś?

Witold skinął głową.

Roszkowski spojrział z wyrzutem na pacjenta.

– Podałem panu mocne środki znieczulające, łączenie ich z alkoholem jest wielce niewskazane... – ostrzegł.

Rozbawiony Wereszyński zerknął na Witolda. Wolno przeniósł wzrok na doktora.

– Dziękuję, panie Julianie, to wszystko...

Nie miał teraz ochoty sprzeczać się o zalecenia lekarskie.

Doktor, mrużąc coś pod nosem, szybko opuścił salon.
Wereszyński nalał do dwóch kieliszków.
Witold upił łyk i w duchu przyznał, że trunek był przedni.
Panowie przeszli do kącika wypoczynkowego pod oknem. Zagłębili się w wygodnych fotelach.

– Przepraszam za to zamieszanie – zagaił Wereszyński. – Czasami moi ludzie zbyt dosłownie traktują polecenia.
Nie wyglądała na kogoś, komu rzeczywiście jest przykro z powodu tego, co się wydarzyło.
– Może zaczniemy od początku. Kim jestem, już pan wie.
– Nie do końca – wszedł mu w słowo Witold.
Wereszyński zamrugął.
– Co chciałby pan zatem o mnie wiedzieć?
– Nie interesuje mnie historia pana życia – powiedział Witold, uśmiechając się lekko. –
Spytam wprost – czemu zawdzięczam to nagle zainteresowanie moją osobą?
Wereszyński skinął głową. Na razie wszystko przebiegało zgodnie z jego przewidywaniami.
– Mam dla pana konkretną propozycję. – Zawiesił głos.
Czekał na reakcję Witolda. Ten jednak milczał.
Wereszyński zwlekał z wyjaśnieniami. Zastanawiał się, od czego zacząć. Historia, którą chciał opowiedzieć, nie była ani łatwa, ani krótka.
– Wszystko, co pan za chwilę usłyszysz, musi pozostać między nami – zastrzegł.
– Domyślam się.
Gospodarz pokręcił głową z niezadowolaniem. Nie lubił, kiedy mu przerywano.
– To sprawa nadzwyczaj delikatna, dlatego przy jej prowadzeniu wymagam od pana całkowitej dyskrecji... – I tym razem nie dokończył zdania.
– Zapomina pan o jednym – zauważył z chłodnym spokojem Witold.
– Tak?
– Jeszcze dla pana nie pracuję.
Wereszyński patrzył na Witolda przenikliwie.
– Jeszcze – powtórzył szeptem.
W salonie zapadła cisza.
Dotąd Wereszyński całkowicie panował nad sytuacją i kontrolował przebieg rozmowy. Kiedy skręcała w niezaplanowanym kierunku, umiejętnie sprowadzał ją na właściwe tory.
Witold już wiedział, bitwa na słowa nie ma tu najmniejszego sensu.
Gospodarz spojrzał na niego wzrokiem dobrotliwego wuja, który jest gotów wybaczyć swemu siostrzeńcowi nawet największe głupstwo.
Witold wykonał nieokreślony ruch zdrową dłonią.
– Istotnie, nie będę pana zanudzał historią mojego życia – podjął gospodarz. – Powiem wprost – chodzi o moją żonę, Annę. Zniknęła.
– Zniknęła?
Wereszyński skinął głową.
– Nie ma jej od kilku dni.
Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.
– Martwię się o nią. Dlatego pan ją odnajdzie – oznajmił.
Witold uśmiechnął się blado.
– Ja? – spytał niewinnie. – Nie rozumiem, dlaczego akurat do mnie zwraca się pan z taką propozycją. Zaszło jakieś nieporozumienie. Nie zajmuję się odnajdywaniem zagubionych żon –

dodał nieco ironicznie.

Słowa te nie zrobiły na Wereszyńskim żadnego wrażenia.

– Wiem, ale dla mnie robi pan wyjątek – powiedział tonem, który wykluczał wszelkie dyskusje.

– Tak?

Cała ta sytuacja wydawała się Witoldowi coraz bardziej absurda.

Wereszyński kiwnął głową. Zachowanie Witolda utwierdziło go tylko w przekonaniu, że postawił na właściwego człowieka.

– Powód, dla którego zwróciłem się do pana, jest prosty. Zapewne sam pan już się go domyślił. Wiem, że jak dotąd wszystkie sprawy, które pan poprowadził, zakończyły się sukcesem. Choćby ostatnia. Odnalazł pan cenny naszyjnik.

– Ma pan dobre źródła.

Wereszyński uśmiechnął się.

– Kraków to przecież małe miasto. Gdzie mu tam do Paryża.

Przez chwilę patrzył zamyślonym wzrokiem na swego gościa.

– Jak już powiedziałem, chciałbym, aby to pan odnalazł moją żonę i sprowadził ją tutaj.

Uniósł dłoń, uciszając Witolda.

– Proszę się tylko nie zasłaniać brakiem wolnego czasu. Ma go pan pod dostatkiem.

Spędza go pan zresztą w dość specyficzny sposób. Jedni cenią chwilę z rodziną, inni wyjeżdżają za miasto albo wędrują po salonach. Natomiast pan... – Zawiesił głos. – Pan gra w karty. Zwłaszcza w pokera.

Witold zmroził go wzrokiem. Nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała rozmowa.

– Ostatnio nie najlepiej panu szło – podjął Wereszyński. – W piątek przegrał pan niezłą sumkę. – Ściszył głos. – Zdaje się, że narobił pan sobie długów. Jest pan częstym gościem zakładu zastawnego na Wiślniej. Tak się składa, że mój dobry znajomy jest współwłaścicielem salonu, w którym pan przegrywa. Czy jest pan w stanie szybko spłacić dług? Browin zaczyna powoli tracić cierpliwość...

Witold z trudem panował nad emocjami. Mężczyzna wiedział o nim zadziwiająco dużo.

– Wkrótce Browin zażąda zwrotu pieniędzy. Co pan wówczas zrobi? Jestem pewien, że chciałby pan uniknąć skandalu, nieprawdaż?

Prawdaż, prawdaż, pomyślał Witold gniewnie.

– Ale z każdej sytuacji jest zawsze jakieś wyjście. Pan pomoże mnie, ja pomogę panu.

Przekaz był aż nazbyt czytelny. Wereszyński uśmiechnął się szeroko.

– Zatem?

Uważnie obserwował twarz Witolda.

– Muszę to przemyśleć.

Wereszyński spochmurniał.

– Tu nie ma nad się czym zastanawiać, panie Witoldzie – rzekł twardo.

Korczyński próbował uporządkować myśli. Przychodziło mu to z pewnym trudem.

Powoli zaczął działać zaaplikowany przez doktora lek. Dłoń przestała go boleć, ale ubocznym skutkiem specyfiku była ogarniająca go senność.

– Nie pozostawia mi pan wyboru – mruknął. Chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

Skupił wzrok na drobnej postaci gospodarza, która dziwnie falowała mu przed oczyma, by na kilka chwil zniknęła jak we mgle.

– Dobrze się pan czuje? – spytał Wereszyński, dostrzegając zmianę na jego twarzy.

Witold potarł skroń.

Gospodarz patrzył na niego uważnie.

– Odłożmy tę rozmowę do jutra. Zapraszam pana o dziewiątej.

Witold spojrzał na Wereszyńskiego przytomniej. Powróciła ostrość widzenia.

– Raczej później. Mam pewne zobowiązania związane z poprzednią sprawą. – Zdobył się na uśmiech.

Wereszyński zgodził się na tę propozycję. Skinął ręką na Reinera, który stał przy drzwiach.

– Odwiedzisz pana Witolda do domu.

Na św. Sebastiana panowała niezmacona cisza.

Witold z trudem wszedł po schodach. Zdjął tylko marynarkę, odpiął kołnierzyk i rzucił się na łóżko. Momentalnie zasnął.

„Nie trzymam jej w klatce”

15 września 1904 r. – czwartek

Witolda obudziły jasne promienie słońca wdzierające się przez otwarte okno. Ranek był ciepły, ale on czuł przeraźliwe zimno. Wzdrygnął się i ostrożnie usiadł. Spojrzał na zabandażowaną dłoń. W jednej chwili przypomniał sobie wydarzenia poprzedniego dnia.

Z trudem zapanował nad chaosem myśli.

Wolno przeszedł do łazienki. Długo patrzył ze smutnym półuśmiechem na swoje odbicie. Poprzedni wieczór zostawił ślad na jego twarzy. Przejechał dłonią po zaroście na policzkach i brodzie, sięgnął po brzytwę i mydło. Golenie i poranna toaleta zajęły mu więcej czasu niż zwykle. Prawą dłoń przy każdym ruchu przeszywał tępy ból.

Kilkanaście minut później Witold poczuł się już na tyle lepiej, że zaczął układać plan działania.

Czekało go spotkanie z Wereszyńskim. Wiedział o nim niewiele.

– Trzeba to zmienić, panie Wereszyński – rzekł cicho.

Znał osobę, która mogła mu w tym pomóc.

Niezastąpioną skarbnicą wiedzy o mieszkańcach Krakowa był Henryk Winiarski. Starszy pan jak nikt inny orientował się w powiązaniach rodzinnych i towarzyskich. Swoją wiedzę czerpał nie z gazet czy plotek, ale przede wszystkim z rozmów i spotkań. Przez długie lata prowadził cenioną kancelarię prawną. Poznał wiele osób, z którymi nie stracił kontaktu nawet wówczas, gdy zakończył pracę.

Henryk przez wiele lat mieszkał na Wolskiej w solidnej kamienicy, nieopodal budynku Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Po zeszłorocznej powodzi rwące strumienie Rudawy i Wisły zalały całą ulicę i doszły aż do Plant pod Uniwersytetem Jagiellońskim. Zajmowany dotąd przez niego lokal na parterze przesiąkł zapachem stęchlizny i wilgoci. Witold stwierdził, że starszy pan nie może dalej mieszkać w takich warunkach. Początkowo namawiał Henryka, aby wprowadził się do niego. Ten nie zgodził się, zbyt zasmakował w samotności. Witold znalazł mu więc wygodne mieszkanie na Poselskiej, skąd Winiarski miał bliżej na św. Sebastiana.

Panowie jednak wcale nie odwiedzali się częściej. Zajęty swoimi sprawami Witold nie miał czasu na przyjacielskie spotkania. Henryk, człowiek taktowny, nie narzucał się.

Witold zszedł do salonu tuż przed jedenastą.

Jadwiga, kiedy usłyszała kroki na schodach, wyjrzała z kuchni. Obrzuciła go zaniepokojonym spojrzeniem.

– Kiedy pan się tak urządził? – Wskazała na dłoń.

Zerknął na nią ze złością. Jadwiga coraz bardziej denerwowała go swoimi pytaniami, chociaż akurat teraz były one zrozumiałe. Kiedy gosposia poprzedniego wieczoru wychodziła do kumy, wszystko było w porządku. A tu proszę, taka niespodzianka. Kobieta miała prawo do niepokoju.

Witold powstrzymał gniew. W milczeniu przeszedł do jadalni.

Po chwili na stole znalazły się bułeczki, masło, dżem i ser – wszystko kupione rano na bazarze. Obok stał dzbanek z kawą.

Witold spojrzał na gosposię z wdzięcznością. Bezbłędnie odgadła, czego w tej chwili najbardziej potrzebował.



Pięć minut po dwunastej Witold zapukał do mieszkania na Poselskiej. Szczęśliwie, Henryk zaledwie przed kwadransem wrócił ze spaceru po Plantach.

W pierwszej chwili starszy pan ucieszył się z tej niespodziewanej wizyty. Dobry nastrój zniknął jak bańka mydlana, kiedy dostrzegł zabandażowaną dłoń swego gościa. Zaniepokojonym wzrokiem wpatrywał się w zmęczoną twarz Witolda. Na usta cisnęły mu się pytania, lecz nie zadał żadnego.

Zaprowadził Witolda do salonu. Odmienne niż w starym mieszkaniu na Wolskiej salon był jasny i przestronny. Henryk starannie dobrał meble. Urządzenie tego miejsca sprawiło mu dużo radości. A sama przeprowadzka wniosła w jego uporządkowane życie trochę świeżego powiewu.

Kiedy Witold usiadł przy trójnożnym stoliku, Henryk przeszedł do kuchni.

Po chwili w pokoju pojawił się aromatyczny zapach kawy. Obok dwóch filiżanek na stoliku pojawił się talerz z ciastem i karafka z żurawinówką – ulubioną nalewką Henryka, którą ten kupił zaledwie przed dwoma dniami u Maurizia.

Witold wyrzucał sobie po cichu, że ostatnio tak rzadko odwiedza Henryka. Grzecznie spytał go o zdrowie. Potem przez kilka minut rozmawiali o wszystkim i o niczym, jakby była to zwykła towarzyska wizyta. Witold próbował ukryć, że mu się spieszy. Henryk udawał, że tego nie widzi.

Wskazówka zegara przesunęła się na pierwszą, kiedy Korczyński wreszcie przeszedł do rzeczy.

– Czy słyszałeś o niejakim Stanisławie Wereszyńskim?

Na twarzy Henryka pojawił się uśmiech – nieomylny znak, że wie coś o osobie, o którą pytał Witold.

Henryk rzeczywiście dobrze orientował się w życiu towarzyskim Krakowa. Po przejściu na emeryturę w końcu znalazł czas na działalność społeczną. Udzielał się w wielu towarzystwach, choćby Krakowskim Klubie Szachistów, Towarzystwie im. Tadeusza Kościuszki czy Towarzystwie Wzajemnej Pomocy Uczestnikom Powstania Polskiego 1863 r.

Na spotkaniach poruszano wszystkie tematy. Rozmawiano o mieszkańcach miasta, szczególną uwagę poświęcając tym, którzy wyróżniali się jakąś działalnością. Do takich właśnie osób należał Wereszyński. Henryk przez kilka chwil zbierał w myśli wszystkie informacje zasłyszane i przeczytane o tym człowieku.

– Stanisław Wereszyński to właściciel fabryki mydła i gospodarz pałacyku w Dębnikach naprzeciw Wawelu. Przyjechał do Krakowa razem z żoną, podobno z Lwowa, zaraz po Nowym Roku – mówił wolno, starannie dobierając słowa. Nie chciał niczego pomylić. – Ma ponad pięćdziesiąt lat. Majętny człowiek.

– To wszystko? – Witold liczył, że wiedza Henryka będzie szersza. Nie potrafił ukryć rozczarowania.

Henryk patrzył w zamyśleniu na Witolda. Domyślał się, że pytanie o Wereszyńskiego nie było przypadkowe.

– Dlaczego nim się interesujesz? – spytał.

– To długa historia – odparł jego gość wymijająco.

Czynił tak zawsze w sytuacjach, kiedy potrzebował od Henryka określonych informacji, ale nie chciał angażować go w prowadzone śledztwo.

Starszy pan rozumiał, że Korczyński oszczędzał mu w ten sposób niepotrzebnych emocji, ale miał już dość tych tajemnic.

Milczeli przez kilka chwil. Pierwszy odezwał się Witold.

– Czy możesz dowiedzieć się czegoś więcej?

– Oczywiście.

– Będę wdzięczny.

Jego wzrok powędrował w stronę zegara.

– Spieszysz się?

Zapytany uśmiechnął się przepraszająco.

– Jak zwykle – mruknął Henryk.

Gość wstał.

– Wkrótce odwiedzę cię ponownie i wówczas opowiem ci wszystko ze szczegółami.

Wątpię, pomyślał Henryk. To „wkrótce” ostatnio zbyt często padało z ust Witolda.

Pochopne, nic nieznaczące słowa.

Jeżeli rzeczywiście te informacje są dla ciebie aż tak ważne, to za dzień lub dwa znów będziesz moim gościem, pomyślał Henryk. Obym się nie mylił.



Witold wszedł energicznym krokiem do salonu. Wyglądał o wiele lepiej niż rano. Humor poprawił mu przygotowany przez Jadwigę obiad. Z wielkim apetytem zjadł pulpety w sosie śmietankowym, podane ze świeżymi ziemniakami i mizerią.

Stanisław Wereszyński wyjął z kieszonki kamizelki zegarek. Znacząco spojrzął na godzinę.

– Późno przypomniał pan sobie o naszej umowie – wyrzucił Witoldowi. – Mam nadzieję, że zatrzymały pana naprawdę ważne sprawy – położył nacisk na ostatnie słowa.

– Bardzo ważne.

Gospodarz spojrzął na gościa z uwagą, nie wiedząc, czy ten kpi, czy mówi poważnie.

– Zapraszam do gabinetu.

Przy oknie, z którego roztaczał się widok na Wawel i Wisłę, stało masywne biurko z wygodnym fotelem.

Na biurku panował idealny porządek. Wszystko ułożone było równo, jak przy linijce. Po lewej stronie pióra renomowanych firm razem z pieczęciami, pośrodku – teczka na dokumenty i korespondencję, z prawej, w zasięgu ręki – telefon i pudełko z cygarami.

Z tyłu, na niewielkiej, ale funkcjonalnej komódce, stała maszyna do pisania.

W przeciwieństwie do salonu, gdzie wszystkiego było za dużo, tutaj panował minimalizm.

Na ścianach wisiały litografie, mapy, a naprzeciw wejścia – portret postawnego mężczyzny z bokobrodami. Pod portretem stał barek na kółkach. Wystroju dopełniała wygodna skórzana kanapa z fotelami i okrągłym stołem.

Wereszyński gestem dłoni wskazał Witoldowi miejsce do siedzenia. Poczęstował go cygarem i szklaneczką szkockiej whisky.

Witold obrócił cygaro w palcach i powąchał. Niespiesznie je zapalił. Przez chwilę trzymał dym w ustach, dzięki czemu smak był bardziej wyczuwalny. Z uznaniem pokiwał głową. Nie miał wątpliwości, że cygaro było najprzedniejszej marki, tak jak i koniak, którym gospodarz poczęstował go poprzedniego dnia.

Miał do czynienia z człowiekiem, który nie oszczędzał na codziennych przyjemnościach.

– Panie Witoldzie, tak jak wczoraj ustaliliśmy – odnajdzie pan moją żonę i sprowadzi ją tutaj – przeszedł do sedna gospodarz.

Spojrzał wyczekująco na Witolda. Ten odłożył żarzące się cygaro na popielniczkę.

– Założmy, że ją odnajdę – zaczął ostrożnie. – Musi pan wziąć pod uwagę pewną

ewentualność. Co będzie, jeżeli z jakiegoś powodu żona nie zechce do pana wrócić?

Odpowiedź padła natychmiast.

– Sprowadzi ją pan siłą.

Popatrzył na Witolda rozbawiony.

– Ach tak, zapomniałem. Pan i te pańskie zasady. Dobrze, w takim wypadku zrobimy inaczej. Wskaże pan, gdzie ona się ukrywa, a z resztą sam sobie poradzę. Odpowiada to panu?

Witold nie powiedział ani „tak”, ani „nie”. Chciał wyjaśnić jedną ważną kwestię.

– Mówił pan, że kiedy zniknęła?

– W piątek.

Zamyślił się.

– Prawie tydzień temu. Mogła dawno już opuścić Kraków – podzielił się swoimi obawami.

– Nie zrobiła tego. – Głos Wereszyńskiego był twardy, stanowczy.

– Dlaczego pan tak sądzi?

Witold nie rozumiał, skąd brała się u Wereszyńskiego taka pewność. Nie czekał jednak na odpowiedź. Szybko zadał następne pytanie:

– Pana żona nie ma w Krakowie żadnych przyjaciół albo znajomych? Kogoś, kto mógłby jej pomóc?

– Jest tu od niedawna.

– Często pan wyjeżdża? – zmienił kierunek swoich dociekań.

Wereszyński spojrzał na niego zaintrygowany.

– Tak. Na ogół raz w tygodniu – odpowiedział powoli. – Nie rozumiem...

Witold nie pozwolił mu skończyć.

– Żona nie towarzyszy panu w tych podróżach?

– Nie, ale...

Korczyński znowu mu przerwał.

– Jest wówczas sama?

– Ze służbą.

– Ile lat ma pańska żona?

– W lipcu skończyła trzydzieści lat. Jest ode mnie młodsza prawie o dwadzieścia.

– Czy są jakieś miejsca, które lubi odwiedzać?

Tym razem Wereszyński zastanawiał się nieco dłużej.

– Dlaczego właściwie zadaje pan te wszystkie pytania? Co to ma wspólnego z zaginięciem mojej żony? – nie krył swoich obiekcji.

– Dowiadując się jak najwięcej o pańskiej żonie, poznam jej słabości – odpowiedział Witold nieco wymijająco.

– Ach tak. Moja żona nie ma...

– Żadnych słabości. To chciał pan powiedzieć? – wszedł w słowo Wereszyńskiemu.

W jego głosie zabrzmiała nutka ironii.

Na twarzy gospodarza zaszła gwałtowna zmiana. Zniknęła maska obojętności. Od dawna nikt nie rozmawiał z nim w ten sposób.

Nigdy nie rozmawiano ze mną w ten sposób, poprawił się szybko w myślach. Nie podobały mu się pytania Witolda, dlatego postanowił szybko sprowadzić rozmowę na właściwe tory.

– To nie jest istotne. Pańskim zadaniem nie jest mnożenie pytań. Ma ją pan odnaleźć – przeszedł do ataku. Jego ton był twardy i kategoriyczny. Chciał przypomnieć, kto tutaj dyktuje warunki.

Witold sięgnął po wygaszone cygaro i powtórzył cały rytuał związany z jego zapalaniem. Poczł pewną satysfakcję, że udało mu się dotknąć tego zimnego człowieka.

Szybka wymiana zdań utwierdziła go w przekonaniu, że rozmowy z Wereszyńskim nie będą łatwe.

– Wracając do sprawy – podjął niezrażony. – Jak pańska żona spędza czas, kiedy pana nie ma?

Wereszyński milczał, rozważając zadane pytanie. W końcu zdecydował się mówić.

– Nie trzymam jej w klatce. Ma pełną swobodę. Bywała u Pareńskich, gdzie goszczono głównie emigrantów z innych zaborów i z zagranicy, na wieczorkach muzycznych u prezesa sądu. Niedzielne popołudnia spędzaliśmy razem u Karbowskiej, przy ulicy Garncarskiej. Ostatnio zaś w co drugi wtorek gościła w salonie literackim u hrabiny Ledóchowskiej. Niestety nie towarzyszyłem jej w tych spotkaniach.

Słyszając nazwisko hrabiny, Witold zareagował lekkim uśmiechem, co nie uszło uwadze gospodarza.

– Zna pan hrabinę? – spytał Wereszyński szybko.

– Tak – przyznał. Ta blisko czteroletnia znajomość z hrabiną opierała się na wzajemnym szacunku.

Temat wyraźnie zainteresował przemysłowca.

– Co pan o niej sądzi?

Witold milczał. Szukał odpowiednich słów, które określiłyby charakter Ledóchowskiej.

– Jakim jest człowiekiem? – nie dawał za wygraną Wereszyński.

– To bardzo mądra osoba – powiedział ostrożnie.

Mężczyzna pokiwał głową na znak, że podziela jego opinię. Z hrabiną spotkał się tylko raz. Mimo że rozmowa trwała zaledwie kilka minut, zdążył wyrobić sobie o Ledóchowskiej własne zdanie.

Zachęcił Witolda gestem ręki, aby kontynuował.

Korczyński się nie spieszył.

– Wnikliwa obserwatorka i znawczyni ludzkich charakterów – dodał po chwili namysłu.

– Co pan może powiedzieć o ludziach, których hrabina zaprasza do siebie?

Witold spojrzał na niego uważnie, zastanawiając się, dlaczego mężczyzna tak uparcie drąży ten temat.

– Bardzo starannie dobiera gości – odpowiedział wymijająco.

Wereszyński już wcześniej wiedział, że Ledóchowska jest w Krakowie wpływową osobą. Znajomość z nią mogła być bardzo przydatna w dalszych interesach i poszerzeniu kręgu znajomych. Zarzucał sobie, że dotąd nie znalazł czasu, aby towarzyszyć żonie w organizowanych przez hrabinę spotkaniach.

– W jakich okolicznościach poznała pana żonę? – Głos Witolda wtargnął w świat jego myśli.

Wyteżył pamięć. Rozłożył bezradnie ręce.

– Niestety, nie pamiętam – odparł szczerze.

Witold przez chwilę porządkował w myślach wszystkie informacje, jakie udało mu się wydobyć od Wereszyńskiego.

– Powiedział pan, że u hrabiny żona bywała sama? – chciał się upewnić.

– Tak. Zgadza się.

– Czy na tych spotkaniach, o których pan wspominał, żona mogła kogoś poznać? – zapytał niewinnie.

W oczach gospodarza pojawił się zimny błysk.

– Co pan przez to rozumie?

– Nic, po prostu pytam. – Głos Witolda był spokojny.

I wyciągam odpowiednie wnioski, dodał w myślach.

Wiedział już, że Anna Wereszyńska często zostawała sama, a mąż nie rozpieszczał jej, zajęty swoimi sprawami. Pomiędzy nimi była duża różnica wieku, która tylko potęgowała samotność kobiety.

– Pan... – zaczął Wereszyński i zamilkł.

Wstał. Podeszedł do okna. Długo patrzył na ukryte za lekką mgiełką stare mury Wawelu. Zaczął mówić w przestrzeń cichym głosem.

– Powinien pan wiedzieć jeszcze o jednym. Nie jest to dla mnie łatwe, ale... – Zakasłał raz, potem drugi. – Dwa lata temu, kiedy mieszkaliśmy we Lwowie, Anna poznała kogoś, zostawiła mnie i wyjechała. Pozwoliłem jej na tę przygodę, bo wiedziałem, że wcześniej czy później do mnie wróci.

Witold w milczeniu słuchał jego opowieści.

– Wiem, że nauczona tamtym doświadczeniem raczej nie powtórzy tego błędu.

– Raczej? – zapytał.

Wereszyński odwrócił się w stronę Witolda. Spojrzał mu prosto w oczy.

– Dobrze. Będę wobec pana szczery. Tak, teraz tego nie wykluczam. Rzeczywiście pana podejrzenia... – Zamilkł. Trudno było mu o tym mówić spokojnie.

– W takim razie teoria, że pana żona przebywa nadal w Krakowie, może być błędna – zauważył Witold spokojnie.

Wracali do punktu wyjścia. Gospodarz przemilczał te słowa.

– Czy wie pan, kim był ten człowiek, z którym...

– Nie – uciął Wereszyński. Chciał jak najszybciej zakończyć ten temat.

Usiadł na swoim miejscu i sięgnął po pudełko z cygarami. Zapalili jeszcze raz. Witold przez smugę dymu obserwował swojego klienta.

– Nie rozmawiał pan z nią o tym?

– Nie. Wybaczyłem jej. Oboje nie chcieliśmy do tego wracać.

Zamilkli.

– Pan też nie jest święty? – Witold kierowany wewnętrznym impulsem chciał sprawdzić, jak daleko może się posunąć w swoich dociekaniach.

Wereszyński zmrużył oczy.

– Co pan insynuuje?

– Pytam, czy i panu zdarzały się przygody – ciągnął Witold, niezrażony jego groźnym spojrzeniem.

– Przekracza pan dopuszczalne granice.

– Proszę się nie obrażać, dla sprawy wszystko może być ważne.

– Wszystko?

Witold wykonał nieokreślony ruch dłonią.

– Ma pan jakieś jej fotografie? – spytał.

– Wolalbym, aby mówił pan o mojej żonie z większym szacunkiem – nieprzyjemnym tonem zwrócił mu uwagę Wereszyński. Rozmowa zaczynała go irytować.

Witold westchnął w duchu.

– Otrzymam jakąś fotografię?

– Będzie to dość trudne.

– Słucham?

– Małżonka nie lubi pozować.

– Nie dziwi to pana?

– Ludzie mają prawo do pewnych słabości. Tak to odbieram.

Na każde pytanie Wereszyński miał odpowiedź. Witold dochodził do wniosku, że zanim doszło do tego spotkania, gospodarz wszystko dokładnie sobie przemyślał i poukładał.

– Może ze ślubu? – podsunął.

– Nie.

– Chce pan powiedzieć, że nie ma pan żadnej fotografii żony?

Witold wciąż nie przyjmował do wiadomości, że Anna Wereszyńska nie zgadzała się pozować, co wiele kobiet przecież lubiło.

– Żadnej.

Te słowa nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Witold zamyślił się. Zadanie, jakie wyznaczył mu gospodarz, wydawało się coraz trudniejsze. Postanowił spróbować z innej strony.

– Proszę mi w takim razie powiedzieć, jak wygląda pana żona.

– Ma długie brązowe włosy i delikatną twarz. – Zamilkł.

Witold uśmiechnął się. Sam znał kilka kobiet, które pasowałyby do tak ogólnego opisu.

– To wszystko? Jakież znaki szczególne?

– Co pan przez to rozumie?

– To pan powinien wiedzieć najlepiej. Chodzi mi o coś, co wyróżniłoby ją w tłumie.

Nietypowy kolor oczu, pieprzyk, znamię – tłumaczył Wereszyńskiemu jak dziecku.

– Moja żona nie ma na twarzy żadnych uchybień – zaprotestował oburzony przemysłowiec.

Witold puścił tę uwagę mimo uszu.

– Proszę mi powiedzieć o dniu, kiedy zniknęła.

Wereszyński przez chwilę zbierał myśli.

– Tak jak to jest w jej zwyczaju, w południe pojechała dorożką na Planty zażyć trochę świeżego powietrza. Zawsze spaceruje wzdłuż ulicy Straszewskiego. Zajmuje jej to około godziny. Potem udaje się na rynek, gdzie odwiedza sklepy z odzieżą. Na ogół towarzyszę jej w tych spacerach, tego dnia jednak miałem parę ważnych spraw na głowie. Umówiliśmy się, że dołączę do niej około pierwszej. Nie obawiałem się o jej bezpieczeństwo. Nie była przecież sama, towarzyszył jej stangret – człowiek grzeczny i troskliwy. Mieli czekać na mnie przy cukierni Maurizia. Kiedy pojawiłem się w wyznaczonym miejscu, zastałem tylko Leopolda. Był zdenerwowany. Nieskładnie tłumaczył, że pani nie wróciła jeszcze z zakupów. Próbowałem ją usprawiedliwić, pomyślałem, że z powodu zakupów po prostu zapomniała o naszej umowie. Przeszedłem wszystkie sklepy, które na ogół odwiedzała. Wiem, że w bławatnym Henryka Schwarza, przy ulicy Grodzkiej, kupiła skórzane rękawiczki i parasolkę. Ostatnim miejscem, gdzie ją widziano, była cukiernia Maurizia.

– Chciałbym porozmawiać z Leopoldem – przerwał Witold. Usłyszał już wystarczająco dużo.

Wereszyński skinął przyzwalająco głową.

– I ze służbą – dodał Korczyński.

Tym razem natrafił na opór.

– To zbędne.

– Słucham?

– Nie rozumiem, dlaczego chce pan wypytywać służbę o Annę. Uważam to za stratę czasu – podsumował.

Witold nie potrafił ukryć swojej irytacji. Miał dosyć tego przerzucania się słowami.

– Jeśli chce pan, abym odnalazł pana żonę, to proszę pozwolić mi działać na moich zasadach – rzucił gwałtownie. Przez głowę przebiegła mu myśl, że niepotrzebnie daje się ponieść emocjom.

W pokoju zapadła pełna oczekiwania cisza.

Wereszyński znów wstał, przeszedł się po gabinecie.

– Ma pan absolutną rację. Nie powinienem wtrącać się do stosowanych przez pana metod. Witold odetchnął z ulgą.

– Kiedy mogę zacząć?

– Chociażby zaraz, ale chciałbym być przy tych rozmowach – zastrzegł.

Witold nie miał wyboru. Musiał zgodzić się na te warunki.



Leopold okazał się młodym człowiekiem o jasnych włosach i smutnych, bladoniebieskich oczach. Miał nienaganne maniery. Mówił cichym, łagodnym głosem. Złożona przez niego relacja była bardzo dokładna. Ze szczegółami opisał całą drogę z Dębnik na Planty. Powtórzył każde słowo, jakie padło tamtego dnia z ust Anny.

Na pytanie, czy w zachowaniu pani zauważył coś szczególnego, odpowiedział bez wahania: „Nie”.

Po chwili dodał: „Nie upilnowałem pani”, co tylko potwierdziło przypuszczenia Witolda, że chłopak w jakimś stopniu winił siebie za to, co się stało.

Zwrócił uwagę na sposób, w jaki młody stangret mówił o Wereszyńskiej. Zrozumiał, że Leopold poszedłby za nią w ogień.

Rozmowa zajęła Witoldowi nie więcej niż dziesięć minut. Zeznania młodzieńca nie wniosły do sprawy niczego nowego.

Witold przeszedł do następnego punktu śledztwa.

Przesłuchiwanie służby odbywało się w salonie. Wereszyński starał się nie narzucać swojej obecności. Stał przy kominku i w milczeniu przysłuchiwał się prowadzonym przez Witolda rozmowom.

Korczyński siedział przy stoliku i zadawał pytania, które dotyczyły spraw codziennych. Pytał o nastrój pani domu i jej zachowanie w ostatnich dniach przed zniknięciem. W zasadzie nie usłyszał nic, co miałoby wpływ na dalszy przebieg śledztwa.

Ostatnią rozmowę przeprowadził z osobistą pokojówką Anny, Marią Frank. Kobieta była bardzo zdenerwowana. Kiedy zwrócił jej na to uwagę, wytłumaczyła, że jeszcze nigdy nie była w takiej sytuacji. Bardzo lubiła panią i nagłe zniknięcie Wereszyńskiej bardzo ją zaniepokoiło. Nie mogła spać ani jeść.

To, co mówiła, miało sens. Słuchał jej z obojętnym wyrazem twarzy, nieco znużony powtarzającymi się odpowiedziami.

Na zakończenie zadał to samo banalne pytanie o samopoczucie Wereszyńskiej. Pokojówka zerknęła na gospodarza ze strachem. Witold zrozumiał. Frank chciała z nim porozmawiać szczerze, ale nie w obecności pana.

Witold uśmiechnął się łagodnie. Podziękował.

Frank dygnęła grzecznie i jak gnana wiatrem opuściła pokój. Korczyński miał nadzieję, że nie jest to ich ostatnie spotkanie.

Spojrzał na Wereszyńskiego.

– To wszyscy? – spytał znużonym głosem.

Otrzymał twierdzącą odpowiedź.

– Co pan zamierza dalej? – Wereszyński chciał znać każde jego posunięcie.

Witold uśmiechnął się tajemniczo.

– Chciałbym obejrzeć pokój pani Anny.



Witold w towarzystwie kamerdynera przeszedł do saloniku pani domu.

Pokój, który łączył funkcję bawialni i gabinetu do pracy, urządzony był przytulniej i barwniej niż pozostałe pomieszczenia. Ustawiono w nim niewielkie meble, a do pracy służyło biurczko z szufladami, na którym znajdowała się lampa, miniatury i eleganckie przybory do pisania. Do siedzenia służyły małe kanapy i fotele. W oszklonych szafkach zgromadzono wytworne drobiazgi i ozdoby, w etażerze zaś – modne powieści oprawione w skórę, o złożonych brzegach.

W prawym rogu dostrzegł stolik do haftu.

Witold nie liczył, że w pokoju znajdzie coś ciekawego. Nie znał Anny Wereszyńskiej, lecz był przekonany, że nie należy do osób, które prowadzą sekretny dziennik czy pamiętnik.

Pół godziny później mógł już powiedzieć o niej nieco więcej.

Nie miał wątpliwości, że była kobietą o wysublimowanym guście. Świadczył o tym sposób, w jaki urządzone zostały salonik. Wszystkie przedmioty dobrano starannie, od sztukaterii ścian i sufitu, przez meble, aż po przedmioty codziennego użytku. Nie było tu wszechobecnego w całym domu przepychu. Zrozumiał, że w tym wypadku decydujący głos należał do Anny.

Witold chodził po pokoiku w tę i w tę, czasami brał do ręki jakiś przedmiot i oglądał go ze wszystkich stron. Starał się nie zwracać uwagi na kamerdynera, który stał przy drzwiach i obserwował każdy jego ruch.

Uwagę Witolda przyciągnęła stojąca w oszklonej szafce fotografia małej, może dwuletniej dziewczynki.

– Kto to? – spytał i zerknął na kamerdynera.

Mężczyzna wzruszył tylko ramionami. Nie wiedział lub, co bardziej prawdopodobne, miał nie odpowiadać na zadawane pytania.

Witold otworzył górną szufladkę biurka. Kątem oka dostrzegł, że służący posyła mu pełne wyrzutu spojrzenie. Niezrażony, dokładnie przeszukał wszystkie szufladki, z wyjątkiem ostatniej. Ta była zamknięta.

Pociągnął za rączkę raz i drugi – bezskutecznie. Dostępu bronił mocny zamek. Szarpiąc się z mechanizmem, nadwreżył prawą dłoń. Przez chwilę walczył z rwącym bólem.

Na twarzy kamerdynera pojawił się wyraz nieskrywanej satysfakcji.

– Coś panu dolega? – spytał ironicznie.

Od samego początku mężczyzna nie był zadowolony, że Witold grzebie w rzeczach pani domu. Ponieważ wszystko odbywało się za zgodą Wereszyńskiego, niewiele mógł zrobić.

Witold z trudem zapanował nad złością.

– Kluczyk – rzucił przez zaciśnięte zęby.

Wzruszenie ramion znów posłużyło za całą odpowiedź.

– Kto ma kluczyk? – dopytywał Witold.

– Pewnie pani miała przy sobie...

Długo, przenikliwie wpatrywał się w kamienną twarz kamerdynera.

Bezwiednie sięgnął po schowane w kieszonce kamizelki cygaro.

– Tu nie wolno palić – kamerdyner zaprotestował gwałtownie.

Witold podeszedł do okna i otworzył je. Zamarł, widząc umieszczone w oknach kraty.

Uśmiechnął się zamyślony.

Nie trzymam jej w klatce, powtórzył w myślach słowa Wereszyńskiego.

Nie zastanawiał się ani chwili dłużej. Wyminął kamerdynera i szybkim, zdecydowanym krokiem przeszedł do gabinetu pana domu. Nie pukał, tylko od razu otworzył drzwi.

Wereszyński rozmawiał przez telefon. Na widok Witolda natychmiast przerwał. To obcesowe wtargnięcie zaskoczyło go, lecz nie dał tego po sobie poznać.

– I czegoż to pan się dowiedział? – spytał grzecznie.

– Proszę wyjaśnić mi dwie rzeczy – zaczął Witold.

– Słucham.

– Kraty w oknach – rzucił.

Odpowiedź padła szybko.

– Zainstalował je poprzedni właściciel.

Witold skinął głową na znak, że przyjmuje te wyjaśnienia. Położył na biurku fotografię dziecka.

– Kto to jest?

W gabinecie zapadła cisza.

Na twarzy gospodarza zaszła zmiana. W jego oczach pojawił się dziwny błysk, kąciki ust lekko zadrżały.

Trwało to tylko chwilę, lecz wystarczająco długo, aby Witold zauważył, że tym prostym pytaniem dotknął jakiegoś czułego punktu. Zrozumiał także, że nie jest to odpowiedni moment, aby drążyć ten temat.

Wereszyński szybko zapanował nad emocjami. Spojrzał na Witolda twardo, jakby tym jednym spojrzeniem chciał zamknąć mu usta.

– Ma pan jeszcze jakieś pytania?

Witold uśmiechnął się do własnych myśli. Nie miał już żadnych wątpliwości, że z postacią uwiecznioną na fotografii wiązała się historia, do której gospodarz nie chciał wracać.

– Nie – odpowiedział zgodnie z oczekiwaniami.

Wereszyński zadowolony pokiwał głową.

– Co pan teraz zamierza?

Witold nie miał ochoty tłumaczyć mu się z każdego ruchu. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że w zaistniałej sytuacji nie ma zbyt dużego pola manewru. Zasady narzucone przez Wereszyńskiego były czytelne. Chcąc nie chcąc, musiał pogodzić się z podyktowanymi mu regułami.

Wyjął z kieszonki zegarek i sprawdził godzinę. Dochodziła piąta. Było dość wcześnie. Sklepy przy rynku, które odwiedzała tamtego dnia Anna Wereszyńska, powinny być jeszcze otwarte. Pomyślał, że warto przejść się tą samą trasą, porozmawiać z ludźmi, z którymi wówczas rozmawiała. Może teraz, po kilku dniach, przypomną sobie jakiś szczegół, coś, na co wcześniej nie zwrócili uwagi.

Podzielił się swoimi spostrzeżeniami.

– Leopold pana podwiezie – zaproponował Wereszyński.

Witold w pierwszej chwili chciał podziękować, ale górę wzięły praktyczne aspekty. Nie najlepiej się czuł, – dłoń wciąż dawała o sobie znać.

Kwadrans później stangret zatrzymał dorożkę przed pomnikiem Mickiewicza.

– Będę panu jeszcze potrzebny?

Witold pokręcił głową.

Leopold uklonił się i odjechał.

Witold długo patrzył za oddalającą się dorożką. Kiedy zniknęła z pola widzenia,

skierował swe kroki do Hawełki. Tutaj, przy filiżance kawy i lampce koniaku, analizując przebieg spotkania, doszedł do jednego wniosku. Stanisław Wereszyński powiedział tylko to, co uważał za istotne, ukrył zaś dużą część prawdy o sobie i żonie.

Prawdopodobnie dla śledztwa nie miało to żadnego znaczenia, ale Witolda nie opuszczało przecucie, że coś tutaj nie pasuje. Nie mógł uchwycić ulotnej myśli. Otaczała go mgielka nieomówień.

Wędrówkę śladami Anny Wereszyńskiej odłożył na następny dzień.

Cukiernia Maurizia

16 września 1904 r. – piątek rano

Witold całe przedpołudnie krążył po rynku, wypytyując subiektów o Annę Wereszyńską. Dowiedział się, że była klientem wymagającym, którego gusta trudno było zaspokoić, ale nigdy nie wychodziła ze sklepu z pustymi rękoma. Tak samo było i tamtego dnia. Potwierdziło się to, co wiedział już od Wereszyńskiego.

Ostatnim celem jego wędrówki była cukiernia Maurizia. Czekoladki tej znanej firmy miały ustaloną markę. Sam często tutaj zachodził, aby kupić Jadwidze tak lubiane przez nią ciasteczka z kandyzowanymi owocami, a dla siebie słynną firmową morelówkę lub dereniówkę.

O tej porze w sklepie panowała senna atmosfera. Najwięcej gości pojawiała się w godzinach popołudniowych, kiedy to cukiernię odwiedzali dziennikarze związane z „Czasem”.

Witold popchnął drzwi. Zadzźwięczał zawieszony u wejścia dzwonek. Rudy, najwyżej osiemnastoletni subiekt oderwał wzrok od okna i z pewnym ożywieniem popatrzył na nowego klienta. Starszy od niego mężczyzna, który nieopodal wykladał w gablocie nową porcję apetycznych wypieków, przerwał swoje zajęcie. Oszczędnym ruchem głowy dał młodzieńcowi znak, żeby zajął się nowym klientem.

Rudy uśmiechnął się.

– W czym mogę pomóc szanownemu panu?

Witold lekko pochylił się w jego stronę i spytał o Annę Wereszyńską.

Chłopak zamarł w bezruchu. Chwilę później, zerkając w stronę starszego pracownika, spytał bardzo głośno, tak, aby tamten mógł dobrze go usłyszeć.

– Życzy pan sobie czekoladki?

Witold patrzył na chłopaka uważnie. Zrozumiał, że ten chce porozmawiać z nim na osobności.

– Poproszę duże pudełko firmowych.

– Oczywiście. – Spojrzał z wyczekiwaniem na Witolda. Następny ruch należał do niego.

– Mógłby pan dostarczyć je do kawiarni w Grand Hotelu?

Chłopak udał, że się zastanawia. Przeprusił i podszedł do starszego cukiernika. Coś mu tłumaczył. Mężczyzna skinął przyzwalająco głową.

– Będzie tak, jak pan sobie życzy – powiedział subiekt, mrugając porozumiewawczo.

Witold niespiesznie udał się na Sławkowską, do Grand Hotelu. Przez pierwszą salę, przeznaczoną na cukiernię, przeszedł do kawiarni wyposażonej w dwa mahoniowe bilardy sprowadzone przez właściciela z Wiednia. Tutaj zajął stolik w głębi sali, z widokiem na drzwi.

Zamówił kawę i poprosił o gazety.

Na drugiej stronie „Czasu” znalazł krótką informację, która wzbudziła jego zainteresowanie:

„Dnia 22 b.m. w tutejszym CK Sądzie Krajowym Karnym przed trybunałem przysięgłych rozpocznie się rozprawa o defraudację w tutejszym Towarzystwie Kredytowym Rękodzielników i Przemysłowców.

Bilety wstępu na rozprawę wydawane będą dnia 21 b.m. między godziną 3 a 4 w Biurze Podawczym CK Sądu Krajowego Karnego”.

Zainteresowanie Witolda tematem było w pełni uzasadnione. W 1902 roku, po tym jak wykryto nieprawidłowości w księgach, dyrektor Towarzystwa, Roman Chmurski, pospiesznie opuścił kraj. Witold, którego do tej sprawy wynajęli poszkodowani członkowie Towarzystwa, przemierzył pół Europy, podążając jego śladem. Złapał go dopiero w Paryżu i siłą sprowadził do

Krakowa.

– Pana czekoladki. – Skupiony na lekturze nie zauważył młodego subiekta. Rudzielec położył na stoliku duże pudełko od Maurizia. Przysunął sobie krzesło. Usiadł.

Witold przez chwilę przyglądał się chłopcu z uwagą. Rozbiegany wzrok, wypieki na twarzy. Wszystko to świadczyło o jego wielkim zdenerwowaniu.

– Nie spieszył się pan – rzucił.

Tamten wzruszył ramionami.

– Zamówi mi pan kawę?

Witold skinął na kelnera. Wskazał na chłopca i pustą filiżankę kawy.

– Dla tego pana to samo.

Kiedy kelner odszedł, subiekt rozejrzał się nerwowo.

Dwa stoliki dalej siedział dystyngowany jegomość. Przytrzymując monokl, czytał gazetę. Było mało prawdopodobne, by słyszał prowadzoną przez nich rozmowę.

Mimo to chłopak pochylił się lekko do przodu i przemówił cichym, lekko drżącym głosem.

– Nie powinienem pytać, dlaczego tak bardzo interesuje się pan Anną Wereszyńską. Ta piękna i inteligentna kobieta zasługuje na pełen szacunek. – W jego oczach pojawiły się wesołe iskierki. – Jeżeli ma pan wobec niej jakieś złe zamiary, to... – Zamilkł, nie bardzo wiedząc, jak ma dokończyć zdanie.

Witold długo patrzył na niego w milczeniu. Uśmiechnął się do własnych myśli. Sposób, w jaki chłopak rozpoczął rozmowę i w jaki wypowiadał imię zaginionej, mógł świadczyć tylko o jednym. Chłopak nie pozostawał obojętny na urok, który roztaczała wokół siebie Wereszyńska.

Rudzielec strzepnął z nogawki niewidoczny pyłek.

– Dobrze, co chce pan wiedzieć? – zapytał, kiedy cisza przeciągnęła się niebezpiecznie.

– Czy Anna Wereszyńska była w cukierni w zeszły piątek? – To akurat Witold wiedział, ale musiał od czegoś zacząć. Proste, banalne pytanie, które miało rozluźnić atmosferę.

– Tak. Jak zwykle elegancka, tego dnia ubrana była w suknię z różowego batystu z szeroką falbanką i dwoma bufkami, a na głowie miała kapelusz z delikatnymi zdobieniami.

Witold był pod wrażeniem dokładnego opisu.

– Zauważył pan coś szczególnego w jej zachowaniu? – To pytanie ostatnio padało z jego ust wielokrotnie.

Chłopak uśmiechnął się tajemniczo.

– Spieszyła się.

Witold nie ponaglał go. Z doświadczenia wiedział, że w takich momentach lepiej jest pozostawić sprawy swojemu biegowi. Cierpliwie czekał, aż subiekt dokończy rozpoczętą myśl.

– Na ogół spędza w cukierni kilkanaście minut. Dużo rozmawiamy.

– Tak? A o czym?

Chłopak usłyszał w głosie Witolda ironię. Spojrzał na niego oburzony.

– Pan myśli, że jak jestem zwykłym sprzedawcą, to nie znajdę z taką panią wspólnego tematu?

– Nic nie myślę, drogi panie – uciął Witold.

Był zły na siebie, że niewłaściwie ocenił chłopca. Pozornie niewinną uwagą mógł wszystko popsuć. Teraz już wiedział, że subiekt należy do grupy ludzi, których łatwo obrazić.

Wpatrywał się w dzieciinną jeszcze twarz cukiernika i rozmyślał, w jaki sposób ma dalej prowadzić rozmowę. Chłopak siedział w milczeniu, mocno zaciskał usta i patrzył na czubki swoich butów. Witold przyrównywał go w myślach do żółwia, który schował się w swojej skorupie.

– Panie... – zaczął. Spojrzał na niego wyczekująco.

– Ignacy – podchwycił rudy subiekt.

– Panie Ignacy, przepraszam, jeśli pana uraziłem.

Witold zastosował najprostszy środek. Otwarcie przyznał się do błędu. Nie był pewien, czy w tym wypadku ta metoda zadziała, dlatego w napięciu czekał na efekt.

Ignacy uniósł głowę. W głosie Witolda wyczuł szczerłość. Na jego bladej twarzy pojawił się uśmiech.

– Wracając do pani Wereszyńskiej – podjął Witold. – Wspomniał pan, że się spieszyła. Ignacy westchnął.

– Tak. Anna – po raz pierwszy użył tylko jej imienia – była nieobecna myślami. Co chwilę zerkała w okno, w miejsce, gdzie stał Leopold, jej stangret. Jakby obawiała się czegoś. W pewnym momencie... Byłem wówczas sam... – Uśmiechnął się do tych wspomnień. Zadrżał, kiedy przypomniał sobie, jak dotknęła dłonią jego policzka.

Nie ludził się. Kobieta była poza jego zasięgiem, uosabiała świat zupełnie mu odległy. Nie przeszkadzało mu to jednak wieczorami wzdychać do niej po cichu.

– Tak? – Witold zachęcił go łagodnym uśmiechem, aby mówił dalej.

– W pewnym momencie spytała, czy jest z cukierni jakieś inne wyjście. Powiedziałem, że tak.

– Nie był pan zdziwiony?

– Byłem.

– Czy tłumaczyła, o co chodzi?

Pokręcił głową.

Uważał, że Anna Wereszyńska nie musi nic wyjaśniać. W tamtej chwili najważniejsze było dla niego, żeby jej pomóc.

– Co pan zrobił?

– Wyprowadziłem ją wyjściem dla personelu, od strony podwórka. Brama wychodzi na ulicę Sławkowską.

– Co było potem?

Chłopak patrzył przed siebie zamyślony. Wolno przeniósł wzrok na Witolda.

Wzruszył ramionami.

– Nic.

– W którym kierunku poszła?

– Nie wiem. Szybko wróciłem do sklepu.

– Czy Anna Wereszyńska spotkała kogoś na ulicy? Rozmawiała z kimś?

Ignacy uniósł brwi w zdziwieniu.

– Powiedziałem wyraźnie: wróciłem do sklepu.

Witold pokiwał ze zrozumieniem głową.

– No tak, przecież sklep był wówczas bez opieki – rzucił od niechcienia.

Chłopak otworzył usta i patrzył niepewnie na Witolda. Ten uśmiechnął się lekko.

– Proszę się nie martwić, nikt się o tym nie dowie. Nie naraziłbym pana na kłopoty w pracy.

Milczeli przez kilka chwil.

Pierwszy odezwał się subiekt.

– Czy ona... – chwycił Witolda za ramię i mocno zacisnął dłoń. – Niech pan mi powie jedno, czy ona... czy Anna odeszła od niego? Tak? – Pytanie było natarcywe, a uścisk dłoni coraz mocniejszy.

Witold milczał.

– Ja... – Ignacy plątał się. Jego twarz oblał rumieniec. – Ja ją kocham – wyznał. Poczł wielką ulgę. W końcu wyrzucił z siebie to, co od dawna leżało mu na sercu.

Witold domyślał się tego prawie od początku.

– Gdyby stało się jej coś złego... – Patrzył niepewnie na swego rozmówcę. Z każdą chwilą był coraz bardziej przerażony. Ten zupełnie obcy mu człowiek od razu poznał jego głęboką tajemnicę.

Kim, do diabła, jesteś? – spytał w myślach.

– Nie powie pan nikomu?

Witold uśmiechnął się.

– Nie. Zapewniam pana, że to pozostanie między nami... – Zawiesił głos. – Tak jak ta rozmowa.

Umowa była uczciwa. Subiekt skinął głową.

– Pomogłem panu chociaż?

– O tak, bardzo... Proszę teraz wrócić do pracy, zanim ktokolwiek zainteresuje się pana nieobecnością – poradził życzliwie.

– Gdybym był jeszcze panu potrzebny...

– Wiem, gdzie pana szukać.

Ignacy wstał i sztywnym krokiem ruszył do wyjścia.

Witold odprowadził go wzrokiem. Zamówił lampkę koniaku i delektując się jego smakiem, porządkował w myślach zdobyte informacje.

Wiedział już, kiedy i w jaki sposób zniknęła Anna Wereszyńska. Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiał, tym bardziej podejrzewał, że na Sławkowskiej lub w okolicy ktoś na nią czekał. Pozostało mu tylko ustalić, z kim spotkała się po wyjściu od Maurizia.

Prosto z kawiarni udał się na plac Szczepański. Przeszedł obok budynku Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Wyminął handlujące wieśniaczki, które jazgotliwym krzykiem zachęcały do zakupu świeżego mleka, i skierował się na usytuowany przed Teatrem Starym postój dorożek.

Wśród fiaków wypatrzył Austriaka Joerga Eignera – rodowitego wiedeńczyka, który zupełnie przypadkowo trafił do Krakowa i tak zasmakował w tym miejscu, że nie wyobrażał sobie życia gdzie indziej. Sam mawiał, że nie ma zamiaru opuszczać tego miasta, chyba że zawezwie go sam święty Piotr.

Panowie poznali się przed czterema laty, kiedy Witold prowadził swoje pierwsze krakowskie śledztwo. Szybko znaleźli wspólny język.

Eigner w niczym nie przypominał swoich kolegów po fachu. Był odcytany, mówił czystą polszczyzną z charakterystycznym twardym akcentem. Mało pił, za to dużo palił – na ogół fajkę, a nie cygaro, jak inni fiakrzy.

Wyróżniał się jeszcze jedną cechą – nigdy nie naciągał swoich klientów, ściśle stosując się do regulaminu. Oczywiście w drodze wyjątku odstępował od przyjętych zasad. Jego twarz promieniowała radością bez względu na aurę.

Teraz Eigner, jak to było w jego zwyczaju, przeglądał gazetę w oczekiwaniu na klienta. W ustach trzymał nieodłączną fajkę.

Na widok Witolda w jego błękitnych oczach pojawił się dziwny błysk.

– Kawał czasu, przyjacielu – powiedział na przywitanie z nutką wyrzutu w głosie.

Witold nie mógł przypomnieć sobie, kiedy widzieli się ostatni raz. Pamiętał jedynie, że wówczas prowadził sprawę Brzozowskiej. Miesiąc, może dwa miesiące wcześniej?

– Byłem zajęty – powiedział Witold pojednawczym tonem.

Eigner spojrzał na niego uważnie.

– O tak, na pewno... – skwitował jego słowa krzywym uśmiechem.

Zapadła cisza. Fiakier patrzył na Witolda z wyczekiwaniem.

Korczyński zwlekał z przedstawieniem sprawy. Zastanawiał się, czy włączenie Eignera w śledztwo jest dobrym pomysłem.

– Co chcesz wiedzieć? – Eigner domyślił się, że Witold nie przyszedł tutaj na zwykłą pogawędkę.

Witold uśmiechnął się. Krótko, w paru zdaniach, przedstawił swoją prośbę. Nie wtajemniczał Austriaka w śledztwo. Powiedział tylko tyle, ile musiał.

Eigner wolno nabił fajkę świeżą porcją tytoniu. Włożył ją do ust i pykając, zastanawiał się, ile czasu zajmie mu zdobycie informacji o Wereszyńskiej.

– Przyjdź do mnie w niedzielę, po zmierzchu. Może już będę coś wiedział.

Witold, jak zwykle oszczędny w gestach, podziękował Eignerowi skinieniem głowy.

Odwrócił się i już miał odejść, kiedy usłyszał:

– A na przyszłość nie zapominaj o dobrych znajomych.

Róża

16 września 1904 r. – piątek po południu.

Zmęczony całodzienną wędrówką Witold postanowił odświeżyć się i wykąpać. Z placu najbliższej było na Podwale, gdzie pod numerem 16, w Hotelu Krakowskim, mieścił się zakład kąpielowy. Tam właśnie się skierował. W niedawno wyremontowanym zakładzie do użytku gości oddano łaźnię parową oraz baseny z zimną i ciepłą wodą.

Łazienki przygotował gorącą kąpiel, podał ręczniki, szlafrok i, na specjalne życzenie klienta, butelkę Château d'Yquem, rocznik 1898.

W zakładzie Witold spędził prawie godzinę.

O trzeciej zdecydował się wracać do domu.

Odszedł niedaleko, zaledwie trzy kroki od hotelu, kiedy ktoś chwycił go pod ramię. Zaskoczony spojrzał na szczupłą kobietę. Nieznajoma ubrana była elegancko, ale nie miał wątpliwości, czym się zajmuje. Patrzyła na niego prowokująco.

– Może chciałby się pan zabawić? – spytała.

Uwolnił się od jej uścisku.

– Nie jestem zainteresowany przygodną miłością – odburknął.

Starszy mężczyzna o profesorskim wyglądzie, który przechodził obok, zerknął na nich zgorszony.

– Czemu od razu tak ostro? Pan taki ładny, trzeba się czasami rozerwać...

Witold był poirytowany natarczywością kobiety.

– Powiedziałem chyba wyraźnie.

Sytuacja zaczynała być kłopotliwa.

– Szukaj szczęścia gdzie indziej – mruknął. Wyminął ją.

– Pan poczeka. – W głosie kobiety zabrzmiała dziwna nuta. Witold wbrew samemu sobie przystanął i poczekał, aż kobieta zrówna się z nim krokiem.

– Pan dzisiaj wypytywał o Annę Wereszyńską – rzuciła od niechcienia. Po raz drugi zaskoczyła Witolda.

Patrzył na nią uważnie i zastanawiał się, w którym momencie zapomniał o dyskrecji.

Tego dnia o Annie Wereszyńskiej rozmawiał z kilkoma osobami. Był jednak przekonany, że nikt nie zorientował się, czemu służą zadawane przez niego pytania. A tu, proszę, taka niespodzianka, pomyślał lekko rozdrażniony.

– Coś wiesz? – spytał ostrożnie.

Kobieta triumfowała.

– Może... Mam w hotelu taki przyjemny pokoik...

Witold zmusił się do uśmiechu.

– Dobrze, chodźmy zatem.

W drzwiach, jak przystało na dżentelmena, przepuścił kobietę. Zanim wszedł do hotelu, zerknął przez ramię, na Planty. Tak jak się spodziewał, w cieniu drzew dostrzegł opiekuna swojej towarzyszki. Był to muskularny blondyn z dużym wąsami zawiniętymi do góry. Palił papierosa i z uwagą patrzył na parę znikającą w hotelu.



Kobieta poprowadziła Witolda boczną klatką schodową, przez korytarz, do pokoju położonego na drugim piętrze. Znaleźli się w niewielkim salonie, wyposażonym tylko

w niewielki stolik i dwa wyściełane adamaszkiem fotele. Po prawej stronie znajdowało się oddzielone żaluzjowymi drzwiami wielkie łóżko, przykryte wzorzystą narzutą.

W pomieszczeniu było duszno. Pachniało silnymi perfumami, marsylskim mydłem i tytoniem.

Kobieta czuła się tutaj bardzo swobodnie. To było jej królestwo – miejsce, gdzie spędzała dużo czasu. Zdjęła kapelusz i bolerko. Stała przed Witoldem i podpierając się pod boki, patrzyła na niego wyzywająco.

Witold przyjrzał się jej z ciekawością i stwierdził, że była bardzo młoda. Mogła mieć najwyżej osiemnaście lat.

– Jak masz na imię? – spytał.

– Róża. – Uśmiechnęła się zalotnie. – Ale tak naprawdę to Czesia – dodała szybko.

Pokiwał głową. Jej prawdziwe imię było zbyt pospolite. Róża – to brzmiało bardziej światowo.

Witold ominął kobietę i usiadł w fotelu.

– Nie jesteś za młoda na... – Nie musiał kończyć.

– A ile według pana powinnam mieć lat, aby handlować swoim ciałem? – Usiadła naprzeciw Witolda. Patrzyła na niego prowokująco. – Nie jest panu za gorąco? – Odpięła guziki bluzki na tyle, aby Witold mógł dostrzec jej pachnące ciało.

Pochyliła się i ustami musnęła jego policzek.

– Pan taki spięty... – szepnęła mu do ucha. Jej palce powędrowały do guzików kamizelki.

Witold zdecydowanym gestem odsunął dziewczynę od siebie. Uśmiechnął się, rozbawiony całą sytuacją. Jak każdy mężczyzna był podatny na kobiecy urok, ale miał swoje zasady. Nigdy nie korzystał z usług kobiet takich jak Róża.

– Dość.

Zrobiła obrażoną minę.

Witold wstał. Podeszedł szybko do okna i otworzył je. Do pokoju wpadło świeże powietrze. Róża zadrżała.

– Zimno – szepnęła.

– Mów, co wiesz – rzucił.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Zapaliłabym papierosa. – To nie była prośba.

Milczał.

– Ma pan papierosy? – spytała niezrażona.

– Nie.

Zaśmiała się głośno, nieprzyjemnie.

– Ach, pan pewnie z tych, co palą tylko cygara i piją koniak – zakpiła.

Na kilka chwil zniknęła w pomieszczeniu obok. Wróciła z cienką cygaretką w dłoni. Spojrzała na Witolda wymownie, oczekując, że poda jej ogień.

Jej klient nawet nie drgnął.

Róża wróciła na swoje miejsce w fotelu. Palila, czasami wypuszczając z ust zabawne kółka z dymu.

Witold miał dosyć tej zabawy.

– Wiesz coś czy...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Ale pan zapłaci?

– Oczywiście. – Był na to przygotowany. Wszystko miało swoją cenę. Dobrze wiedział, że w życiu nie ma nic za darmo. – Ile?

– No wie pan, tyle, ile za normalną usługę. – Uśmiechnęła się, pokazując rząd białych zębów.

– Więc? – stawał się coraz bardziej niecierpliwy.

– Pięć koron – powiedziała pewnym głosem – i drugie tyle za informacje.

Wyjął z pugilaresu kilka monet i położył na stoliczku.

Róża przeliczyła. Było tam tylko pięć koron. Posłała Witoldowi zaniepokojone spojrzenie.

– A reszta?

– Muszę wiedzieć, za co płacę.

– Bodaj cię małanka^[1] spiekła – mruknęła. Poprawiła się w fotelu i zaciągnęła papierosem. – Siadaj pan, bo nie umiem mówić, jak ktoś stoi nade mną jak kat nad dobrą duszą.

Witold skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

– No dobrze. Więc... Pan łąził po rynku i wypytywał o nią. Dlatego... – mówiła urywanymi zdaniem, co chwilę przerywając rozpoczętą myśl. – Ja pracowałam kiedyś w tym pałacu, gdzie ona mieszka.

Witold spojrzał na nią z uwagą.

– Rzadko ją widywałam, bo pracowałam w kuchni miesiąc, może dwa. Potem pan wyrzucił mnie...

– Dlaczego cię wyrzucił?

– A czy to ważne? – syknęła, zła na siebie, że o tym wspomniała.

Nic nie powiedział.

– Jedno wiem – podjęła po chwili. – To zły człowiek...

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Co masz na myśli? – spytał ostrożnie.

– Niech pan spyta o Kacpra i o to, co się z nim stało – szepnęła.

– Kim jest Kacper? – Pytanie samo się nasunęło.

– Zajmował się końmi.

– Co to ma wspólnego z Anną Wereszyńską?

– Może nic, a może wiele?

Jeszcze przez chwilę patrzył na nią w zadumie.

– To wszystko?

– No tak... – Nie była już tak pewna siebie jak przed kilkunastoma minutami.

Sięgnął po pieniądze.

– Masz tu dwie korony.

– Dwie? Umawialiśmy się na więcej! – rzuciła rozczarowana.

– Tyle są warte twoje informacje – odpowiedział.

Wyszedł szybko, trzaskając drzwiami.

Róża odczekała chwilę i podeszła do okna, które wychodziło na ulicę. Wzrokiem odszukała swego opiekuna. Stał w cieniu drzew i czekał na dany przez nią znak.

Róża pokręciła głową. Mężczyzna zrozumiał. Nie wszystko przebiegło po ich myśli.



Witold szedł Plantami, zastanawiając się, czy to, co usłyszał od Róży, ma jakiegokolwiek znaczenie. Zadawał sobie pytanie, na które daremnie szukał odpowiedzi. Jak najszybciej musiał wyjaśnić dwie sprawy. Czy Róża naprawdę przez jakiś czas pracowała u Wereszyńskich? I co wspólnego ze zniknięciem Anny miał stajenny?

Przechodził obok Szewskiej, kiedy ktoś zrównał się z nim krokiem. Witold był zbyt zamyślony, aby zwrócić na to uwagę. Nagle dostrzegł błysk metalu. Zareagował o ułamek sekundy za późno – kastet otarł się o jego skroń. Cios był na tyle mocny, że odrzucił Witolda do tyłu. Lekko oszołomiony patrzył na muskularnego blondyna z dużymi wąsami.

Napastnik, od którego bił zapach czosnku, poruszał się szybko i zwinnie. Z namysłem uderzył drugi raz. Witold zachwiał się, ale nie upadł. Ponowny cios, tym razem w żebra, pozbawił go tchu. To był koniec walki.

Witold odplynał.

Odzyskał przytomność kilka minut później. Leżał na trawie. Z trudem dźwignął się na kolana. Dotknął rozciętego czoła. Z niewielkiej rany sączyła się wąska strużka krwi, oblepiając skroń i policzek. Powoli dochodził do siebie. Sprawdził kieszenie. Nie miał pieniędzy, po zegarku został tylko łańcuszek. Stracił także jedyną rodzinną pamiątkę – sygnet rodowy, z którym nigdy się nie rozstawał.

Wstał. Oparł się o drzewo. Przez dłuższą chwilę zbierał siły. Potem odepchnął się od konaru i jak pijany wtoczył na ścieżkę, budząc strach przechodzącej obok młodej kobiety. Krzyknęła. Z oddali dobiegły męskie głosy. Zawtórował im policyjny gwizdek.



Kurz przetarł dłońmi zmęczone oczy. Od blisko godziny zapoznawał się z raportami wykroczeń i zbrodni popełnionych w ostatnim tygodniu. Szybko przeprowadził analizę. Wynikało z niej, że w połowie przypadków sprawcy nie zostali jeszcze wykryci.

Dyrekcji policji nie przynosiły chluby takie sprawy jak napaść na chłopak zatrudnionego w warsztatach Pinkalskiego.

W innym wypadku Kurz musiałby wobec swoich ludzi podjąć zdecydowane działania. Pokręcił niezadowolony głową.

Nie rozumiał, czym kierowali się dwaj żandarmi policyjni i dwaj agenci, którzy zatrzymali pijanego majstra, przewieźli go do aresztu i tu dotkliwie pobili. Oczywiście majster doniósł o sprawie do prokuratury. Kurz co prawda wybronił podopiecznych, ale i tak musiał na dwa miesiące zawiesić ich w pełnieniu obowiązków.

Jeszcze raz niechętnie zerknął do raportów. Spraw przybywało. Brakowało mu ludzi.

Oczywiście policja mogła poszczycić się także pewnymi osiągnięciami. Należało do nich aresztowanie czterdziestoletniego Markusa Goldberga z Przemyśla, niebezpiecznego złodzieja, od kilku miesięcy okradającego mieszkańców Krakowa.

Kurz przebiegł wzrokiem kilka stron dalej – do fragmentu, który dotyczył zbrodni przy ulicy Dietla. Zamordowaną była znana władzom Bronisława Marciszewska, włóczęga i alkoholiczka, pijąca z kim popadnie i gdzie się da. Morderców złapano jeszcze tego samego dnia.

Kurz życzył sobie, aby za każdym razem agenci działali tak szybko i sprawnie. Jego rozważania przerwało pukanie do drzwi.

Do pokoju wszedł agent Pawliczko. Ten mężczyzna o młodzieńczej twarzy pracował w Krakowie zaledwie trzy tygodnie. Drażnił Kurza swoją nieśmiałością.

Inspektor oderwał wzrok od rozłożonych papierów i spojrzał niechętnie na agenta.

– Tak? – Starał się nadać swojemu głosowi możliwie spokojne brzmienie.

Agent stał niepewnie przy drzwiach.

– Mam go wprowadzić?

Kurz patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

– Kogo? – spytał w końcu zrezygnowany.
– Tego mężczyznę, który straszył dzisiaj na Plantach kobiety. – Zamilkł pod czujnym wzrokiem swojego szefa. – Sam pan mówił, że chce z nim porozmawiać – dodał szybko.
Kurz pokiwał głową. Zupełnie o tym zapomniał.

– Dawaj go pan.
Wiedział, że Pawliczce sprowadzenie nieznajomego z aresztu zajmie dobrych kilka minut.

Kiedy agent wyszedł, Kurz powrócił do raportów, dokładnie zapoznając się z tym, który dotyczył znalezionych w środe nad Wisłą zwłok młodego chłopaka.

Obawiał się, że będzie to następna nierozwiązana zagadka, ponieważ do tej pory agenci policyjni nie ustalili niczego, co pchnęłoby śledztwo do przodu. Najgorsze w tym wszystkim było to, że nie poznano także tożsamości ofiary, chociaż początkowo wydawało się to proste. Chłopak miał na prawym policzku charakterystyczne znamię – brązową plamę. Policyjny lekarz stwierdził, że była ona skutkiem urazu z dzieciństwa, prawdopodobnie poparzenia.

– Panie inspektorze – zabrzmiał piskliwie głos Pawliczki.

Kurz uniósł głowę.

W drzwiach stał agent, a obok niego – Witold Korczyński.

Na jego widok twarz inspektora po raz pierwszy tego dnia rozpromienił uśmiech.

Z nieba mi spadłeś, pomyślał Kurz.

W następnej chwili, kiedy zobaczył minę Pawliczki, wszystko zrozumiał.

Spojrzał na Witolda. Podkrążone oczy i ziemista cera przypomniały mu o pewnym zdarzeniu, które zaszło przed paroma dniami.

Myśli inspektora powędrowały w stronę nieudolnie przeprowadzonej obławy na wałęsające się późnym wieczorem „ćmy nocne”. Jej skutkiem było aresztowanie Bogu ducha winnej szwaczki.

To wówczas, kiedy gromada żandarmów, prowadzona przez kilku agentów, uganiała się po ulicach miasta, a on sam siedział w dorożce i nadzorował całą akcję, zupełnie przypadkowo zobaczył, jak Witold Korczyński wychodzi z kamienicy przy Szewskiej. Tam, na pierwszym piętrze, znajdowała się sala gier. Inspektor pomyślał wówczas, że Witold całą noc spędził przy kartach.

Kurz wolno przeniósł wzrok na Pawliczkę.

– Mam zostać? – spytał agent.

Inspektor odprawił go machnięciem ręki.

Kiedy zostali sami, wskazał Witoldowi krzesło. Patrzył na niego zaintrygowany. Na jego twarzy dostrzegł ślady krwi.

– Opowie mi pan wszystko? – Kurz nie miał ochoty bawić się w domysły. Lubił jasne sytuacje.

Witold nie miał wyjścia, ale w pierwszej chwili się zawahał. Zakłopotany zerknął na inspektora.

– Cóż, okradziono mnie – wyrzucił z siebie.

Kurz otworzył szerzej oczy.

– Pana?

Witold uśmiechnął się.

– Straciłem rodzinną pamiątkę. Może nie jest aż tak cenna, ale dla mnie ma wielką sentymentalną wartość.

– Mów pan.

Witold krótko, bez wdawania się w szczegóły, opowiedział swoją historię, rozpoczynając

ją od momentu, kiedy znalazł się na Plantach. Co było oczywiste, pominął pewne fakty.

– Przypuszczam, że wie pan, kto to zrobił? – spytał Kurz.

To proste pytanie po raz kolejny przekonało Witolda, że inspektor nie jest tuzinkową postacią. Spośród innych policjantów wyróżniał się inteligencją i sztuką dedukcji.

Witold cofnął się nieco w czasie. Wspomnił o Róży i hotelu.

– W ciekawym towarzystwie pan się obraca – skwitował Kurz z lekkim uśmiechem.

Na chwilę zapadła cisza.

Kurz poczęstował Witolda cygarem. Zwlekał z następnymi pytaniami, a miał ich dużo.

– Mam rozumieć, że obecnie prowadzi pan jakąś sprawę?

Witold skinął tylko głową.

– I oczywiście nie może mi pan powiedzieć nic więcej? – Nie oczekiwał odpowiedzi.

Znał ją, nim zadał pytanie.

– Zgadza się – mruknął Witold.

Kurz popukał w dokumenty.

– A ja mam dla pana pewną zagadkę.

Popchnął w stronę Witolda raport otwarty na stronie poświęconej zabójstwu chłopca.

Szybko przeszedł do rzeczy i w paru zdaniach przedstawił zebrane do tej pory materiały, których tak naprawdę nie było wiele.

– Miałem nadzieję, że to pana zainteresuje.

Ale zapewne w zaistniałej sytuacji nie mogę liczyć na pana wsparcie, pomyślał. Mimo to postanowił spróbować.

Witold zerknął na dokument, pobieżnie zapoznał się z jego treścią, przejrzał fotografie, a potem wolno i z namysłem odsunął teczkę.

– Niewątpliwie jest to ciekawa historia – zaczął. – Przykro mi, ale obawiam się, że nie znajdę czasu, aby się tym zająć – dokończył spokojnie.

Kurz pokiwał ze zrozumieniem głową. Nie naciskał.

– Wracając do pana... – szukał odpowiedniego słowa – do pana przygody. Mogę panu pomóc. Zgłosi pan to oficjalnie i moi ludzie się tym zajmą.

Witold pokręcił głową.

– Myślę, że poradzę sobie sam, ale gdyby chciał udzielić mi panu wskazówek... –

Przerwał i spojrzał na Kurza wyczekująco.

– Byłoby panu łatwiej odnaleźć te właściwe osoby – dokończył za niego Kurz.

Rozumieli się w pół słowa.

– Powiedz pan, jak wyglądał ten rabuś.

Witold dosyć dokładnie opisał mężczyznę.

Kurz zamyślił się. Próbował do tego opisu dopasować konkretną osobę. Znał w Krakowie prawie każdego rzezimieszka. Wiedział, kto czym się zajmuje i jak daleko może się posunąć.

W tym świecie panowały jasne i czytelne zasady. Każdy miał przypisaną sobie określoną rolę i na ogół nie wchodził innym w paradę.

Przedstawiony przez Witolda opis idealnie pasował mu do Dużego Tacka, który nosił to przezwisko z racji swojego wzrostu.

Po chwili wahania Kurz rzucił prawdziwe nazwisko mężczyzny.

– Przypuszczam, że to Tadeusz Pieronek.

– Pieronek – powtórzył Witold bezwiednie.

– To bardzo niebezpieczny człowiek. Jest pan pewien, że niepotrzebne będzie wsparcie moich ludzi?

– Tak.

Dokładnie takiej odpowiedzi spodziewał się Kurz. Dla niego było to dobre rozwiązanie – nie musiał angażować swoich ludzi, którzy i tak mieli ręce pełne roboty.

– Gdzie go znajdę? – spytał Witold, doceniając starania inspektora.

– Na ogół działa w okolicach Hotelu Krakowskiego, ale o tym pan już wie...

Na twarzy Kurza pojawił się cień uśmiechu.

– Sądzę, że nie tak łatwo będzie go znaleźć. Po tym wszystkim pewnie zaszyje się w jakiejś bezpiecznej norze.

[1] Małanka (gwara małopolska) – wieczorna błyskawica.

Wizyta

18 września 1904 r. – niedziela rano

Noc z soboty na niedzielę Witold spędził na wędrówce ulicami Krakowa. Odwiedzał najgorsze lokale, był wszędzie tam, gdzie pojawiała się podejrzanе towarzystwo.

Przebrany za handlarza starociami, pytał w knajpach i spelunkach, zaczepiał kręcące się przy łaźni prostytutki. Nawet obsługa hotelu nabrała wody w usta. Nikt nic nie wiedział. Nie pomogły udzielone przez Kurza wskazówki.

Zarówno Róża, jak i jej opiekun zapadli się pod ziemię.

Dopiero nad ranem trafił na jakiś trop. Na postoju dorożek przy placu Kossaka ponury dorożkarz podpowiedział Witoldowi, aby w szynku Rosenstocka, koło torów kolejowych przy ulicy Lubicz, spytał o Dziadka. Mężczyzna wiedział podobno wszystko o wszystkich.

Pech nie opuszczał Witolda. U Rosenstocka pojawił się za późno. Kelner w przybrudzonym fartuchu wyjaśnił mu, że Dziadek niedawno opuścił lokal. Zapraszał następnego wieczoru.

Witold do domu wrócił po piątej rano, zły i zmęczony. Jadwiga, która przywykła już do tych jego wypadów, nauczyła się nie zadawać żadnych pytań. Otworzyła drzwi, oświetliła Witolda lampą i tylko wzruszyła ramionami.



Spał zaledwie kilka godzin.

Obudziło go pukanie do drzwi, wcale niedelikatne.

Jadwiga weszła, rzuciła okiem na porozrzucane ubrania.

– Ma pan gościa – mruknęła niewyraźnie.

Bezwiednie sięgnął po zegarek. Kładł go zawsze przed snem w tym samym miejscu, na nocnym stoliku. Cofnął dłoń jak oparzony, kiedy przypomniał sobie wydarzenia z piątku.

– Która godzina?

Jadwiga patrzyła na Witolda z politowaniem.

– Dziewiąta.

– Tak wcześnie?

Wcześnie? obruszyła się w myślach.

– Co mam powiedzieć?

Usiadł.

– Kto to?

– Nie przedstawiła się.

– Kobieta – powiedział raczej do siebie niż do Jadwigi.

– No przecie mówię, że tak. Wspomniała coś, że pracuje w pałacu w Dębnikach i jest osobistą pokojówką... – Zamilkła. Nigdy nie miała pamięci do imion i nazwisk.

– Anny Wereszyńskiej – dokończył za nią Witold. Wiedział już, kim jest niezapowiedziany gość. Spodziewał się tej wizyty.

Włożył szlafrok.

– Poczęstuje ją Jadwiga herbatą.

– Już to zrobiłam.

– Proszę jej powiedzieć, że przyjdę za pięć minut.

– Powiedziałam, że za dziesięć.



Kobiety plotkowały w najlepsze jak dwie stare kumoszki. Jadwiga niezwykle szybko nawiązywała kontakt z ludźmi. Dzięki życiowej mądrości i ciepłu, które wokół siebie rozciągała, znajdowała wspólny język z każdym – czy to z prostą kucharką, czy ze znającą obce języki guwernantką.

Kiedy Witold stanął w drzwiach kuchni, Jadwiga, mimo że go dostrzegła, nie przerwała snutej przez siebie historii. Słowa płynęły wartkim strumieniem.

Maria Frank na widok pana domu zareagowała zupełnie inaczej. Wstała gwałtownie, a potrącona przez nią filiżanka zatańczyła na spodku i z hukiem uderzyła o posadzkę. Kobieta rzuciła się, aby pozbierać rozbite skorupy.

– Zostaw, kochana, ja to zrobię – powstrzymał ją stanowczy głos Jadwigi.

Frank wstała z kolan i niepewnie spojrzała na Witolda. Ten zaprosił ją gestem na górę do gabinetu.



Kobieta usiadła na brzegu krzesła. Witold zajął miejsce naprzeciw niej.

– Czy ktoś wie, że pani tu przyszła?

– Nie. Powiedziałam, że idę do kościoła. Mam nadzieję, że Bóg mi wybaczy to niewinne kłamstwo, ale zrobiłam to dla pani. – Zamilkła. Wciąż miała wątpliwości, czy dobrze czyniła.

– Nikt pani nie śledził?

Chwilę później Witold zrozumiał, że nie były to odpowiednie słowa.

Maria Frank pobladła.

– Śledził? – powtórzyła. – O Jezusie najświętszy, teraz to mi pan namieszał.

Nerwowo zacisnęła pięści.

Przez następne kilka minut tłumaczył jej jak dziecku, że nie miał nic złego na myśli. Zapewniał, że jest tutaj bezpieczna.

Powoli uspokoiła się, ale w jej oczach wciąż czaiła się niepewność.

Witold był zły na siebie. Przecież sam sprowokował taką sytuację. Wiedział, że musi szybko coś zrobić, aby przełamać lody.

Pochylił się lekko i ujął drobną dłoń kobiety.

– Dobrze, że zdecydowała się pani ze mną porozmawiać – powiedział tylko. Te kilka spokojnych słów przekonało ją o słuszności podjętej decyzji.

– Tak się martwię o panią Annę – wyszeptała. Nie zauważyła, kiedy w kąciku prawego oka pojawiła się łza.

Witold podniósł się i podszedł do stolika, na którym zawsze stała karafka z wodą i szklanki. Napelnił jedną z nich.

– Proszę.

Frank spojrzała na niego z wdzięcznością. Upiła łyk. Odetchnęła głęboko, z ulgą.

Witold odczekał chwilę, aż kobieta całkowicie się uspokoi. Zdawał sobie sprawę, jak wielkim przeżyciem była dla niej ta wizyta. Wcześniejsza rozmowa z Jadwigą uspokoiła ją, teraz powróciły emocje.

– Muszę zadać pani kilka pytań – zaczął ostrożnie, półgłosem.

Skinęła głową na znak, że jest gotowa.

– Kiedy rozmawialiśmy przed paroma dniami, odniosłem wrażenie, że pani się czegoś boi?

Milczała.

– Proszę dobrze przemyśleć każdą odpowiedź. To wszystko jest bardzo ważne.

Zastanawiał się, od czego ma zacząć.

Najlepiej od samego początku, pomyślał.

– Od kiedy pani pracuje u Wereszyńskich?

– Będzie jakieś dziesięć lat – odpowiedziała szybko. – Tak naprawdę to od tego roku, kiedy pan Henryk poślubił panią Annę – dodała.

– Zdecydowała się pani przenieść tutaj z Lwowa? – Witold był lekko zdziwiony.

– Nie tylko ja. Leopold też. Ja to nie mam rodziny, więc przyjechałam za panią.

A Leopold? On wiele zawdzięcza panu Henrykowi. Pryncypał wyciągnął go kiedyś z poważnych tarapatów. Leopold niechybnie umarłby z głodu, był dzieckiem ulicy.

Zapowiadało się na dłuższą historię.

– Zatem dobrze zna pani Annę Wereszyńską? – przerwał jej Witold.

– Właściwie to można tak powiedzieć...

– A jej tajemnice?

– Nie – odpowiedziała z pewnym zakłopotaniem. – Pani nigdy nie zwierza się ze swoich kłopotów – dodała szybko. – A ja o nic nie pytałam. Ale ostatnio nie wytrzymałam. Pani była taka smutna, prawie się nie odzywała. Spytałam, co ją tak martwi. Nic mi nie odpowiedziała. Nawet była zagniewana. Nie wracałam do tego, bo i po co? No a potem, kilka dni później...

– A jej mąż? Dostrzegł, że coś jest nie tak? – Witold wszedł jej w słowo.

Wzruszyła ramionami.

– Nie. Jak to mężczyzna – zajęty swoimi sprawami, nigdy nie miał dla pani czasu. Ja to się nawet nie dziwię, że wtedy przed kilkoma laty odeszła... – Przerwała wystraszona, że powiedziała za dużo.

Zerknęła niepewnie na Witolda.

– Wiem o tym zdarzeniu – uspokoił ją.

Odetchnęła z ulgą.

– Ach tak. Było, minęło.

Otarła chusteczką łzę.

– Dziś to żałuję, że nie dociekałam, co się dzieje. Może... może by to coś zmieniło?

Przez kilka chwil panowała cisza.

Witold zastanawiał się nad następnym pytaniem.

– Co pani Anna robiła w dzień?

Frank odpowiedziała bez wahania.

– Wstawiała około dziewiętej, planowała rozkład dnia dla służby, potem dawała instrukcje kucharce, a w południe spacerowała po rynku.

– Wtedy zawsze ktoś jej towarzyszył – wtrącił.

– Tak. Na ogół Leopold.

– Pani Anna była częstym gościem salonów. Z tego, co wiem, bywała tam razem z mężem. Zdarzały się jednak dni, kiedy jego nie było w Krakowie... – Nie dokończył swojej myśli. Pokojówka ubiegła jego pytanie:

– Wówczas towarzyszyła jej daleka kuzynka pana Stanisława.

Witold uśmiechnął się w duchu. Oto pojawił się element, który Wereszyński pominął w swojej opowieści. Czy zrobił to celowo? A może zapomniał?

Korczyński był ciekaw, czy kiedy Wereszyńscy mieszkali we Lwowie, Anna także udawała się na spacer w czymś towarzystwie. Kiedy o to zapytał, Frank się zamyśliła. Nie ponaglał jej.

– Ten zwyczaj pojawił się po...

– Po tej przygodzie, o której pani wcześniej wspominała – odpowiedział.

Spojrzała na niego w zadumie. Dopiero teraz w pełni zdała sobie z tego sprawę.

– No tak, rzeczywiście.

– Pan Stanisław nie ufał jej? – spytał wprost.

Kobieta milczała. Odpowiedź na postawione w ten sposób pytanie nie była taka prosta.

Czy jej ufał?

U Wereszyńskich pracowała na tyle długo, że zdążyła dobrze ich poznać. Była pewna jednego – pan Stanisław bardzo kochał swoją małżonkę.

Czy jej ufał?

Zaczęła w myślach analizować pewne zachowania Wereszyńskiego, na które wcześniej nie zwracała szczególnej uwagi.

Przypomniała sobie zdarzenie sprzed zaledwie dwóch tygodni. Anna wróciła z wieczorku u hrabiny Ledóchowskiej później niż zwykle. Ledwo zdążyła wejść do pokoju, Stanisław zarzucił ją pytaniami: „Kto tam był? Z kim rozmawiałeś? O czym?”

Pokojówka, która była obecna przy tej rozmowie, potraktowała jego zachowanie jako przejaw zwykłej ciekawości. Teraz jednak, kiedy jeszcze raz wróciła do tamtego dnia, miała wątpliwości, czy Stanisławem kierowały tylko takie uczucia.

Długo biła się z myślami. Witold taktownie milczał, cierpliwie czekając na odpowiedź.

W końcu Maria Frank zdecydowała się odpowiedzieć.

– Kiedy tak się nad tym wszystkim zastanawiam, to myślę sobie, że tym, co trapiło panią, był brak swobody. Nie mogła się sama ruszyć choćby na krok. Zawsze ktoś z nią był. Pani może miała już dość tego...

– Więzienia? – podsunął Witold.

– Tak bym tego nie nazwała, ale... – Zawiesiła głos.

– Czy zdarzyło się, że Stanisław Wereszyński krzyczał na żonę lub użył wobec niej siły?

Kiedy wybrzmiały te słowa, w gabinecie zapanowała cisza. Witold zrozumiał, że w swych dociekaniach posunął się odrobinę za daleko.

Maria Frank spojrzała na niego podejrzliwie. Jak śmie zadawać takie pytania? – pomyślała.

Była coraz bardziej zdenerwowana.

– Co też pan! – krzyknęła oburzona.

Witold milczał dłuższą chwilę. Maria Frank jak dotąd nie powiedziała niczego nowego. Potwierdziła tylko to, o czym już wiedział. Nie opuszczało go jednak przeczucie, że pokojówka nieświadomie zataja pewne informacje, które mogłyby pomóc w poszukiwaniach Wereszyńskiej. Potrzebował czasu i przede wszystkim spokoju.

Jak łatwo można wszystko popsuć, pomyślał. Zbyt szybko chciał dotrzeć do prawdy.

Teraz musiał zrobić wszystko, aby odbudować zaufanie kobiety.

– Pani Mario – zaczął i lekko pochylił się w jej stronę. – Zarówno pani, jak i mnie zależy na tym samym. Oboje chcemy odnaleźć Wereszyńską.

Frank uśmiechnęła się nieśmiało.

– No tak. Ale pan mi tak w głowie namieszał...

– Emocje są w tej chwili zupełnie niepotrzebne.

Przyznała mu w duchu rację.

– No tak – powtórzyła.

– Skoro zgadza się pani ze mną, czy mogę kontynuować?

Szybko skinęła głową, a Witold odetchnął z ulgą.

– Właściwie to chciałbym jeszcze wyjaśnić tylko jedną rzecz.

Kobieta patrzyła na Korczyńskiego w skupieniu. Była gotowa odpowiedzieć na każde jego pytanie, jeżeli miałoby to w jakikolwiek sposób pomóc w odnalezieniu Wereszyńskiej.

– Czy Wereszyńscy mają dzieci?

– Mieli córkę – odrzekła szybko. Kiedy wypowiadała te słowa, w jej oczach pojawił się smutek. – Zosię.

Witold powoli odkrywał rodzinne tajemnice. Zachęcił Frank skinieniem, aby kontynuowała wypowiedź. Ale ona milczała.

Witold odczekał jeszcze chwilę i spytał:

– Mieli?

Kobieta zawahała się. Nie chciała wracać do tej sprawy.

– Podobno był to wypadek – powiedziała cicho i trochę niewyraźnie. – Pan Stanisław, który był wtedy przy małej, nie potrafił wyjaśnić, co tak naprawdę się stało.

– Ile Zosia miała wtedy lat? – przerwał jej Witold.

– Niecałe trzy.

– Kiedy to było?

– Dwa lata temu.

Przez kilka chwil analizował uzyskane informacje.

– Krótko po tym Anna Wereszyńska wyjechała? – Spojrzał na Frank uważnie. Chciał mieć pewność.

Zdenerwowana kobieta mocno ścisnęła chusteczkę.

– Zgadza się? – nalegał.

Skinęła głową.

Na kilka minut w pokoju zapanowała cisza.

Frank niepewnie zerknęła na zamyślonego gospodarza.

– Czy będę panu jeszcze potrzebna?

Milczał.

– Powinam już wracać – usprawiedliwiała się. – Mogę już iść?

Frank czuła się zmęczona tym długim spotkaniem.

Witold zdobył się na lekki uśmiech.

– Dziękuję pani. To na razie wszystko.

Wstał i odprowadził Frank do drzwi. Była już na ulicy, kiedy Witold przypomniał sobie słowa wypowiedziane przez Różę. Zajęty poszukiwaniem kobiety i jej opiekuna, nie miał czasu zastanawiać się nad uzyskanymi od niej informacjami, zwłaszcza że były bardzo lakoniczne.

Teraz, tknięty nagłą myślą, zawołał:

– Proszę poczekać!

Frank zatrzymała się niepewnie.

– Mam do pani jeszcze jedno pytanie.

– Tak? – W oczach kobiety pojawił się lęk.

– Co może mi pani powiedzieć o Kacprze?

Twarz Marii stężała w napięciu.

– Pyta pan o Kacpra od Szczepanowej?

Skinęła głową, chociaż dopiero teraz poznał nazwisko chłopca.

– To nasz stajenny – powiedziała niechętnie, jak człowiek, który szybko chce zakończyć niewygodny dla siebie temat.

– Co się z nim stało?

Wzruszyła ramionami.

- To jeszcze dzieciak, wszyscy się o niego martwimy – wydukała.
- Proszę mi coś o nim opowiedzieć.
- Kacper, on... – Długo szukała w myślach odpowiedniego słowa. – On zniknął.
- Zniknął? – Witolda drażnił ten brak precyzji.
- No tak.

Rozejrzała się trwożnie.

– Tak właściwie to on był z nami tutaj od samego początku, od dnia, jak się sprowadziliśmy – powiedziała cicho, z obawą, że ktoś może usłyszeć ich rozmowę. – Miał taki mały pokój obok stajni. Bardzo o niego dbał – tam zawsze było czysto i ładnie pachniało lawendą. W zeszły czwartek nie pojawił się na śniadaniu, co zaniepokoiło Leopolda. Poszedł po niego, a tam pusto – ani śladu Kacpra. Tak jakby nagle rozpląnął się w powietrzu. Szukaliśmy go całe przedpołudnie. Dopiero po obiedzie ktoś odkrył, że nie ma także jego rzeczy.

Zamilkła.

– Jak pani myśli, co się z nim stało?

– Kacper, jak to młodzi, ma pstro w głowie. Brał książki od pani Anny i w swoim pokoiku zaczytywał się w tych powieściach o świecie. Może zapragnął spróbować innego życia? A może po prostu kogoś poznał? – rzekła bez przekonania.

– Martwi się pani o niego?

Skinęła głową.

– Jak tu się nie martwić. Pstro w głowie czy nie, ale to przecież jeszcze dzieciak, ma dopiero czternaście lat. Wszyscy go tutaj lubili. – Westchnęła. – W domu było ich siedmioro, a matka zapracowana, to nie miała czasu pilnować dzieciaków. No i pech – jak Kacper miał trzy lata, oblał się wrzątkiem. Nieraz nam o tym opowiadał. Po tym wypadku pozostały mu blizny. Najbardziej szpecąca była ta na twarzy...

Frank dalej snuł swoją historię, ale Witold już jej nie słuchał. Przypomniał sobie sprawę, o której kilka dni temu wspominał Kurz. A także policyjne fotografie umieszczone w aktach.

– Na którym policzku Kacper miał tę plamę?

Pokojówka zamilkła i spojrzała zdziwiona na Korczyńskiego. Nie rozumiała, dlaczego o to wszystko pyta.

– Na prawym.

– Kiedy zniknął?

Zdziwienie Frank jeszcze się powiększyło.

– Przecież mówiłam, w czwartek.

– Jest pani pewna?

– Jak Boga kocham.

Witold znów pokiwał głową.

Maria westchnęła.

– Bardzo bym chciała, aby pani była już z powrotem z nami. To taka dobra i mądra kobieta – powiedziała cicho.

Milczał.

– Odnajdzie ją pan? – spytała z nadzieją w głosie.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – odparł.



Witold siedział w fotelu i paląc cygaro, analizował przebieg spotkania.

Informacje, które uzyskał od pokojówki, były mało istotne dla samych poszukiwań Anny

Wereszyńskiej. Nabierały znaczenia dopiero wtedy, gdy chciał lepiej poznać relacje panujące pomiędzy małżonkami.

Już wcześniej wyrobił sobie zdanie na temat Wereszyńskich. Spotkanie z Frank utwierdziło go tylko w przekonaniu, że nie było to idealne małżeństwo.

Witold zastanowił się nad przyczynami kolejnych zdarzeń.

Dreńczyło go pytanie, dlaczego wtedy, przed dwoma laty, Wereszyńska odeszła z domu. Podejrzewał, że na tej decyzji zaważyła tajemnicza śmierć jej córki.

Było bardzo prawdopodobne, że kobieta winiła za tę tragedię swojego męża. Dlaczego zatem do niego wróciła? Pozostawało to dla Witolda zagadką.

Nie był to jego dobry dzień.

Myśli urywały się w połowie, nie umiał skupić się na żadnej. Myślał o Wereszyńskiej, a chwilę później o Kacprze.

Mozolnie złożył wszystko w jedną całość. Kacper zniknął w czwartek, a dzień później Anna Wereszyńska opuściła dom. Czy pomiędzy tymi wydarzeniami istniał jakiś związek? I czy to nagłe zniknięcie Kacpra miało jakiegokolwiek znaczenie dla prowadzonych przez niego poszukiwań? Na tym etapie nie mógł niczego wykluczyć. Z drugiej strony – jego zadanie było proste. Miał odnaleźć Annę Wereszyńską i sprowadzić ją do domu. Nic więcej nie powinno go interesować.

Ale interesowało.

Dwukrotnie w tych rozmyślaniach przeszkadzała mu Jadwiga, która zajrzała, aby spytać, kiedy ma podać śniadanie. Odprawiał ją zniecierpliwionym ruchem dłoni.

Po raz trzeci gosposia pojawiła się przed jedenastą, mocno już zaniepokojona. Dla Jadwigi pierwszy posiłek był najważniejszy, dlatego nie mogła zrozumieć, jak Witold może rozpoczynać dzień bez śniadania.

– Kawa i rogaliki – fuknęła, gdy znów próbował ją zbyć.

Spojrzał na nią zamyślony. Miała rację – nic przecież nie jadł i dopiero teraz, na widok pieczywa, poczuł, jak bardzo jest głodny.

Posłał Jadwidze delikatny uśmiech.



Nie minęło nawet pół godziny, kiedy Jadwiga znów weszła do gabinetu – tym razem po to, aby zabrać talerz. Był to tylko pretekst. Kobieta od poranka biła się z myślami. Zamiast dreńczyć się niepewnością, postanowiła raz na zawsze wszystko wyjaśnić.

Witold nie zwrócił na nią uwagi, zajęty zapisywaniem czegoś w grubym, oprawionym w skórę notesie.

– Będzie pan na obiedzie? – spytała, zbierając naczynia.

– Pewnie tak – odpowiedział zamyślony.

Odniosła wrażenie, że jej nie słucha.

– To tak czy nie? – W głosie Jadwigi pojawił się napastliwy ton.

Wolno oderwał wzrok od zapisywanego tekstu. Zerknął na kobietę.

– Jadwiga dzisiaj wstała lewą nogą – zauważył.

– Może i tak, ale ja tylko dostosowuję się do pana nastroju – odparowała.

Westchnął. Nie chciał się kłócić.

– Postaram się wrócić na trzecią – rzekł pojednawczo.

Zrozumiała, że wbrew jej obawom słyszał każde wypowiedziane przez nią słowo.

– Ma pan ochotę na coś szczególnego?

W tej kwestii całkowicie zdawał się na swoją gospodynię. Przez te lata dobrze poznała jego kulinarny gust, wiedziała, co lubi, a czego nie.

– A jacyś goście będą?

Nie rozumiał, dlaczego Jadwiga o to pyta. Rzadko przyjmował gości, jeszcze rzadziej zapraszał kogokolwiek na obiad. Wyjątkiem był Henryk, ale jego oboje od dawna uważali za domownika.

Jadwiga stała przy drzwiach i cierpliwie czekała na odpowiedź.

– Nikogo nie zapraszałem.

Na twarzy gosposi pojawił się smutny uśmiech.

– A ja myślałam...

Witold zniecierpliwiony spojrzał na kobietę.

– Co Jadwiga myślała?

– Pan wówczas tak łatwo się poddał – powiedziała przytłumionym głosem.

– O czym Jadwiga mówi? – nie zrozumiał.

Odetchnęła głęboko. Po chwili wyrzuciła z siebie to, co od kilku dni leżało jej na sercu.

– Oczywiście o pani Helenie i o liście, który czytał pan w środę.

Witold odłożył pióro i zamknął notes. W jego oczach pojawił się gniewny błysk. Był to nieomylny znak, że Jadwiga powinna porzucić ten temat. Nie zrobiła tego i z dziwnym uporem brnęła dalej.

– Oj, bo pan niby nie wie. Pan i pani Helena tak do siebie pasowali. I potem ciach, z dnia na dzień odeszła. Sama nie wiem dlaczego. Taka była delikatna, inna. Długo o tym myślałam i swoje wiem. Mógł ją pan zatrzymać.

Położył palec na ustach, nakazując milczenie. Wyraźnie nie miał ochoty wracać do tego, co było.

– Bo z panem to nigdy nie wiadomo, co robić i mówić. Ale ja nie będę milczeć. Nie tym razem. Pan jest taki samotny...

Nie pozwolił jej skończyć.

– Jadwigo, ani słowa więcej – rzucił przez zaciśnięte zęby.

Jadwiga popatrzyła na niego i pokiwała głową.

– Jak pan sobie życzy.

Odwróciła się. Trzasnęły drzwi.

Witold został sam. Jadwiga obudziła w nim wspomnienia. Powróciły słowa i obrazy, o których chciał zapomnieć. Z trudem oderwał myśli od przeszłości i skierował je w stronę gosposi, która coraz częściej drażniła go swoim zachowaniem.

Kobieto, co ja mam z tobą zrobić?

Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy nie powinien pozbyć się gosposi. Jak zawsze szybko porzucił tę myśl. Zdawał sobie sprawę, że w ten sposób skazałby ją na poniewierkę. A tego nie chciał.

– Tak źle i tak niedobrze – mruknął zły.

Kręcił się po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, aż w końcu przed drugą wyszedł.

Henryk Winiarski

18 września 1904 r. – niedziela po południu

Jadwiga patrzyła przez kuchenne okno, jak Witold wychodzi z domu i skręca w prawo, w stronę ulicy św. Gertrudy.

Jej pan wciąż ją zaskakiwał. Bywały takie dni, kiedy zamykał się w sobie i uciekał przed całym światem. Potrafił wówczas cały dzień przesiedzieć w gabinecie, zapisując myśli i spostrzeżenia w grubym notatniku oprawionym w skórę.

Jadwiga z kobiecą ciekawością odnosiła się do tajemnic, które krył notes. Raz, kiedy pod nieobecność gospodarza sprzątała w gabinecie, zrobiła to, czego nigdy nie powinna była robić. Notes leżał na biurku, kusił i przywoływał. Zajrzała. To, co tam zobaczyła, wzbudziło w niej lęk. Kartki zapisane były dziwnym, niezrozumiałym dla niej tekstem. Część stron pokrywały rysunki jakichś maskaronów, wykrzywionych w dziwnych grymasach twarzy. Drżącymi dłońmi odłożyła notes na miejsce. Była pewna, że dokładnie w to samo, gdzie leżał wcześniej.

Rano po raz kolejny przekonała się, że Witold jest niezwykłą osobą. Miał zadziwiającą pamięć.

Jak poznał, że ruszała notes?

Dobrze zapamiętała ten dzień, kiedy nakrzyczał na nią i pierwszy raz zagroził, że wyrzuci ją z domu. Tego bała się najbardziej.



Witold stał na rogu ulic św. Gertrudy i św. Sebastiana, zastanawiając się, jaki obrać kierunek. Wyszedł z domu bez namysłu, byle dalej od niepotrzebnych pytań Jadwigi.

Zamyślony, patrzył na Hotel Royal i jedną z nielicznych już w Krakowie Latarni Umarłych, częściowo ukrytą wśród drzew.

W dawnych czasach jej światło ostrzegało przed wkroczeniem na teren świata umarłych – odpędzało złe duchy, nawoływało do modlitwy i pełniło funkcję drogowskazu, ułatwiając poruszanie się po ciemku.

– Może mnie wskażesz właściwą drogę? – spytał Witold na wpeł żartobliwie.

Skręcił w prawo. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zajść na Mikołajską do dyrekcji policji. Szybko odrzucił tę myśl, bo było mało prawdopodobne, że w niedzielne popołudnie zastanie tam Kurza. Nie znał innej osoby, z którą mógłby porozmawiać o stajennym Wereszyńskich i jego zaginięciu. Sprawa musiała poczekać do poniedziałku.

Na wysokości budynku Towarzystwa Kredytowego dla Handlu i Przemysłu z Witoldem zrównała się kareta. Nie zwrócił na nią uwagi. Przyspieszył kroku. Nie odszedł daleko.

– Dzień dobry – usłyszał.

Witold zamarł. Odwrócił się zagniewany. Przez uchylone drzwi patrzył na niego Stanisław Wereszyński.

– Zapraszam, panie Witoldzie.

Mężczyzna pojawił się w najmniej odpowiednim momencie. Witold, rozdrażniony rozmową z Jadwigą, nie miał ochoty na żadne pogawędki. Wereszyński był ostatnią osobą, z którą chciał się w tej chwili spotkać.

– Zapraszam – powtórzył przemysłowiec.

Z drugiej strony karety wysiadł Reiner i stanął obok Witolda. Z uśmiechem wskazał drzwi.

Korczyński skorzystał z zaproszenia.

– Jak nasze sprawy? – zagadnął Wereszyński i spojrzął na Witolda uważnie. – Miał mnie pan o wszystkim na bieżąco informować – dodał szybko z wyrzutem.

Witold nie odpowiedział.

– Czy już coś pan wie?

Korczyński nie chciał zdawać relacji ze wszystkich swoich poczynań i ustaleń. Tych drugich zresztą nie było tak wiele. Tkwił w miejscu, bez żadnego pomysłu na dalsze działania. Trop urywał się na Sławkowskiej. Rozmowa z Frank nie wniosła niczego nowego. Witold miał nadzieję, że Eignerowi uda się coś ustalić, ale z nim miał spotkać się dopiero wieczorem.

W milczeniu patrzył przez okno. Minęli nowy budynek Starostwa Krakowskiego i przejechali obok Barbakanu, który krakowianie nazywali Rondlem.

Cisza nieznośnie się przedłużała.

– Dowiedział się pan czegoś? – dopytywał się Wereszyński.

Witold oderwał wzrok od okna.

Opowiedział o swoich dotychczasowych działaniach, wspomniawszy o spotkaniu z subiektem.

– Mam wrażenie, że nie angażuje się pan w sprawę z należytą starannością – zarzucił mu Wereszyński.

– Żąda pan ode mnie cudów. Nie jestem w stanie w kilka dni znaleźć pana żony. – Witold uniósł głos. Wydawało mu się, że dotąd nie popełnił żadnego błędu i zrobił wszystko, co mógł.

Nie były to słowa, które Wereszyński chciał usłyszeć. Posłał Witoldowi twarde spojrzenie, które zawsze dotąd sprowadzało rozmowę na właściwe tory. Jednak nie tym razem.

– Nie powiedział mi pan wszystkiego – zaatakował go Korczyński.

Wereszyński był zaskoczony.

– O czym pan mówi?

– Dlaczego nie wspomniawszy, że ta dziewczynka z fotografii to pana córka?

Przemysław milczał przez kilka chwil. Kiedy się odezwał, jego głos był suchy, wyprany z emocji:

– To nie ma żadnego znaczenia...

– Wręcz przeciwnie – przerwał mu uprzejmie, ale stanowczo Witold.

Mężczyzna zmarszczył czoło w zamyśleniu.

– Co pan jeszcze wie?

Odpowiedział.

Na twarzy Wereszyńskiego pojawił się gniew.

– Nie podoba mi się, że tak bardzo interesują pana dzieje mojej rodziny.

– Przyczynowość zdarzeń, panie Stanisławie. Nie mogę tego pomijać.

– Co ma wspólnego jedno z drugim?

Witold podzielił się swoimi przypuszczeniami na temat zniknięcia Anny. Jeżeli początkowo miał jeszcze wątpliwości, to teraz był już pewien, że Wereszyńska odeszła od męża, gdyż winiła go za śmierć córki. Było to logiczne.

Mężczyzna długo zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

Cofnął się w czasie myślami. Dobrze pamiętał pierwsze dni po śmierci córki. Ponury, pełen wyrzutu wzrok Anny.

– Może i ma pan rację. – Jego głos był cichy, stłumiony.

– Proszę się skupić, panie Stanisławie, Czy teraz zaszło jakieś szczególne zdarzenie, które pana żonę dotknęło emocjonalnie?

Wereszyński pokręcił przecząco głową.

– Nie.

– Na pewno?
– Ależ tak. Wszystko między nami było w najlepszym porządku.
Witold popatrzył na niego zamyślony. Rano, kiedy podsumowywał dotychczasowe ustalenia, przyszła mu do głowy pewna myśl, która równie szybko pierzchła.
– Czy ma pan wrogów? – spytał znienacka.
– Obracam się wśród wielu osób. Mam szerokie kontakty. Trudno jest żyć z każdym w zgodzie.
– Ma pan na myśli kogoś konkretnego?
Wereszyński spojrział na Witolda ze zdziwieniem.
– Dlaczego pan o to pyta?
Witold uśmiechnął się zagadkowo.
– Biorę pod uwagę jeszcze jedną możliwość.
– Tak?
– Może pana żona została porwana.
– Nie – odrzekł Wereszyński bez wahania.
Witold nie upierał się przy tej teorii. Spytał dla spokoju, aby wykluczyć jedną z ewentualności. Był przekonany, że pewność Wereszyńskiego nie brała się z niczego. Nie miał wątpliwości, że przemysłowiec dobrze wiedział, jak radzić sobie z wrogami.
Witold w milczeniu obserwował ulicę.
Jechali Straszewskiego, minęli budynek Gimnazjum św. Anny. Stąd niedaleko było na Poselską, gdzie mieszkał Henryk Winiarski.
Witold przeniósł wzrok na Wereszyńskiego.
– Wybaczy pan, ale...
Zapukał w ściankę.
Stangret na ten znak spiął konie i dorożka się zatrzymała.
Witold sięgnął do drzwi.
Wereszyński otrząsnął się z zamyślenia.
– Nie skończyliśmy rozmowy.
Witold uśmiechnął się kącikiem warg.
– Skontaktuję się z panem, jak będę coś wiedział – rzucił i szybko wysiadł, wykorzystując zaskoczenie swojego klienta.



Henryk Winiarski pił drobnymi łyżkami nalewkę z żurawiny i czytał popołudniowe wydanie „Czasu”. Doniesienia z Dalekiego Wschodu budziły jego niepokój. Obawiał się, że toczona od lutego wojna pomiędzy dwoma imperiami będzie początkiem większej zawieruchy, która być może dotrze i do Europy.

Artykuł pochłonął go całkowicie. Henryk nawet nie zauważył, kiedy wskazówki zegara zbliżyły się do drugiej. Wybiła pełna godzina. Wydawało się, że ktoś zapukał do drzwi. Winiarski przez chwilę nasłuchiwał. Nie pomylił się – pukanie zabrzmiało ponownie.

Odstawił kieliszek.

Podszedł do drzwi i ostrożnie je otworzył.

Witold Korczyński patrzył na niego nieodgadzionym wzrokiem.

– Nie przeszkadzam?

Henryk nie zdążył odpowiedzieć, gdy Witold ominął go i wszedł do salonu. Usiadł w fotelu zajmowanym przed chwilą przez gospodarza. Wszystko to odbyło się w milczeniu.

Starszy pan bezbłędnie wyczuł nienajlepszy humor gościa.

Przypomniał sobie sprawę, którą Witold prowadził zeszłej wiosny. Trudne śledztwo pochłonęło go całkowicie. Sprawca brutalnego, rytualnego mordu na Kazimierzu przez kilka długich tygodni wymykał się z zastawionej na niego sieci.

Jadwiga skarżyła się, że Witold późno wracał do domu. Czasami, bez słowa uprzedzenia, nie wracał w ogóle. Zamknął się w sobie, więcej pił, prawie nic nie jadł.

Henryk patrzył uważnie na swego gościa. Miał obawy, czy sytuacja się nie powtarza. Witold miał dokładnie ten sam nieobecny wyraz twarzy.

Starszy pan dobrze wiedział, że jego przyjaciel od lat stykał się z brudnymi sprawami małych i złych ludzi. Podejrzał, że Witold nie radził sobie z ogromem zła, z którym miał do czynienia.

Aby rozluźnić atmosferę, zaproponował kieliszek żurawinówki. Gość nie odmówił.

Henryk popukał w gazetę.

– Patrz, ta wojna nigdy się nie skończy – nawiązał do artykułu, którego lekturę przerwała mu wizyta. Chciał porozmawiać na ten temat i chociaż na kilka chwil oderwać Witolda od jego śledztwa.

Te wysiłki były daremne. Przerwał, kiedy spostrzegł, że przyjaciel go nie słucha. Jego uporczywe milczenie budziło niepokój.

Witold z dziwnym uporem wpatrywał się w ścianę. Wreszcie wyczuł na sobie spojrzenie Henryka i wolno odwrócił się w jego stronę.

– Masz coś dla mnie? – spytał.

Henryk skinął nieznacznie głową.

Rzeczywiście, jego wiedza o Wereszyńskim poszerzyła się o kilka szczegółów. Poprzedniego dnia Henryk rozgrywał partyjkę szachów z Romanem Michałowskim, kuratorem Zakładu św. Józefa.

Hrabia był człowiekiem zawsze elegancko ubranym. Miał spokojny głos, mówił prawie szeptem, ale wyraźnie. Ich kontakty cechował ten rodzaj uprzejmości, który spotyka się w relacjach osób z różnych światów.

Panowie nie znali się zbyt dobrze, mimo że obaj od dawna byli członkami Towarzystwa Szachowego. Grali ze sobą rzadko, tylko wtedy, kiedy ich stali partnerzy z pewnych względów nie pojawiali się na cotygodniowym spotkaniu. Po partii, która trwała ponad trzy godziny, przenieśli się do pokoju obok i przy kawie prowadzili leniwą rozmowę, która zupełnie przypadkowo zeszła na temat osób wspierających Zakład św. Józefa.

Teraz, kiedy Witold zadał mu pytanie, Henryk uśmiechnął się tajemniczo.

– Oczywiście – zaczął. – Wereszyński to nie tylko przemysłowiec, ale także filantrop. Bardzo pomaga Zakładowi Świętego Józefa, utworzonemu dla osieroconych chłopców. Od momentu, kiedy pojawił się w Krakowie, wsparł ich kwotą trzech tysięcy koron.

Witold gwizdnął z uznaniem.

– Ładna sumka.

– Właśnie. Tylko dlaczego to robi? – Henryk zastanawiał się na głos. Zawsze interesowało go, jakimi pobudkami kierowali się tacy ludzie. Teraz pojawiła się okazja, aby o tym podyskutować.

– Bo jest dobrym człowiekiem.

Henryk w głosie Witolda wyłapał nutkę ironii.

– Bo jest dobrym człowiekiem? – powtórzył starszy pan w formie pytania.

– Masz co do tego wątpliwości?

Witold nie porzucił kąśliwego tonu.

Henryk spojrział na niego uważnie.

– Nie mam żadnych podstaw, aby przypuszczać, że jest inaczej – rzekł ostrożnie. – Nie przypominam sobie, abym gdziekolwiek spotkał się ze złymi opiniami na jego temat...

– Chodzący ideał – mruknął Witold, bardziej do siebie niż do gospodarza.

Jakim jest człowiekiem? Z jednej strony szorstki i wymagający wiele od siebie i innych, z drugiej – filantrop i dobrodziej. Wereszyński miał bardzo wiele twarzy, a narzucały mu je sytuacje i każdy człowiek, który wchodził z nim w układy. A wszystko to zapewne w imię własnych interesów i bliżej nieokreślonych celów.

Witolda martwiła tylko jedna rzecz – sam, trochę wbrew woli, znalazł się w tym układzie. Co gorsza, póki co nie mógł tego zmienić.



Jak zapowiedział, Witold wrócił do domu około trzeciej. Jadwiga, która po ostatniej kłótni spodziewała się szybciej samego diabła, nie zdążyła ugotować obiadu. Teraz szybko i w milczeniu krzątała się po kuchni, przygotowując posiłek z tego, co miała pod ręką.

Zjadł z apetytem, mimo że ziemniaki były przesolone, a mięso przypalone.

Podziękował i już miał iść do siebie, kiedy Jadwiga przerwała ciszę. Miała dość niedopowiedzeń i ponurej atmosfery.

– Pan się na mnie gniewa? – spytała.

Odwrócił się.

– Nie.

Proste słowo, które pogrzyżyło Jadwigę w jeszcze większej niepewności.

– Pan nic nie mówi. A ja... – Zawahała się. – Ja po prostu się o pana martwię.

Nie pierwszy raz, pomyślała.

– Może nadeszła pora, aby Jadwiga zaczęła martwić się o kogoś innego?

Pytanie zawisło w powietrzu jak chmura gradowa. Jadwiga zadrżała.

– Panie Witoldzie, czy pan... czy pan chce mnie zwolnić?

Patrzył na nią twardym wzrokiem. Witold lubił jasne sytuacje, dlatego postanowił wszystko wyjaśnić do końca.

– Nie. Ale umówmy się co do jednego.

Spojrzała na niego.

– Ani słowa więcej o Helenie.

Skinęła szybko głową.

– W przeciwnym razie będziemy musieli się pożegnać – dokończył nieprzyjemnym tonem.



Witold pozostał w domu do wieczora. Dopiero kiedy dzwony wybiły siódmą, powiedział, że wychodzi. Jadwiga zauważyła, że wziął ze sobą broń, co ją zaniepokoiło. O nic jednak nie spytała. Były sprawy, o których nie musiała wiedzieć.

Poszukiwania

18 września 1904 r. – niedziela wieczorem

Restauracja Rosenstocka słynęła w całym Krakowie z licznych awantur. Witold przypomniał sobie pewną historię związaną z tym miejscem, zasłyszaną kiedyś od Henryka Winiarskiego. Przed paroma laty, w dzień zabójstwa cesarzowej austriackiej Elżbiety, Adolf Nowaczyński wzniósł okrzyk *Vive l'anarchie!* na cześć zabójcy cesarzowej. Wywołał skandal obyczajowy i na jakiś czas musiał opuścić miasto.

Witold spojrzął na zabrudzony szyld i pewnym krokiem wszedł do środka.

W sali panował hałas i zaduch. Przy ladzie gęstniał tłum krakowian, spragnionych mocnych trunków.

Przysadzisty kelner rozpoznał Witolda, mimo że poprzedniej nocy był tutaj w przebraniu. Mężczyzna pomachał na powitanie i przywołał go do siebie.

Korczyński z pewnym trudem przepchnął się do kontuaru. Kelner pochylił się w stronę nowego gościa i mruknął:

– Dziadek czeka na pana.

– Gdzie?

Kelner uśmiechnął się, ukazując rząd popsutych zębów.

– Dwie korony – rzucił.

Witold wysupłał z kieszonki odpowiednią monetę i podał ją mężczyźnie.

– Chodź pan, tutaj nie pogadasz.

Zaprowadził Witolda wąskim przejściem do drugiej salki, przeznaczonej dla stałych bywalców.

– To tamten. – Wskazał na siwowłosego mężczyznę o nieco przygarbionej sylwetce i pobrużdżonej twarzy. Dziadek siedział przy stoliku w kącie, przy ścianie, z dala od dochodzących z sąsiedniej sali dźwięków.

Poszukiwany przez niego mężczyzna długo, przenikliwie patrzył na Witolda. Wreszcie wskazał przybyszowi wolne krzesło.

– Podobno, synku, kogoś szukasz? – zagaił.

– Zgadza się.

Stary spojrzął wymownie na pustą butelkę.

Witold kiwnął na kelnera, który przezornie stał przy drzwiach i czekał na zamówienie.

– A dla pana? – spytał ten z kpiącym uśmiechem.

– Nalej to samo, co mnie – ubiegł zamawiającego Dziadek.

Kelner przetarł stolik i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu. Wrócił stamtąd z butelką mętnego płynu i dwiema przykurzonymi szklankami. Tą samą ścierką, którą wcześniej przecierał stolik, wytarł przyniesione naczynia. W takim miejscu nikomu to nie przeszkadzało.

Stary uniósł szklankę.

– Moje zdrowie, synku – wzniósł toast.

Witold upił łyk i aż go zatkało. Alkohol był niesamowicie mocny. Przez kilka chwil próbował złapać oddech.

Stary zaśmiał się głośno i rubasznie.

– Co, nie smakuje? – spytał zaczepnie.

Odczekał, aż Witold zapanuje nad suchym kaszlem.

– Kogo szukasz, synku? – powtórzył pytanie Dziadek, uznając, że wystarczy już żartów.

– Róży.

– Popytaj u kwiaciarek na rynku. – Stary znów się zaśmiał.
Witold spojrział na niego rozdrażniony. Dziadek w jednej chwili spoważniał.
– Dobrze trafiłeś, znam taką jedną. Mieszka tu w okolicy.
Dziadek pociągnął ze szklaneczki duży łyk. Wytał usta dłonią.
– Ostatnio jej jakoś nie widziałem – dodał.
Zniecierpliwiony Witold pukał palcami w stolik. Tracę tylko czas, pomyślał.
– Nie bądź, chłopcze, taki w gorącej wodzie kąpany. Poczekaj, poczekaj. – Jego rozmówca zmarszczył czoło w zadumie. – Może wróciła do siebie na wieś? – podsunął.
– Gdzie mogę ją znaleźć? – spytał Witold niezbyt grzecznie.
Stary pochylił się lekko w jego stronę.
– Nie wiem, czy myślimy o jednej i tej samej osobie. Jak wygląda ta twoja Róża?
Witold dokładnie opisał kobietę.
– Ta sama – mruknął, kiwając głową na znak, że wszystko się zgadza.
– Dobrze, gdzie zatem mogę ją znaleźć?
– Co ci na niej tak zależy? Jest wiele innych, takich jak ona.
W oczach starego pojawiły się wesołe iskierki.
– Mam do niej sprawę.
– A, to nie chodzi ci o... – Stary mrugnął porozumiewawczo. – No, wiesz, o czym myślę?
– Nie, nie chodzi mi o to – uciał Witold.
Dziadek uniósł dłonie w obronnym geście.
– Dobrze, już dobrze. Młody, to i niecierpliwy.
Znów upił łyk.
– Co to za sprawa? – spytał.
– Ważna.
Dziadek zrobił obrażoną minę.
– Nie chcesz, to nie mów.
Odwrócił się od swego rozmówcy.
Witold nie chciał mówić staremu wszystkiego, ale zrozumiał, że nie ma wyjścia.
– Powiedzmy, że ta młoda dama ma coś, co jeszcze niedawno należało do mnie, a co dziwnym zbiegiem okoliczności znalazło się w jej posiadaniu... – Chociaż odpowiedział nieco wykrętnie, stary w lot zrozumiał, o co chodzi.
– Okradła cię – rzucił głośno.
Rozbawiony, długo patrzył na Witolda.
– W gruncie rzeczy to dobra dziewczyna. – Westchnął.
– Chcę tylko odzyskać swoją własność.
Nie do końca było to zgodne z prawdą, bo Witoldowi zależało przede wszystkim na rozmowie z Różą. Wiedział, że rodzinnych pamiątek musi szukać u kogoś innego.
Stary jeszcze się wahał. W końcu powiedział:
– Znajdziesz ją pewnie u rodziny, w Czarnej Wsi. Pytaj o Dobrochów.
Czarna Wieś, Dobrochowie, powtórzył Witold w myślach.
– A ten jej opiekun?
Dziadek wzruszył ramionami. Podejrzewał, że wąsaty blondyn ukrył się w Ludwinowie. Znał tylko jedną osobę, która mogła mu pomóc w dalszych poszukiwaniach. Problem w tym, że spotkanie z nią nie dla każdego kończyło się dobrze.
Witold zrobił na nim dobre wrażenie. Dziadek nie życzył mu źle, dlatego wybrał milczenie.
Witold, który dostrzegł, że stary toczy jakąś wewnętrzną walkę, spróbował w inny sposób

skruszyć jego upór. Wysupłał z kieszonki monetę. W takich sytuacjach był to najlepszy argument. Dwie korony kusily starego. Dziadek szybko wyliczył, że za te pieniądze mógłby jeść i pić co najmniej przez dwa dni. Na samą tę myśl oblizal wargi.

Mimo wcześniejszych wątpliwości górę wzięły praktyczne korzyści.

– Ukrył się w Ludwinowie. Więcej powie ci Zdziercha.

Witold spojrzal staremu prosto w oczy. To wystarczyło, by stwierdzić, że Dziadek mówi prawdę. Podziękował mu skinieniem głowy. Wiedział już wszystko. Chciał wstać, ale nie zrobił tego. Stary ogarnięty wyrzutami sumienia, chwycił go za rękę. Miał zadziwiająco mocny uścisk.

– Ze Zdzierchą lepiej nie zaczynaj – poradził smutnym, przygaszonym głosem. – Jeżeli ci życie miłe, nie szukaj go. Daj sobie spokój.



Po wyjściu z szynku Witold wolnym krokiem skierował się na Basztową, a stamtąd, klucząc uliczkami, na Biskupią, gdzie w jednym z parterowych domków, które przypominały podmiejskie dworki, mieszkał Eigner.

Witold dobrze wiedział, że zadanie, którego podjął się fiakier, nie było wcale proste. Od zniknięcia Anny Wereszyńskiej minęło kilka dni. Ktoś coś widział, ktoś coś słyszał, ale szczegóły szybko zacierały się w ludzkiej pamięci. Zdobycie informacji, które można by ułożyć w harmonijną całość, wymagało cierpliwości, żmudnej pracy i czasu.

Eigner od kilku godzin czekał na Witolda. Był nawet zdziwiony, że ten pojawił się dopiero teraz. Poczęstował swojego gościa kawą. Zaparzany przez niego napój miał niepowtarzalny smak, dlatego mimo późnej pory Witold nie odmówił.

Długo siedzieli w milczeniu przy małym stoliku. Zajęty napełnianiem fajki Eigner zdawał się nie dostrzegać Witolda. Ten nie ponaglał go i dał się ponieść leniwej atmosferze tego miejsca.

Fiakier przypalił tytoń. Wypuścił z ust kłęb dymu. Spojrzal na Korczyńskiego z tajemniczym uśmiechem.

– Jak idą poszukiwania? – spytał od niechcienia.

Witold wzruszył tylko ramionami.

– A mnie udało się coś ustalić.

– Miałem taką nadzieję – mruknął Witold w odpowiedzi.

Eigner był z siebie zadowolony. Przez te kilka dni nie próżnował. Dotarł do osoby, która tamtego dnia widziała Annę Wereszyńską. Była to praczka Teresa Kuraś, postawna mieszkanka Ludwinowa. Kobieta znała zaginioną z widzenia. Kilka razy spotkała ją w dębnickim pałacu, kiedy przychodziła po pranie. Kuraś długo i barwnie snuła swoją opowieść. Zanim dotarła do interesującego Eignera momentu, minęło pół godziny. Słowa płynęły wartkim nurtem.

Mężczyzna ustalił, że Anna Wereszyńska kilka minut po pierwszej szła Sławkowską w kierunku Pijarskiej. Tam, zaraz za rogiem, wsiadła do czarnej karety.

Tu opowieść się urywała. Praczka nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Dla niej wszystkie karety były podobne do siebie jak dwie krople wody.

Trop wydawał się obiecujący. Informacja nadawała kierunek dalszym poszukiwaniom. Na koniec spotkania Eigner zapewnił, że w najbliższym czasie spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczym pojeździe. Miał nadzieję, że za parę dni, jeśli los będzie dla niego łaskawy, dorzuci do układanki brakujący element.

Witold był już przy drzwiach, kiedy przypomniał sobie, że ma do przyjaciela jeszcze jedną prośbę.

– Zawieziesz mnie jutro rano do Czarnej Wsi?

Eigner nie krył zdziwienia. Propozycja burzyła porządek jego zajęć.

– Cóż takiego jest w Czarnej Wsi, że chcesz tam jechać rankiem?

– Róża – usłyszał w odpowiedzi. Był coraz bardziej zdziwiony.

– Róża? – powtórzył.

Witold z pewnym zakłopotaniem opowiedział o Róży i swojej przygodzie na Plantach.



Po lipcowej suszy i sierpniowych upałach ranki nagle się oziębily. Słupek rtęci obniżył się na tyle, że krakowianie szybko wyjęli z szaf ciepłe ubrania. Przejmujący, dotkliwy wiatr potęgował uczucie zimna.

Eigner nie był w dobrym humorze. Po nocnej ulewie droga do Czarnej Wsi tonęła w kałużach. Zapowiadała się długa i ciężka podróż.

Jechali wzdłuż Młynówki, czternastowiecznego przekopu niosącego wody Rudawy. Rzeka płynęła leniwie wśród nierównych brzegów, porośniętych wierzbami, kępami wikliny i gęstymi krzakami.

Za niewielkim drewnianym mostkiem skręcili w lewo, przejechali obok ukrytej w zieleni Szkoły Kadetów. W oddali majaczyły solidne chaty – pokryte słomą i gontem, wzmocnione kalenicą. Był to cel ich wyprawy.

Czarna Wieś od lat zaopatrywała miasto w żywność – nie tylko owoce i warzywa, lecz także ser, mleko, śmietanę i masło oraz pszenne pieczywo, którego słodkawy zapach unosił się na krakowskich targowiskach. Codziennie skoro świt od rogatek ciągnęły na rynek sznury chłopskich furmanek pełne wiejskich produktów. Wieś słynęła także z upraw głąbików – odmiany sałaty, która często gościła na krakowskich stołach w postaci zupy przypominającej w smaku ogórkową.

Eigner zatrzymał dorożkę na rozstaju dróg, kilka metrów przed kapliczką, przy której krzątała się gruba kobieta.

– Dzień dobry. – Uniósł czapkę.

Kobieta, która widziała ich z daleka, poprawiła chustkę na głowie i wytarła dłonie w kwiecistą spódnice. Obrzuciła mężczyzn uważnym spojrzeniem.

– Dla kogo dobry, dla tego dobry.

W następnej chwili spytała:

– Kogo szukają?

Witold nie spieszył się z odpowiedzią.

– Dobrochów – powiedział po dłuższej chwili.

Pokiwała głową.

– A czego od nich chcą? – dociekała. Jej pytaniami kierowała zwykła ciekawość. Rzadko w Czarnej Wsi pojawiał się ktoś z miasta, a jeszcze rzadziej ktoś interesował się jej mieszkańcami.

– Pogadać chcieliśmy... – wtrącił się po raz pierwszy Eigner.

– Pogadać? – powtórzyła jak echo.

Przeżegnała się.

– To nie najlepszy dzień na odwiedziny.

Patrzyła na nich podejrzliwie. Długo milczeli. Pierwszy odezwał się Eigner.

– Coś się stało, kobieto?

– Ano stało. Wielkie nieszczęście. Tam żałoba – wyjaśniła.

– A kto umarł?

– Czesia, ich córka.

Mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia.

– Wróciła raptem dwa dni temu – ciągnęła gospodyni. – A wczoraj znaleźli ją martwą w sadzie. Nie nacieszyli się nią, nie nacieszyli.

Załamala ręce. W jej jasnych oczach pojawiły się łzy.

– Miasto ją zgubiło. Nigdy nie powinna była tam jechać. Nigdy – powiedziała dobitnie.

W drodze powrotnej do Krakowa Witold nie odezwał się ani słowem. Nie opuszczała go myśl, że śmierć Róży nie była przypadkowa. Tajemnice, które skrywała, nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Po południu Witold wybrał się do Ludwinowa.

Chodził niewybrukowanymi uliczkami i tam, gdzie mógł – w sklepach, szynkach, u przekupek – wypytywał o Zdzierchę. Nikt nie potrafił mu wskazać, gdzie może znaleźć kogoś o tym nazwisku. Mimo odczuwalnej niechęci długo kręcił się po okolicy.

W końcu nieco zmęczony wstąpił do szynku „Pod ropuchą” – jednej z wielu knajp, w których śmierdziało potem, brudem i nieprzetrawionym alkoholem.

Zamówił kawę, czym wzbudził zdziwienie u kelnera. Wolno pił czarny jak smoła napój i czekał. Był przekonany, że jego działania spotkają się z jakąś reakcją.

Zdziercha poprawił sumiaste wąsy i przeczesał dłonią kręcone włosy. Ukryty w cieniu, od kilku minut uważnie patrzył na szczupłego mężczyznę, który siedział przy oknie i ze znudzonym wyrazem twarzy obserwował szarą, brudną ulicę.

Pewnie ma do mnie jakiś interes, pomyślał Zdziercha. Kiwnął głową na przyszczatego wyrostka, przyjętego do kompanii zaledwie przed paroma miesiącami. Chłopak sprawdzał się w trudnych sytuacjach, zwłaszcza kiedy trzeba było zastosować siłę wobec opornych.

Co prawda samotnik spod okna nie wyglądał na takiego, co szuka zaczepki, ale – jak mawiała babka Zdzierchy – zawsze lepiej dmuchać na zimne.

Zdziercha z ręką w kieszeni podszedł do przybysza. Jego potężna sylwetka rzuciła cień na stolik.

– Szukasz mnie, frajerze? – zagadnął.

Mężczyzna oderwał wzrok od ulicy.

– Jeżeli na pana mówią Zdziercha, to tak – odpowiedział wolno.

Zdziercha zakasłał nerwowo. Kiedy tak patrzył prosto w oczy tego niepozornego mężczyzny, poczuł, jak po plecach przechodzą mu ciarki. Nieznajomy zaskoczył go chłodnym spokojem. Zachowywał się jak ktoś, kto nie zdaje sobie sprawy, z kim rozmawia.

Zdziercha postanowił szybko to mężczyźnie wytłumaczyć.

Odsunął krzesło i usiadł.

– Jak cię zwą? – spytał.

Zapytany uśmiechnął się kącikiem warg.

– Witold Korczyński.

– Witold Korczyński? – powtórzył tamten.

Coś ty za jeden? Zdziercha wyjął pistolet z kieszeni i wycelował nim w głowę przybysza. Pochylił się w jego stronę.

– To na wypadek, gdyby przyszedł ci do głowy jakiś głupi pomysł.

– Na przykład? – spytał Witold cichym, ale pewnym siebie głosem. Tym jeszcze bardziej rozdrażnił Zdzierchę.

Mężczyzna zrozumiał, że tego człowieka niełatwo nastraszyć.

– Rączki na stół, frajerze.

Witold bez sprzeciwu wykonał polecenie.

Zdziercha skinął na swego kompana. Ten tylko czekał na taki gest. Szybko doskoczył do Witolda i przeszukał go.

– Czysty – mruknął rozczarowany.

Zdziercha pokiwał głową z zadowoleniem. Położył pistolet na stoliku, ale w zasięgu ręki – tak, aby mężczyzna wiedział, po czyjej stronie jest przewaga.

– Kapuś?

Witold znów spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie.

Zdziercha pokiwał głową. Znał odpowiedź w momencie, kiedy zadał pytanie. Kapusiów i policyjnych agentów rozpoznawał na kilometr.

– Czego chcesz? Cały Ludwinów postawiłeś na głowie.

– Chcę pogadać.

Odpowiedź rozbawiła Zdzierchę. Zaśmiał się głośno.

– Ta? Pogadać?

– Mam do pana interes.

– Tu każdy ma do mnie interes – uciął.

Witold przeszedł do rzeczy.

– Szukam pewnego człowieka, który mówiąc wprost, okradł mnie... – Nie dane mu było skończyć.

Reakcja Zdzierchy była gwałtowna. Słowa, które padły, odebrał jako obrazę. Choć był człowiekiem prostym, trzymał się w życiu pewnych zasad.

Wstał, z hukiem przewracając stolik. Chwyił Witolda za poły marynarki i przyciągnął do siebie.

– Nie jestem kapusiem, frajerze – wysyczał mu prosto w twarz. – A takich jak ty...

– Wieszasz na suchej gałęzi – Witold dokończył za niego formułkę, którą ten wypowiadał zawsze wtedy, gdy chciał kogoś nastraszyć. Nie były to tylko ciche groźby. Przekonał się o tym niejedną.

Zdziercha poluzował nieco uścisk.

Popatrzył na Witolda inaczej, z pewnym uznaniem. Z jego słów wywnioskował bowiem, że mężczyzna dobrze wiedział, z kim ma do czynienia. Mimo to przyszedł sam do tej jaskini lwa.

– Ktoś ty? – spytał, puszczając go.

– To długa historia.

– Tak?

– Bardzo długa.

– Nie mam czasu na bajdury.

Postawił stolik i krzesło.

Usiadł. Witold poszedł w jego ślady.

– Dobra, gadaj. – Zdzierchę zżerała już ciekawość.

Witold odetchnął z ulgą.

Opowiedział o napadzie i ukradzionych rodzinnych pamiątkach. Wspomniał o Róży i jej dziwnej śmierci. Nie zapomniał podkreślić, że stracone rzeczy chce odkupić po godziwej cenie. Kiedy rzucił kwotę, Zdziercha gwizdnął z uznaniem.

Opryszek wygodnie oparł się o krzesło. Pokiwał głową, mlasnął kilka razy językiem, pociągnął nosem. Pomedytował chwilę.

Może warto pomóc temu frajerowi? W końcu podjął decyzję.

– Zobaczę, co da się zrobić – mruknął. – Poczekaj tutaj z godzinkę...

Wstał i rozmowa dobiegła końca.



– Chodź pan.

Mocne szarpnięcie za mankiety wyrwało Witolda z zamyślenia. Spojrzał na drobnego chłopca, który stał przed nim.

– Chodź pan – powtórzył chłopiec cichym, wystraszonego głosem. Obawiał się, że mężczyzna nie posłucha go, a tym samym obiecany zarobek przejdzie mu nosa. Nerwowo przestępował z nogi na nogę.

Witold dopił zimną już kawę.

– Dokąd idziemy? – spytał, kiedy znaleźli się na ulicy.

Chłopak pociągnął nerwowo nosem.

– Tam. – Wskazał brudnym paluchem gdzieś przed siebie.

Ich wędrówka nie trwała długo. Chłopak, klucząc wąskimi uliczkami, przez podwórka doprowadził Witolda przed drewnianą chałupę, która sprawiała wrażenie, jakby miała się za chwilę rozpaść.

– Tam ktoś czeka na pana.

Zanim Witold zdążył cokolwiek powiedzieć, młodzieniec śmignął w bok, zostawiając go samego.

Witold rozejrzał się. Wokół nie było żywego ducha. Po raz pierwszy tego dnia zawahał się. Po raz pierwszy też pożałował, że nie wziął ze sobą broni. Przeklinał w duchu swoją nieostrożność.

Otworzył drzwi. Skrzypnęły stare zawiasy. Postąpił krok do przodu.

Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

– Pięknie – mruknął, próbując przebić wzrokiem panujące wewnątrz ciemności.

– Dziwny z ciebie człowiek. Dałem ci w łeb, a ty przychodzisz tutaj jak gdyby nigdy nic – gdzieś z głębi pomieszczenia dobiegł tubalny głos.

Witold zamarł w bezruchu.

Z prawej strony ktoś zapalił lampę naftową.

Witold wolno odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos. Rozłożył na bok ręce na znak, że nie jest uzbrojony. Przed sobą zobaczył muskularnego blondyna z dużymi, zawiniętymi do góry wąsami.

Rozpoznał go. Był to ten sam mężczyzna, którego widział przed Hotelem Krakowskim i który później zaatakował go na Plantach.

Blondyn podszedł bliżej. Oświetlił Witolda lampą.

– Co mam z tobą zrobić? – spytał cicho, przez zaciśnięte zęby. – Wiesz, że mógłbym cię zabić?

Witold spojrzał prosto w zimne, zmrużone z gniewem oczy rabusia. Poczul ciarki na plecach.

Czas włókł się w nieskończoność. Mężczyzna upajał się swoją przewagą. Z satysfakcją patrzył na pobladłą twarz Witolda.

– Mógłbym, ale tego nie zrobię – podjął blondyn. – Wiesz dlaczego?

Korczyński nie spodziewał się odpowiedzi.

– Siadaj. – Mężczyzna wskazał na rozpadające się krzesła, które stały na środku pokoju.

Witold wykonał polecenie.

Rabuś podszedł do okna i postawił na parapecie lampę. Sięgnął po butelkę z mętnym napojem, która stała przy drzwiach. Przeszedł się kilka razy. Deski skrzypiały złowroźnie pod

jego ciężarem.

– Podobno Róża nie żyje – rzucił, patrząc na Witolda z góry.

– Zgadza się.

– Jednego jestem pewien. Nie ty ją zabiłeś. Gdybyś to był ty, nie przylazłbyś tutaj.

Mężczyzna przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw Witolda.

– Wiesz, kto to zrobił?

– Jeszcze nie...

– Jeszcze?

Przez chwilę podumał, a potem kiwnął głową. Nie wiadomo, czy dlatego, że uwierzył Witoldowi, czy z zupełnie innego powodu.

W końcu wyciągnął w stronę Witolda butelkę.

– Masz, łyknij ku czci jej pamięci.

Witold nie miał innego wyjścia. Ostrożnie pociągnął z butelki. Napój był lepszy od tego, który pił z Dziadkiem.

Blondyn, który uważnie patrzył na Witolda, pokiwał zadowolony głową.

– Odważny z ciebie gość – pochwalił go, odbierając butelkę. Wypił kilka łyków. –

Rzadko ktoś taki jak ty zapuszcza się sam w te rejony.

Przetarł usta dłonią.

– Nie szukaj tych morderców. Sam się tym zajmę – powiedział zaskakująco łagodnym głosem.

Przez chwilę siedział wpatrzony w jakiś punkt na podłodze. Zastanawiał się nad czymś. W końcu zaczął mówić.

– Szkoda dziewczyny. Mówię tak nie tylko dlatego, że dla mnie pracowała. Ja ją naprawdę lubiłem. Była inna. Tak naprawdę to przyszła do mnie, kiedy uciekła z tego domu, pałacu w Dębnikach.

– Uciekła? – Witold nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Maria Frank powiedziała mu przecież coś innego.

– Tak.

– Podobno ją wyrzucili?

Rabuś wzruszył ramionami.

– Kto by tam baby zrozumiał. Uciekła czy wyrzucili? Na jedno wychodzi. Mówiła różne dyrdymały, kto by w to wierzył. Ale... – Zastanowił się. – Teraz tak sobie myślę, że pewnie było w tym trochę prawdy. – Pochylił się do przodu. – Może ktoś nie chciał, aby inni znali te historie...

– Jakie historie? – Witold wszedł mu w słowo. Po chwili zrozumiał, że nie był to odpowiedni moment na zadawanie pytań.

Mężczyzna odzyskał czujność. Zmrużył oczy. Patrzył teraz na Witolda groźnie.

Cisza trwała długo. Witold przezornie milczał.

Rabuś westchnął. Machnął ręką z rezygnacją.

– Ona nie raz i nie dwa mówiła mi, że się boi. Póki była ze mną, nic nie mogło jej się stać. Ale dwa dni temu nagle oświadczyła, że musi jechać do swoich, do Czarnej Wsi. Nie pojechałem z nią. Miałem inne sprawy na głowie...

Zaśmiał się głośno.

Trudno było mu nawet przed sobą przyznać się, że dla paru koron zostawił dziewczynę samą. Prawda była bowiem taka, że jak najszybciej chciał spieniężyć ukradzione Witoldowi rzeczy.

Wstał gwałtownie. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małe zawiniątko. Rzucił Witoldowi.

– To przez ciebie. Masz, to twoje fanty. Przyniosły pecha mnie i Róży. I pamiętaj o jednym – Zdiercha nie chce, żebyś się tu więcej pojawiał. Rozumiemy się?

Nie czekał na odpowiedź, tylko szybkim, energicznym krokiem ruszył w stronę wyjścia. Kiedy otwierał drzwi, odwrócił się jeszcze i rzucił Witoldowi chmurne spojrzenie.

Karczowa

21 września 1904 r. – środa rano

Witold przywykł do aktywności, ale teraz, kiedy dalsze działania były uzależnione od innych – przede wszystkim od Eignera – musiał uzbroić się w cierpliwość. Przychodziło mu to z wielkim trudem.

Wtorek przesiedział w domu. Pozwolił sobie tylko na krótki spacer po Plantach – do trafiki, gdzie kupił pudełko cygar. Snuł się po mieszkaniu, czytał zaległą prasę, wertował książki.

Z takiego obrotu sprawy zadowolona była Jadwiga. Nareszcie miała do kogo się odezwać. Co prawda Witold nie był dobrym rozmówcą, o czym nie raz się przekonała. Słuchał jej, ale nie zawsze podejmował temat.

Jadwiga przyzwyczała się do tego, że Witold był w domu rzadkim gościem. Nosiło go po mieście. Potrafił zaraz po śniadaniu wyjść bez słowa i wrócić bardzo późno. Zdarzały się i takie dni, kiedy nie pokazywał się aż do następnego dnia rano.

Nigdy go nie pytała, gdzie tak znika.

To nie moje sprawy, powtarzała sobie w myślach, choć zżerała ją ciekawość.



W środę jak zwykle Jadwiga była już przed szóstą na nogach. Kilka minut chodziła po kuchni, przygotowując się do wyjścia po codzienne sprawunki.

Otwierała drzwi, kiedy zobaczyła na schodach Witolda. Na widok pana domu zamarła z ręką na klamce. Nie za bardzo wiedziała, co zrobić.

W podjęciu decyzji pomógł jej sam Witold.

– Niech Jadwiga się mną nie przejmuje – powiedział lekkim tonem.

– Ale... – zaoponowała. Poczucie obowiązku nie pozwalało jej zostawić Witolda bez śniadania.

– Śniadanie przygotuję sobie sam... – odpowiedział rozwiewając jej wątpliwości.

W Paryżu była to dlań codzienność. Tam nie miał stałej gosposi. Raz w tygodniu najmował kobietę, która sprzątała mieszkanie. Dopiero tutaj, w Krakowie, zatrudnił Jadwigę. I to wszystko za sprawą Henryka, który uparł się, że Witold potrzebuje kogoś, kto zajmie się tak dużym domem.

– Ale... – gosposia nadal próbowała oponować.

– Niech Jadwiga już idzie.

Wiedziała, że nie powinna dalej dyskutować.



Witold pił kawę i przeglądał prasę. Jadwiga patrzyła na niego długo, próbując odgadnąć, w jakim jest nastroju.

Wyczuł na sobie jej uważne spojrzenie.

– Co Jadwigę trapi?

Jadwiga usiadła nieproszona.

– Bo... – Zamilkła. Sprawa, jaką miała do Witolda, była delikatna. Gosposia nie wiedziała, od czego zacząć.

Witold wymownie spojrzał na zegarek.

– O co chodzi, Jadwigo?

– Ja wiem, że pan jest zajęty. Ale...
Kobieto, wyduś to z siebie, pomyślał lekko rozdrażniony.
– Pamięta pan, jak mówiłam kiedyś o znajomej z rynku, Karczowej? To ta kobieta, u której kupuję owoce i warzywa.
Jadwiga odczekała chwilę, a kiedy doszła do wniosku, że Witold nie musi pamiętać każdej prowadzonej z nią rozmowy, ciągnęła dalej, niezrażona jego milczeniem.
– Karczowa to bardzo dobra gospodyni. Mieszka w Ludwinowie. Tam ma ogródek i handluje tym, co wyrośnie.
Znów ten Ludwinów, pomyślał niechętnie.
– Żyje skromnie, ale uczciwie...
– Jadwigo, do rzeczy – upomniał ją.
Zreflektowała się.
– No więc ta Karczowa zaczęła mnie dzisiaj na targu. Ona od paru dni nie śpi, prawie nic nie je. Jednym słowem ma problem.
– Co to za problem?
– Jej syn zaginął – wyrzuciła z siebie wreszcie.
Witold spojrzał na nią z zainteresowaniem.
– Niech Jadwiga mówi dalej.
Jadwiga skinęła głową.
– Ona... – zawahała się.
Popatrzył na Jadwigę z wyczekiwaniem. Kobieta nie spieszyła się z dokończeniem rozpoczętej myśli.
– Tak? – zachęcił ją po raz kolejny.
– Ona pomyślała, że pan jej pomoże odnaleźć tego chłopca.
W pierwszej chwili chciał odmówić. Nigdy nie zajmował się dwoma sprawami równocześnie, wychodząc ze słusznego założenia, że powinien skupiać się tylko na aktualnie prowadzonym śledztwie. Ta metoda przez lata się sprawdzała. Dlaczego więc teraz miałby porzucić swoje zasady?
Zawahał się.
Z drugiej strony nie miał nic szczególnego do roboty. Czekanie nużyło go, więc...
Właściwie – dlaczego nie?
– Mówiła Jadwiga, że ta kobieta handluje na targu?
– Na placu Szczepańskim – pospieszyła z wyjaśnieniem.
Zastanowił się.
– Zajmie się pan tą sprawą?
– Tak.
Posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie.
– To ja pójdę po Karczową...
– Niech Jadwiga poczeka. Sam się tam przejdę.



Na placu Szczepańskim było rojno od przekupek ubranych w kolorowe spódnice i białe bluzki, tak charakterystyczne dla mieszanek podkrakowskich wsi. Ze wszystkich stron dochodziły głosy zachęcające do zakupu świeżych warzyw i owoców. Na straganach przyciągały wzrok ogromne kołaczki z serem, pęta wędzonej kielbasy, suszone grzyby i owoce. Na długich stołach stały kamionkowe stągwie z mlekiem i śmietaną, stopy masła i sera.

Witold ominął długi rząd kobiet z bańkami mleka, nabiałem i ptactwem domowym. Gdzieś wśród nich stała Karczowa. Jadwiga dokładnie opisała zarówno ją samą, jak i miejsce, które zawsze zajmowała. Mimo to Korczyński zagubił się w tym wielobarwnym tłumie. Po dziesięciu minutach błądzenia w końcu odnalazł handlarkę. Była to postawna kobieta o krzaczastych brwiach i gęstych włosach. Ubrana była w charakterystyczny dla mieszkanek przedmieść strój, na który składała się ciemna suknia i narzucony na nią fartuch.

Kiedy Witold przedstawił się, w zaskoczeniu długo nie mogła wykrztusić słowa.

– Pan taki łaskaw, że sam się do mnie pofatygował – wydukała w końcu.

– Opowie mi Karczowa o swoim synu – od razu przeszedł do rzeczy.

Kobieta zapłakała. Otarła łzę.

– Mam ich troje. Ja naprawdę o nich dbam, nie puszczam ich nigdzie samopas, jak to inni robią. Nie biegają po ulicach i ogrodach – tłumaczyła. Mówiła głośno, dużo przy tym gestykulując.

Mówiła równie szybko jak Jadwiga.

– Nie jestem tu po to, aby Karczową oceniać – uciął.

Zamilkła. Na jej twarzy odmalował się strach. Bała się, że swoimi słowami zraziła go do siebie. Ale jak tu być spokojną, kiedy spadło na nią takie nieszczęście.

– Mam pieniądze, zapłacę – próbowała go udobruchać.

Powstrzymał ją machnięciem dłoni.

– Nie o pieniądze chodzi.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Ale ja nie jestem z dziadów. Naprawdę mogę zapłacić – uniosła się honorem.

Witold zrozumiał, że dotknął czułego punktu.

– Zapłaci mi Karczowa później, jeśli uda mi się znaleźć chłopca, dobrze?

Skinęła głową. Tak, to był uczciwy układ.

– A teraz proszę mi wszystko opowiedzieć.

Siedziała na swoim zydelku w bezruchu, ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Była skulona jak człowiek, którego przytłacza ogrom nieszczęść. Wolno, nerwowo zaczęła snuć swoją historię.

– No więc Tadziu...



Witold doskonale pamiętał słowa Zdzierchy, żeby nie pokazywać się więcej w Ludwinowie. Nie przywiązywał jednak do tego zakazu zbytnej wagi. Wiedział, że w chwili zagrożenia poradzi sobie. Na wszelki wypadek wziął broń.

Karczowa mieszkała w drewnianym, zadbanym domku przy ulicy Tureckiej. Od tego miejsca Witold rozpoczął swoje poszukiwania.

Chłopiec zniknął pomiędzy dwunastą a dwunastą piętnaście. Karczowa dokładnie zapamiętała godzinę. Kiedy bowiem dzwony w kościele św. Bartłomieja wybiły południe, wyszła z Tadziem przed dom, pozwalając mu pobawić się z synkiem sąsiadów. Sama usiadła na ławeczce. Świeciło słońce. Nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła. Tłumaczyła Witoldowi, że trwało to może kilka minut, nie dłużej. Nagle się zbudziła. Otworzyła oczy i ku swojemu przerażeniu nigdzie nie dostrzegła synka. Szukała go w domu i na łące, potem w sadzie rosnącym po lewej stronie drogi, za drewnianym płotem. Po godzinie zaalarmowała sąsiadów.

Byli to głównie prości ludzie: pracownicy zakładów garbarskich, kamieniołomów i cegielni. Witold porozmawiał z kilkoma osobami, ale szybko doszedł do wniosku, że to do niczego nie prowadzi. Marni z nich byli świadkowie. Ich relacje różniły się tak bardzo, że Witold

mógł ułożyć kilka historii, które nie miały ze sobą nic wspólnego. Ktoś widział potężnego, obcego mężczyznę, jak szybkim krokiem przemierzał wąskie uliczki Ludwinowa, ktoś inny – niskiego, łysawego Żyda.

Na koniec swojej wędrówki Witold wstąpił do zakładu fryzjerskiego, znajdującego się w narożnym domu przy ulicy Swoboda.

Kiedy wszedł do środka, chudy mężczyzna w białym fartuchu uśmiechnął się, pokazując rząd równych zębów.

– Takie nieszczęście – zaczął, dając do zrozumienia, że jest dobrze poinformowany. – Biedna kobieta... Taka pracowita, taka dobra...

Witold odczekał stosowną chwilę, a potem zapytał:

– Zna pan tu wszystkich?

– Oczywiście. Od razu rozpoznam, kto swój, a kto nie.

– A tamtego dnia widział pan kogoś obcego?

Fryzjer mrugnął porozumiewawczo.

– No, pana pamiętam. W poniedziałek wypytywał pan o Zdzierchę i wiem, że pan go znalazł, a potem długo z nim gadał. Wiem też, że miał pan zakaz pojawiania się tutaj. Ale kiedy Karczowa zwróciła się o pomoc i pan się zgodził, Zdziercha powiedział wszystkim, że mają odpowiadać na pytania. A tamtego dnia? Jakoś koło południa tuż przed moim oknem przejechała kareta.

– Kareta?

Witold nie musiał dopytywać. Fryzjer szybko dodał:

– Wyszedłem przed zakład, ciekawy, kto i dokąd tak pędzi. Nie widziałem wiele, bo wjechała już w Turecką. Ale z rogu zauważyłem, że na kilka sekund zatrzymała się obok sadu. Potem trzasnął bat.

– Nie wydało się to panu dziwne?

Fryzjer zamyślił się.

– Nie, może tylko to, że jechała tak szybko.

– Może mi pan dokładnie wskazać to miejsce, gdzie stanęła?

Ramię w ramię powędrowali na Turecką.

Fryzjer przez chwilę się zastanawiał.

– To tutaj, przy tej jabłonce.

Popatrzył na Witolda.

– Muszę wracać, ale gdyby chciał się pan ogolić, to oczywiście zapraszam.



Witold długo stał w miejscu i patrzył na ulicę. Od sadu do domku, w którym mieszkała Karczowa, było nie więcej niż dwadzieścia metrów.

Być może chłopiec, wykorzystując nieuwagę matki, zawędrował tutaj. Miał siedem lat, był ciekaw miejsc zakazanych, do których pod żadnym pozorem nie powinien się zbliżać.

Witold przeskoczył przez niewysoki płot i zagłębił się w cień drzew owocowych, które teraz, wczesną jesienią, powoli gubiły liście.

Kwadrans później wrócił na ulicę.

Zastanawiał się, co może jeszcze zrobić. Sprawa od samego początku wydawała się beznadziejna. Minęło zbyt dużo czasu od dnia, w którym chłopiec zaginął. Witold nie liczył na zbyt wiele. Mimo to po całym dniu bezowocnych starań był rozczarowany.

Nie opuszczało go przekonanie, że kluczem do rozwiązania zagadki była tajemnicza

kareta, którą dziwnym trafem widział tylko fryzjer.

Już miał wracać do zakładu, aby zadać mężczyźnie jeszcze kilka pytań, kiedy jego wzrok padł na pozołkłą o tej porze trawę. Coś błysnęło. Pochylił się. Częściowo zakopany w ziemi leżał srebrny łańcuszek z krzyżykiem.

Witold długo wpatrywał się w przerwane ogniwa.

Zdecydowanym krokiem skierował się do domku Karczowej.

Kobieta spojrzała na łańcuszek, potem na Witolda, wreszcie – wybuchła histerycznym płaczem. Minęło kilka minut, zanim opanowała szloch. Dopiero teraz, szeptem potwierdziła, że krzyżyk należał do jej syna.

Witold nie miał już wątpliwości, że chłopiec został porwany.

Jak mam go odnaleźć? Kto za tym stoi?

Nadchodząca jesień dawała o sobie znać zimnym wiatrem i drobnym deszczykiem.

Powietrze pachniało wilgocią. Na ulicy panowała niczym niezmacona cisza.

Witold siedział na przysuniętym do okna fotelu i rozmyślał o Tadiusiu Karczowej.

Nawet nie zauważył, kiedy zasnął. Mieszały mu się obrazy. Przeżycia ostatnich dni zamieniły się w koszmar senny. Spał niespokojnie, krótko. Wydawało się, że sen trwał chwilę.

Otworzył oczy. Wsłuchiwał się w tykający zegar i wiedział, że nie zmrzy już oka.

Włożył marynarkę i cicho wyszedł w ciemność, aby nie zbudzić Jadwigi. Długo wędrował wyludnionymi o tej porze Plantami. Pod nogami szeleściły opadłe z drzew liście.

W końcu zmarzł.

Postawił kołnierz marynarki i skierował się na ulicę Lubicz. Tutaj, w restauracji Rozenstocka, zamówił tylko filiżankę herbaty. Zdziwił tym kelnera, który dwa razy poprosił o powtórzenie zamówienia.

Okolo czwartej Witold wrócił do domu.



Jadwiga przygotowywała śniadanie dłużej niż zwykle. Wszystko wylatywało jej z rąk.

– Jak poszukiwania, panie Witoldzie? – spytała, podając kawę.

Nie odpowiedział. Zrozumiała, że jest źle, a nawet bardzo źle. Sprawa była beznadziejna.

– Tak mi żal tej kobiety.

Jadwiga czuła, że Witold jest rozdrażniony.

– Ale będzie go pan jeszcze szukał?

– Będę.

Wczesnym popołudniem Witold wrócił do Ludwinowa. Tak jak poprzedniego dnia, nie ustalili niczego, co pchnęłoby sprawę do przodu.

Złe i dobre wieści

21 września 1904 r. – środa po południu

Kościelny zegar wybił kolejną godzinę. Za oknem monotonnie zawodził wiatr, a krople deszczu uderzały o szybę w rytm ponurego staccato.

Witold wodził palcem po mapie Krakowa, patrzył na uliczki odchodzące od rynku i zastanawiał się, jak ma odnaleźć kogoś, po kim wszelki ślad zaginął. Był przekonany, że Anna Wereszyńska dawno obmyśliła plan działania. Tamtego dnia nie działała pod wpływem emocji.

Rozważania Witolda przerwał dźwięk telefonu.

W słuchawce zabrzmiał głos Wereszyńskiego. Witold był przygotowany na długą rozmowę, która nie będzie przebiegać w przyjaznej atmosferze. Pamiętał, jak zakończyło się ich ostatnie spotkanie. Pomylił się tylko w jednym – rozmowa trwała krótko.

– Chcę się z panem spotkać – oznajmił Wereszyński.

– Będę u pana jutro rano – odpowiedział wymijająco.

Od niedzieli do zawilej układanki dołożył zaledwie jeden element. Wiedział, że Wereszyńska wsiadła do czarnej karety. Takich pojazdów, codziennie przemierzających ulice Krakowa, było wiele. Skoro dysponował tak skąpyimi informacjami, rozmowa z przemysłowcem wydawała mu się niepotrzebną stratą czasu. Nie interesowały go jałowe, nic niewnoszące do sprawy dyskusje, a tym bardziej przerzucanie się słowami.

Wereszyński milczał dłuższą chwilę.

– Przyjedzie pan do mnie jeszcze dzisiaj... – powiedział zimnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem i zanim Witold zdążył zareagować, przerwał połączenie.

Witold długo patrzył na milczący głucho telefon. Wstał i przeszedł się kilka razy po pokoju. Był zirytowany. Rzadko miał problemy z podejmowaniem decyzji, zwłaszcza w trakcie śledztw, które prowadził. Teraz znalazł się w sytuacji, która była mu całkowicie obca. W głowie miał mętlik. Z jednej strony nie chciał spotkać się z Wereszyńskim, z drugiej – zdawał sobie sprawę, że nie ma wyjścia. Tamten już raz udowodnił, że w bezwzględny sposób potrafi egzekwować swoje decyzje.

Nie wiadomo, jak długo biłby się z ponurymi myślami, gdyby nie ciche pukanie do drzwi.

– Tak? – rzucił, nawet nie podnosząc głowy.

Do gabinetu wszedł Eigner. Tuż za nim dreptała Jadwiga. Kobieta miała ponurą twarz. Wizyta fiakra zawsze psuła jej humor. Nie potrafiła przekonać się do tego człowieka. Nic nie mogła na to poradzić. W ocenie jego osoby nie kierowała się żadnymi racjonalnymi przesłankami. Przeciwnie, to tylko intuicja podpowiadała jej, by wobec niego zachować ostrożność. Była pewna, że Eigner ukrywa wiele tajemnic. Nie ufała mu.

Eigner wyczuwał, że kobieta nie darzy go zbyt dużą sympatią. Początkowo próbował przekonać ją do siebie, ale z czasem zrezygnował.

Jadwiga była przekonana, że Witold dostrzega jej wątpliwości. Zawsze wnikliwy, w tym wypadku nawet nie próbował dociekać przyczyny. Były chwile, kiedy próbowała go przekonać, by nie ufał Eignerowi. Witold wzruszał ramionami lub mówił coś, co na długo zamykało jej usta.

Teraz jak najszybciej chciała zostawić mężczyzn samych. Spytała tylko, czy ma podać coś do picia.

Witold poprosił o następną filiżankę kawy. Fiakier zadowolili się herbatą.

Kiedy Jadwiga wyszła, Eigner spojrział na gospodarza. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że Witold nie jest tego dnia w dobrym nastroju.

Witold nawet nie wstał i nie przywitał się z gościem. Wskazał tylko skórzany fotel.

Austriak stał chwilę w wejściu, dumając nad zachowaniem przyjaciela. W końcu bez słowa skorzystał z zaproszenia. On także milczał. Skupił się na napelnianiu fajki.

W gabinecie uniósł się aromatyczny zapach tytoniu.

Eigner rozejrzył się po skromnie urządzonej gabinecie. Proste biurko, a na nim telefon, przybory do pisania. Pod ścianą dwie szafy z książkami, fotel, lampa, barek.

Odkąd się tu sprowadził, Witold niewiele zmienił w wystroju wnętrza. Odpowiadała mu skromność pomieszczenia. Może tylko na półkach biblioteczki przybyło kilka książek. W rogu, przy zajmowanym teraz przez Eignera fotelu, znalazł swoje miejsce stolik z szachownicą. Z ustawienia pionów i figur można było wywnioskować, że gospodarz nie dokończył partii. Grywał tylko z jedną osobą i nie robił tego dla przyjemności. Był to ukłon w stronę Henryka Winiarskiego, który szczególnie upodobał sobie królewską grę. Stary do każdej partii podchodził z wielką pasją i zaangażowaniem.

Fiaker pyknął z fajeczki i przez kilka chwil patrzył z uwagą na Witolda zza chmurki dymu.

– Mam dla ciebie dobre wieści... – zaczął. – Udało mi się dotrzeć do pewnej osoby, która...

Spojrzał znacząco na Witolda.

– Nie będę wdawał się w szczegóły, ale mój znajomy dorożkarz rozpoznał karetę, do której wsiadła Wereszyńska. – Zawiesił głos. – Właścicielem pojazdu jest nie kto inny jak hrabina Ledóchowska – dokończył.

Witold jeszcze tego samego dnia napisał do hrabiny krótki liścik, w którym w grzecznej formie prosił o spotkanie.

Kreśląc te kilka słów, długo zastanawiał się, jak ma przekonać hrabinę o pilności sprawy, którą chciał przedstawić. W myślach układał odpowiednie zdanie. Dwa razy podarł napisany już liścik. Dopiero za trzecim razem był zadowolony.

W okolicach Hotelu Royal udało mu się złapać ekspresa. Mężczyzna otrzymał jasne instrukcje. Miał zanieść list do hrabiny, poczekać na odpowiedź tak długo, jak będzie trzeba, i dostarczyć ją do hotelowej restauracji, gdzie Witold postanowił zjeść obiad.

Po obfitym posiłku Witold zamówił kawę i poprosił o gazety.

Lekturę rozpoczął od popołudniowego wydania „Czasu”. Zapoznał się z kroniką, przebiegł wzrokiem artykuł na temat wojny mandżurskiej, zatrzymał się przy zapowiedziach miejskiego teatru. W piątek po raz kolejny wystawiali sztukę Wyspiańskiego, Wesele. Dużo o niej słyszał, ale dotąd nie znalazł czasu, by się na nią wybrać. Na koniec zerknął do codziennej rubryki „Przyjechali do Krakowa”.

Znudzony, czytał nazwiska osób, które w ostatnich dniach przybyły do miasta.

„Grand Hotel: Kazimierz Łubieński z Krakowa, Tomasz Łaszcz ze Lwowa, hr. Aleksandra Walewska z Warszawy, Adam Sierakowski z guberni lubelskiej, Julian Borkiewicz z Kielc, Friz Keller z Budapesztu, Benjamin Fletcher z Londynu”.

Witold drgnął.

Benjamin Fletcher, powtórzył w myślach. Nie miał wątpliwości, że jest to człowiek, z którym od roku próbował nawiązać kontakt.

– Nareszcie – mruknął.

Witold niecierpliwie oczekiwał powrotu ekspresa. Ten pojawił się dwa kwadransy później.

Odpowiedź od hrabiny była krótka, ale poprawiła Korczyńskiemu humor.

„Zapraszam jutro, o piątej”, przeczytał.

Ekspresowi zapłacił kwotę wyższą, niż należała się za podobną usługę. Mężczyzna

ukłonił się w pas.

– Jestem na każde pana skinienie.

Chciał odejść, lecz nie zrobił tego. W miejscu zatrzymał go głos Witolda.

– Poczekaj, mam dla ciebie jeszcze jedno zlecenie.

Szybko napisał krótki list. Zakleił kopertę.

– Masz, zanieś go do pałacu w Dębnikach.

Ubrany w liberię portier, Zenon Teodorczyk, znudzonym wzrokiem patrzył na przechodniów mijających Hotel Grand. Po zachowaniu, gestach, wyglądzie bezbłędnie rozpoznawał tych, którzy za chwilę mieli stać się gośćmi.

Hotel był jednym z najbardziej luksusowych w Krakowie. Zatrzymywały się tutaj znamienite osoby, przede wszystkim ze sfer arystokratycznych. Piękne kobiety w strojach prosto z Paryża i mężczyźni o wypielęgnowanych dłoniach. Nie lubił tych pewnych siebie, aroganckich ludzi, którzy na ogół skąpili napiwków.

Teodorczyk zasłonił dłonią usta, z trudem tłumiąc ziewanie. Wrócił na swoje miejsce w recepcji i wbił wzrok w drzwi, jakby w ten sposób chciał przyciągnąć gości.

Czas mijał wolno i leniwie. Do końca zmiany pozostało piętnaście minut, kiedy drzwi otworzyły się i do holu wkroczył szczupły mężczyzna o lekko posiwiałych skroniach.

Teodorczyk rozpoznał go. Był to stały bywalec restauracji i dawny gość hotelu, który bodajże w maju 1900 roku przez kilka tygodni zajmował najlepszy z apartamentów. Mężczyzna nigdy nie skąpił napiwków, dzięki czemu zyskał szacunek personelu.

Teraz skierował się do tablicy. Światowym zwyczajem wypisywano na niej nazwiska gości. Przez kilka chwil z uwagą studiował treść.

– Pomóc panu w czymś, panie Korczyński?

Teodorczyk ukłonił się.

– Zatrzymał się u was Benjamin Fletcher?

Teodorczyk szybko skinął głową.

– Jest naszym gościem od wczoraj.

– Dlaczego więc nie ma tu jego nazwiska?

Wypowiedziane obojętnie słowa zburzyły spokój Teodorczyka. Mężczyzna szybko podszedł do tablicy. Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Korczyński miał rację.

Portier stał skonsternowany.

– Przepraszam. Natychmiast każe naprawić błąd.

Takie niedopatrzenie, takie zaniedbanie, pomyślał, złorzecząc na podległy mu personel. Wyjął z szuflady kredę, aby od razu naprawić błąd.

– Chwileczkę – twardy głos wstrzymał Teodorczyka. – Pan Fletcher jest teraz u siebie?

– Tak.

– Proszę mnie zaanonsować.

Teodorczyk przywołał gestem posługiwacza.

– Zajrzyj no do pana Fletchera i powiedz, że ma ważnego gościa.

Pryszczaty wyrostek podrapał się za uchem.

– Ale tego pana nie ma...

Teodorczyk spojrzał na niego zdziwiony. Nie widział, aby Fletcher tego dnia opuszczał hotel.

– Wyjechał – pospieszył chłopak z wyjaśnieniem. – Skoro świt, kiedy pana jeszcze nie było.

Ta krótka informacja wszystko wyjaśniała.

– Dokąd? – spytał Witold.

– A nie mówił...

Chłopak znacząco spojrział na Witolda. Ten westchnął i pogrzebał w kieszeni. Po chwili w dłoni chłopca znalazła się moneta. Wyrostek uklonił się w pas.

– Pan Fletcher pojechał do Zakopanego. Wróci jutro lub pojutrze. Może w sobotę.
Ta wiadomość na dobre popsowała Witoldowi humor.



Wereszyński patrzył przez okno na padający deszcz. Wiatr targał drzewami, unosząc liście.

Wrzesień w tym roku zaskakiwał zmienną aurą. Rozpoczął się od burzy z ulewnym deszczem, która przyniosła gwałtowne, kilkudniowe ochłodzenie. Krakowianie po wielkich upałach odetchnęli z ulgą. W drugiej dekadzie miesiąca pogoda znów zaskoczyła. Następne dni były zadziwiająco ciepłe. Niektóre drzewa zaczęły ponownie kwitnąć. Uwagę przechodniów zwracał kasztan na rogu ulicy Szpitalnej, w pobliżu teatru, naprzeciw składu maszyn do szycia Singera. Drzewo, które magistrat chciał wiosną wyciąć, wypuściło młode listki o żywej, zielonej barwie i kilkanaście łądyg z kwiatami.

Wereszyński, od zawsze wrażliwy na zmiany pogody, reagował na nie rozdrażnieniem. Nagle oderwał wzrok od okna.

Spojrzał na lokaja, który od kilku chwil czekał przy drzwiach.

– List do pana.

Wereszyński odebrał kopertę.

List był lakoniczny. Jedno grzeczne zdanie nie pozostawiało wątpliwości.

„Dziękuję za zaproszenie, ale z pewnych powodów, ważnych nie tylko dla mnie, nie mogę dzisiaj pana odwiedzić”. I podpis: Witold Korczyński.

Wereszyński zmiął kartkę w dłoniach. Zmarszczył w zadumie czoło.

– Sprowadź Reintera – mruknął do lokaja.



Reinter od razu wyczuł, że coś popsulo humor Wereszyńskiemu. Nie dociekał. Wiedział, że za chwilę wszystkiego się dowie.

W milczeniu wysłuchał przemysłowca.

– Mam go sprowadzić? – spytał, kiedy wybrzmiały ostatnie słowa.

– Tak – odpowiedział ten w pierwszym momencie.

Po chwili zakiełkowała mu w głowie pewna myśl.

– Nie. Ustalisz tylko, jakie ważne sprawy nie pozwalają panu Korczyńskiemu przyjechać tutaj. Masz być oddechem na jego karku, chcę znać każdy ruch i...

Uśmiechnął się paskudnie.

– Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz.

Reinter milczał, chociaż zdawał sobie sprawę, że zadanie nie jest proste. Pracując przez lata u Wereszyńskiego, poznał rządzące u niego reguły. Wiedział to, czego Witold nie przyjmował do wiadomości.

Wereszyńskiemu się nie odmawia, panie Witoldzie, powtórzył w myślach kilka razy.

Sedlarek

22 września 1904 r. – czwartek

Witold wyszedł przez sklepioną sień na rynek – z cienia wprost w otwartą przestrzeń. Poraziło go słońce, które w końcu pokonało chmury i teraz niepodzielnie panowało na niebie.

Z miejsca, w którym stał, roztaczał się widok na Sukiennice, Kościół Mariacki i zieloną kopułę Kościoła św. Wojciecha.

Po chwili wahania Witold skierował się w stronę Floriańskiej. Po drodze wstąpił do sklepu braci Bilewskich. Magazyn galanteryjny oferował wszystko, co było potrzebne eleganckiemu mężczyźnie. Witold przez blisko pół godziny przymierzał rękawiczki, oglądał parasole i etui na cygara. Wciąż nie mógł się zdecydować, co kupić.

Subiekt, zaaferowany poszukiwaniem towaru, który trafiłby w gust wybrednego klienta, nie spostrzegł, że ten bardziej zainteresowany jest widokiem za oknem niż podtykanymi pod nos przedmiotami.

Rzeczywiście, Witold skupiony był na czymś zupełnie innym. Interesował go mężczyzna, który stał po drugiej stronie ulicy i spod wpeł przymkniętych powiek leniwie obserwował przechodniów. Takich jak on było w Krakowie wielu – zaniedbanych, brudnych. Jego widok nie powinien być więc wzbudzać ciekawości Korczyńskiego. Ot, jeszcze jeden łachmaniarz – biedak, którego koleje losu skazały na poniewierkę.

Witold widział tego człowieka już wcześniej. Kiedy rano wychodził od Hawelki, gdzie zjadł drugie śniadanie, żebrak stał przy wejściu i niezbyt nachalnie, jakby wstydliwie, wyciągał rękę z puszką w stronę mijających go ludzi.

Witold, jak i parę innych osób, przystanął, by wrzucić monetę. Kiedy sięgał po drobne, dostrzegł wypielęgnowane dłonie żebraka. To nie były ręce biednego człowieka. Witold spojrzał nieznajomemu prosto w oczy.

Ten co prawda szybko odwrócił głowę, ale jedna chwila wystarczyła Witoldowi do poczynienia pewnych spostrzeżeń.

W spojrzeniu żebraka brakowało smutku, cechującego żyjących na ulicy. Mężczyzna wyglądał na pewnego siebie.

Odtąd Witold dyskretnie oglądał się za siebie, sprawdzając, czy mężczyzna go śledzi.

Przez cały dzień Tomasz Sedlarek nie spuszczał wzroku z mężczyzny, który go interesował. Był jego cieniem. Chodził za nim krok w krok. Solidnie się namęczył – mężczyzna postanowił odwiedzić sklepy wokół rynku, na Sławkowskiej i Floriańskiej. Swą wędrówkę rozpoczął od składu ubrań Heilmanna Kohna przy Rynku 11, oferującego ubrania z angielskich materiałów. Potem skręcił w Sławkowską. Tutaj najpierw wstąpił do sklepu położonego *vis-à-vis* Hotelu Saskiego i Hotelu Grand, gdzie spędził prawie pół godziny, przebierając w krawatach i parasolach. Następnie wszedł do pracowni broni Józefa Splichala. Sztyd nad wejściem dumnie głosił, że jest to jedyne miejsce w Krakowie, gdzie można nabyć oryginalną broń J. G. Teschnera i W. Collatha.

Po wyjściu z destylarni Ogińskiego mężczyzna ruszył w stronę Barbakanu, ale po kilkunastu metrach gwałtownie zawrócił.

Sedlarek prawie na niego wpadł. W ostatniej chwili pochylił się, udając, że podnosi z ziemi zgubioną przez kogoś monetę.

Zanim wstał, mężczyzna był już przy rynku.

Sedlarek przyspieszył kroku. Śledzony wszedł do bramy pod numerem 12. Sedlarkowi nie pozostało nic innego, jak czekać.

Usiadł pod murem, w miejscu, z którego bardzo dobrze widział bramę. Wyciągnął przed

siebie puszkę – nieodłączny rekwizyt kamuflażu.

Klął na czym świat stoi. Jak na złość zaczął padać deszcz. Krople kapąły mu na głowę, a on nie miał gdzie się schować. Zacisnął usta. Jakoś to przetrzymam, pomyślał.

Minęła godzina. Sedlarek był zziębnięty i coraz bardziej zły.

Co mężczyzna robił tam tak długo?

Odczekał jeszcze kwadrans. Wszedł do bramy.

Stanął pośrodku i patrzył na połączone wąskimi, służbowymi schodkami ganki, które obiegały podwórze przez dwa piętra.

Podwórze tętniło życiem. Ktoś rąbał drewno, ktoś inny wnosił po schodach wiadro z węglem. W rogu służąca trzepała dywanik.

Kobieta, która energicznie zamiatała podwórze, przerwała na widok Sedlarka.

– A czego tu szuka? Tu nie można żebrać. Pan nie pozwala.

– Wchodził tu szczupły mężczyzna. – Podał dokładny opis.

Kobieta spojrzała na niego uważniej.

– Ano wchodził.

– Gdzie poszedł?

Ręką wskazała stare, podniszczone drzwi.

– Wie może gospodyni, kogo odwiedził?

– Nikogo.

Sedlarek patrzył na nią zdziwiony.

Kobieta zaśmiała się.

– Widać od razu, że nie zna Krakowa. To przechodnie podwórko, stąd wyjdiesz pan na Stolarską.

Sedlarek zaklął.

Reiner patrzył zdenerwowany na ubranego w zniszczone ubrania mężczyznę, który stał przed nim jak uczeń przed profesorem.

– Jak to go zgubiłeś? – spytał. – Zapewniałeś mnie, że znasz tu w Krakowie każdy zakamarek, przejście i skrót. I że to dla ciebie łatwizna.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Przecież pan wie...

– Że co? Że jesteś w tym najlepszy?

– Jeszcze nigdy...

– Dość.

Reiner machnął ręką zniecierpliwiony.

Obmyślony przez niego plan był prosty. Starannie dobrał ludzi, którzy dzień i noc mieli nie spuszczać z Witolda oka. Aż do tej chwili był przekonany, że to łatwe zadanie. Śledzony nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest pod wnikliwą obserwacją.

Teraz Reiner musiał przyznać, że pomylił się w swoich założeniach.

Nie należał do osób, które łatwo się poddają. Dobrze wiedział, co robić dalej w takiej sytuacji. Wystarczyło podjąć trop w miejscu, w którym Korczyński spędzał najwięcej czasu.

Popatrzył na Sedlarka twardym wzrokiem.

– Wracaj na Świętego Sebastiana i czekaj tam na niego, ale... – Zawiesił głos. – Pamiętaj o jednym. Nie chcę więcej błędów. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

Sedlarek szybko skinął głową. Wbrew wcześniejszym obawom nie stracił jeszcze szansy na duży zarobek. Musiał tylko lepiej przyłożyć się do zadania.

Hrabina

22 września 1904 r. – czwartek po południu

Hrabina Ledóchowska siedziała przy kominku, próbując ogrzać zziębnięte ciało. Chociaż starała się to ukryć, z każdym dniem coraz bardziej czuła upływ czasu.

Wciąż miała głowę pełną pomysłów, ale powoli zaczynało brakować jej sił. Przez ostatnie trzy lata wielką podporą była dla niej bratanica, Emilia. Niestety, los zrządził, że przed paroma miesiącami młoda kobieta musiała wrócić do swojego rodzinnego miasta.

Kiedy w słoneczny marcowy poranek zegnały się na dworcu, Emilia zapewniała, że wróci tak szybko, jak to będzie możliwe.

Wszystko zmierzało w dobrym kierunku, ponieważ w środę Ledóchowska otrzymała od bratanicy list. Młoda Hornowska donosiła, że ojciec wyzdrowiał, a ona sama przygotowuje się już do powrotu. Do Krakowa zawita najpewniej w niedzielę.

Wiadomość nieco poprawiła nastrój hrabiny, która bez tej młodej, pełnej życia kobiety czuła się samotna.

Przez jej szczupłe ciało przeszedł dreszcz.

W głowie pojawiła się myśl, że jest już za późno, że jest za stara, by zrealizować swoje plany.

Hrabina nagle zatęskniła za czymś. Pomyślała o latach, które minęły bezpowrotnie. O czasie, gdy wszystko było proste, a ona, otoczona czułą opieką rodziców, nie musiała się niczym martwić.

Westchnęła.

Wolno oderwała myśli od lat, które minęły bezpowrotnie.

Spojrzała na zegar i przesuwające się wskazówki.

Czas. Czas, który zabija, pomyślała gorzko.

Była za siedem piąta, kiedy do salonu wszedł kamerdyner.

– Przyszedł Witold Korczyński – oznajmił.



Korczyński przywitał hrabinę jak zawsze – ucałowaniem dłoni i pełnym szacunku ukłonem. Mężczyzna dostrzegł smutek malujący się na twarzy kobiety.

Hrabina pochwyciła jego spojrzenie.

– Proszę mi wybaczyć ten nastrój, ale... – Nie dokończyła, porzucając niewypowiedzianą myśl. Posłała gościowi lekki uśmiech. Przez kilka chwil patrzyła na niego z uwagą. Witold zawsze był nienagannie ubrany.

Gestem zaprosiła mężczyznę, aby zajął miejsce w fotelu ustawionym obok kominka.

Witold usiadł.

– Ciągłe poluje pan na przestępców? – spytała z życzliwą ironią w głosie.

Słowa hrabiny Witold skwitował tylko gorzkim uśmiechem.

Przez jakiś czas prowadzili leniwą rozmowę o wszystkim i o niczym, wymieniając uwagi na temat życia towarzyskiego Krakowa. Ledóchowska wspomniała o nowym prezydencie, którego kiedyś gościła w swoim domu. Nie ukrywała, że bardzo jej się podoba snuta przez niego wizja Wielkiego Krakowa. Widziała w tym szansę na rozwój miasta. Najwyższa pora, by Kraków, ze swoją historią i wielkimi osobistościami, zajął należne mu w Galicji miejsce.

Hrabina długo rozwodziła się nad poprzednimi prezydentami Krakowa. Uważała, że ich

rzędy były dla miasta czasem straconym. Przy okazji skrytykowała stańczyków – wpływową grupę osób, która Kraków czyniła jeszcze bardziej zaściankowym.

W pewnym momencie Ledóchowska uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie wie, kogo popiera sam Korczyński. Pamiętała, że jeszcze w czasach, gdy Korczyński był częstszym gościem w jej domu, zdarzyło im się prowadzić rozmowy polityce. Mężczyzna nigdy nie zdradził swoich sympatii.

Kiedy patrzyła, jak wysłuchuje jej z uprzejmym zainteresowaniem, stwierdziła, że sprawy miasta zbytnio go nie interesują. Mieszkał tu już od paru lat, lecz pozostał człowiekiem z zewnątrz. Kimś, kto nie do końca rozumie Kraków i jego mieszkańców.

Na kilka chwil zapadło kłopotliwe milczenie.

– Co słychać u Emilii? – przerwał ciszę Witold.

Hrabina wyczuła w jego głosie prawdziwe zainteresowanie.

– A to ciekawe, że akurat teraz pyta pan o Emilię...

Nie zrozumiał i spojrzał na hrabinę z wyczekiwaniem.

Ta podzieliła się z nim wiadomością o planowanym powrocie bratanicy.

– Bardzo cieszy mnie pana zainteresowanie Emilią, ale przyszedł pan przecież w zupełnie innej sprawie.

Patrzyła na Witolda przenikliwie.

– Pana liścik bardzo mnie zaintrygował.

Witold posłał Ledóchowskiej grzeczny uśmiech.

– Anna Wereszyńska – rzuciła. – Dlaczego tak bardzo interesuje się pan jej osobą?

Zanim tu przyszedł, Korczyński długo zastanawiał się, w jakim stopniu może wtajemniczyć hrabinę w prowadzone przez siebie poszukiwania. Wiedział, że nie zadowolą jej półprawdy, a każda nieścisłość sprowokuje pytania, na które być może nie będzie mógł odpowiedzieć. Dlatego teraz, po zauważalnej chwili wahania, postanowił być szczery.

– Anna Wereszyńska przed paroma dniami nie wróciła do domu. Jej mąż poprosił, abym ją odnalazł.

– A pan, oczywiście, kierując się wyłącznie najlepszymi pobudkami, postanowił spełnić tę prośbę?

W pierwszym odruchu chciał odpowiedzieć ostro, łamiąc konwenanse, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Przemilczał tę uwagę.

– Anna Wereszyńska – powtórzyła. – Oczywiście, nie będę zaprzeczać, że znam tę osobę, gdyż gościła u mnie kilkakrotnie. Nie rozumiem jednak, dlaczego akurat do mnie pan przyszedł w tej sprawie?

Krok po kroku zbliżali się do celu.

Witold bez wahania odpowiedział na pytanie, dokładnie wyjaśniając, skąd czerpie swoją wiedzę.

Na twarzy hrabiny pojawił się wyraz pobłażliwej wyrozumiałości.

– Zatem ta osoba musiała się pomylić – powiedziała z wielką pewnością siebie, wyniosłym tonem, który trochę zaskoczył Witolda.

Ledóchowska dłuższą chwilę patrzyła na niego z wyczekiwaniem.

Zrozumiał.

– W takim razie przepraszam. Niepotrzebnie panią niepokoiłem.

Musiał przełknąć porażkę. Wszystko wskazywało na to, że podrzucony przez Eignera trop poprowadził go w ślepą uliczkę. Wstał i uklonił się sztywno.

– Zapraszam pana w przyszłym tygodniu, powiedzmy we wtorek, kiedy Emilia wypocznie już po podróży.

– Dziękuję, na pewno przyjdę.

Teraz i hrabina wstała. Wyciągnęła na pożegnanie dłoń. Witold ruszył w stronę wyjścia.

W zielonych, mądrych oczach hrabiny pojawił się dziwny błysk.

– Proszę na siebie uważać... – wyszeptała.

Mężczyzna był już za drzwiami, więc nie mógł usłyszeć jej pełnych obawy słów.



Witold stał w cieniu Bramy Floriańskiej i patrzył smutno na wieże Kościoła Mariackiego. Odkąd wyszedł od hrabiny, trapiło go poczucie straconego czasu. Obiecujący trop zaprowadził go donikąd.

Skręcił w lewo, zagłębiając się w zieleń Plant.

Wyminął lampiarza, który zapalał lampy gazowe ustawione wzdłuż alei na żeliwnych słupach.

Szedł przed siebie, bez celu. W pewnym momencie ocknął się z zamyślenia i przystanął, nie do końca wiedząc, gdzie się znajduje. Rozejrzał się niepewnie. Dostrzegł pomnik Grażyny i Litawora, z rosnącą z tyłu brzozą. W tym miejscu, oddalonym od głównych alejek, panował spokój i cisza, mącona tylko śpiewem ptaków.

Witold usiadł na kamiennej ławce.

Rzadko zdarzały się chwile, kiedy bez pośpiechu mógł podziwiać urok Plant. Miejskiego parku, który o każdej porze roku oferował licznym spacerowiczom coś innego. Świeże kwiaty wiosną, przyjemny chłód w skwarne letnie dni, barwy liści słoneczną jesienią, wreszcie zimą – szron i śnieg na koronach drzew.

Witold dał się ponieść leniwej atmosferze tego miejsca. Uciekał myślami od prowadzonego śledztwa i kłopotów z nim związanych.

Powoli słońce skrywało się za drzewami. Lekki, ale zimny wiatr przyniósł ze sobą zapach nadchodzącej jesieni.

Witold spojrzał na ołowiane niebo. Zaczął padać deszcz.

Wspólne interesy

24 września 1904 r. – sobota po południu

26 września 1904 r. – poniedziałek

Fletcher był postawnym mężczyzną o pulchnej twarzy i rzadkich włosach.

Z Witoldem umówił się nie w restauracji Grand Hotelu, ale w cukierni Piątkowskiego i Kissa. Tu, w słynnej „grocie fantastycznej”, gdzie posągowi nimfy towarzyszył wizerunek satyra, szmer wodospadu i tajemnicze oświetlenie, długo narzekał przy kawie na męczącą podróż z Londynu. Zanim przeszli do interesów, Witold musiał jeszcze wysłuchać banalnej historii o zakupie domu pod Paryżem i hucznym weselu z młodą, ale za to majątną hrabianką. Panowie rozmawiali po polsku, Fletcher bowiem miał dziadka Polaka i znał język rodzinny.

– Jak pan widzisz, i we mnie trafiła strzała Amora – zakończył temat żartobliwym tonem.
– Przez lata wiele zmieniło się w moim życiu. Cóż, i ja, stary kawaler, w końcu się ustatkowałem. Tak mi moja Anna zawróciła w głowie, że zapomniałem o całym bożym świecie. Widzisz pan, byłem bardzo zajęty urządzaniem domu. Potem podróżowałem to tu, to tam, aby przed przeprowadzką pozamykać wszystkie sprawy. Nie wszystkie listy trafiły pod mój nowy adres. A co u pana? Pamiętam nasze ostatnie spotkanie w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku, już w Paryżu. Piękne miasto. Zdziwiłem się, kiedy powiedziano mi, że zostawił je pan dla jakiegoś tam Krakowa.

Upił łyk zimnej już kawy.

– Tam to inny świat, a tu... – Ze skwaszoną miną rozejrzał się po kawiarni.

Stojący nieopodal kelner opacznie zrozumiał jego spojrzenie. Podeszedł szybko, kłaniając się wpół, i spytał grzecznym tonem:

– Czego szanowny pan sobie życzy?

– Życzę sobie spokoju. – Odgonił go machnięciem ręki.

Kiedy zostali sami, spytał cicho:

– Słyszałem, że pana żona nie żyje?

Witold skinął głową. Fletcher tym prostym pytaniem obudził wspomnienia. Powróciły obrazy z przeszłości, które dotąd odrzucał.

– Taka piękna kobieta. Nawet pan nie wie, jak strasznie mi przykro...

Witold spojrzał na niego zimnym wzrokiem.

Fletcher zamilkł. Na jego twarzy pojawiła się konsternacja.

– Jak to się stało, że trafił pan tutaj? – szybko zmienił temat.

– To długa historia – odpowiedział wymijająco Witold.

– I pewnie skomplikowana?

Tak jak całe pana życie, dodał w myślach Fletcher.

Fletcher znał Witolda od ponad dziesięciu lat. Wiedział, że nosiło go po świecie i nie potrafił długo usiedzieć w jednym miejscu.

Teraz przyglądał mu się długo, przenikliwie, szukając w jego wyglądzie jakichś niepokojących zmian.

Nie było to trudne. Witold długo bowiem mieszał cukier w filiżance, całkowicie skupiając uwagę na tej prostej czynności. W pewnym momencie oderwał wzrok od filiżanki i spojrzał Fletcherowi prosto w oczy.

– Teraz, skoro już się pan na mnie napatrzył, może przejdziemy do rzeczy? – zaproponował, uśmiechając się lekko. – Czy możemy porozmawiać o interesach?

Fletcher odchrząknął zakłopotany. Witold zbyt łatwo przejrzał jego grę.

– Ach tak. Interesy. Nie myśl pan, że przyjechałem tutaj specjalnie dla pana. Mam tu na oku małą kopalnię w okolicy, a dokładnie w Wieliczce. Jestem pewien, że przyniesie mi duże zyski. A wracając do pana spraw. Znalazłem kupca na pańskie udziały w kopalni diamentów. Nie było to łatwe, biorąc pod uwagę wciąż trudną sytuację w Afryce Południowej. Na szczęście ten mężczyzna jest nastawiony na długoletnie inwestycje. Proponowana przez niego cena nieco odbiega od tej, którą pan podał, ale mam nadzieję, że mimo niewielkiej różnicy będzie pan zadowolony.

Napisał kwotę na kartce i przesunął w stronę Witolda.

Ten zerknął i skinął głową. Nie miał wyjścia – musiał zgodzić się na takie warunki.

– Mam nadzieję, że to rozwiąże pana problemy? – spytał Fletcher.

– O tak, na pewno...

– Jest jedno małe ale... – Ppopatrzył na Witolda z wyczekiwaniem. – Tutaj nic nie załatwimy. Proponuję małą wycieczkę...



W niedzielny rano Witold kazał Jadwidze przygotować podróżny sakwojaż. Gospościa popatrzyła na niego zdziwiona. Nie była zadowolona, że znów gdzieś wyjeżdża. Na usta cisnęło jej się wiele pytań, ale żadnego z nich nie zadała. Wyczuła, że nie jest to odpowiednia chwila.

Chciała wiedzieć tylko jedno – kiedy wróci. Odpowiedź nie była jednoznaczna. Jutro, może pojutrze.

A więc to tylko krótki wyjazd.

Odetchnęła z ulgą. Bała się, że zniknie na kilka dni. Nie lubiła zostawać w domu sama na dłużej.

Przygotowała najpotrzebniejsze rzeczy.

Była zdziwiona, kiedy zobaczyła, że Witold nie kieruje się do głównego wyjścia, tylko w stronę drzwi prowadzących do ogrodu.

– Panie Witoldzie...

Położył palec na ustach.

– Ma Jadwiga nikomu nie mówić, że wyjechałem – rzucił.

Pokiwała głową, chociaż nic z tego nie rozumiała. Tknięta nagłą myślą spytała:

– A gdyby pytał pan Henryk? Jemu też mam nic nie mówić?

– Tak, Henrykowi też.

– Jak pan sobie życzy – mruknęła niezbyt zadowolona.



Witold wrócił do Krakowa w poniedziałek wieczorem. Sprawy w Wiedniu nie przebiegły do końca po jego myśli.

Fletcher, który znalazł nabywcę na udziały w kopalni, zrobił wszystko, aby umowa była dla Korczyńskiego najkorzystniejsza.

Kupiec, którym był emerytowany pułkownik angielski, postawił twarde warunki. Cena, jaką zaoferował, znacznie odbiegała od oczekiwań Witolda. Nie miał jednak wyjścia – zgodził się na wszystko.

„Ciesz się pan, że w ogóle ktoś się zdecydował na ten zakup”, skwitował jego wahania Fletcher. Miał rację.

Panowie podpisali umowę i Witold po wczesnym obiedzie wsiadł do pociągu. Prędkim

powrotem rozczarował nie tylko Fletchera, lecz także samego pułkownika, który zapraszał Polaka na organizowane przez siebie sobotnie polowanie. Witold odmówił grzecznie, ale stanowczo. Wyjaśnił, że na ten dzień ma już określone plany.

Panowie pożegnali się mocnym uściskiem dłoni. Pułkownik nie ukrywał, że podoba mu się stanowczość Polaka. Obiecał, że najpóźniej do środy pieniądze za udziały znajdą się we wskazanym banku.



Słyszac otwierane drzwi, Jadwiga wychynęła z kuchni, gdzie przygotowywała kompot ze śliwek. Na jej twarzy pojawiła się ulga.

Witold skinął gospośi na powitanie i skierował się w stronę schodów. Był zbyt zmęczony, aby wysłuchiwać jej paplaniny.

Usiadł przy biurku, odpiął kołnierzyk, upił kilka łyków podanej przez Jadwigę kawy.

Nie dane mu było odpocząć. Do gabinetu zajrzała gospośia.

– Zapomniałam... Jest do pana liścik...

Spojrzał na nią.

– Przysłała hrabina Ledóchowska.

Kiedy kobieta wyszła, rozerwał skropioną perfumami kopertę. Przebiegł wzrokiem treść listu:

Przepraszam, że pana niepokoję, ale ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu Emilia przedłużyła swój pobyt u kuzynostwa w Warszawie. Tym samym muszę odwołać nasze wtorkowe spotkanie.

Oparł się wygodnie na krześle i zapalił cygaro.

Cóż, młoda Hornowska zasmakowała życia w dużym mieście...

Nie dziwiłbym się, gdyby tam została, dodał, nie mogąc pozbyć się żalu, jaki towarzyszył tej myśli.

Warszawa. Miasto jego dzieciństwa i młodości. Jedno z niewielu miejsc, którego nie mógł odwiedzić – ze względów politycznych.

Gdzieś tam na cmentarzu pochowana była jego matka. Bliska sercu osoba. Po raz ostatni widzieli się, kiedy miał osiemnaście lat. Umarła w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, zimą 1898 roku. Nie mógł nawet pojawić się na jej pogrzebie. W Warszawie niemal na pewno aresztowaliby go agenci carskiej ochrony. Władze rosyjskie dawno wydały wyrok. Płacił wysoką cenę za błędy młodości.

Wiedział, że matka była dumna z tego, co zrobił. Sam, po latach, patrzył na tamte wydarzenia inaczej.

W swoim udziale w zamachu na Ostiapkina Witold widział nie przejaw bohaterstwa, lecz zwykłą brawurę – nieprzemyślane działanie, które nie tylko na niego ściągnęło kłopoty.

Przez te wszystkie lata nie mógł zrozumieć jednego. Dlaczego matka nie pojechała z nim do Londynu? Dlaczego nie opuściła Warszawy? Wyrzucał sobie, że zrobił zbyt mało, by ją stamtąd wyrwać.

Przez wszystkie lata, które minęły od jej śmierci, zagłuszał wyrzuty sumienia, śląc pieniądze osobie, która opiekowała się nią w ostatnich chwilach.

– Do diabła z Warszawą – mruknął do siebie.

Teraz był to tylko punkt na mapie.

Jeszcze raz przebiegł wzrokiem list.

Emilia.

Uśmiechnął się na samą myśl o pełnej pomysłów i energii kobiecie.
Ciotka hołubiła ją, szukając dla niej odpowiedniej partii. Nie dopuszczała myśli, że
Hornowska nie chce żyć tak jak ona – z mężczyzną narzuconym jej przez rodzinę.
Witold poczuł dziwny niepokój.
To nagłe przedłużenie pobytu w Warszawie było do Emilii niepodobne.
Postanowił, że następnego dnia mimo wszystko odwiedzi hrabinę i dokładnie ją
o wszystko wypyta.

Podróż

25 września 1904 r. – niedziela

Emilia Hornowska wsiadła do Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej tuż przed dziewiątą, chwilę po pierwszym gwizdku. Nie wspominała najlepiej ostatnich dni, które spędziła w Warszawie u kuzynów. Cała rodzina robiła wszystko, aby zniechęcić ją do dalszej podróży. Emilia wiedziała swoje i nie miała najmniejszego zamiaru o tym dyskutować. Jej miejsce było w Krakowie.

Oczywiście w podróży towarzyszyła jej nieodłączna Marcysia – wierna służąca, która tak jak Emilia zasmakowała w atmosferze Krakowa, swobodzie tego miejsca i odczuwanej na każdym kroku polskości.

Z Włocławkiem, miastem jej dzieciństwa, nic już jej nie łączyło.

Nie było to jej miejsce na ziemi, dlatego kiedy tylko ojciec wydobrzeał, a choroba nie okazała się zbyt groźna, Emilia wiedziała, że musi wracać. Oczywiście, ojciec chciał wybić jej ten pomysł z głowy. Szybko jednak zrozumiał, że jego opór jest daremny. Nie chciał stracić Emilii. Obiecał nawet, że przy pierwszej okazji odwiedzi Kraków. Chciał bowiem przekonać się, co takiego jest w mieście, które tak bardzo przyciąga jego córkę.



Na podróż Emilia ubrała się w najwygodniejszy kostium. Miała na sobie krótki, dopasowany żakiet z dużymi klapami, rozszerzającą się ku dołowi spódnicę i bluzkę ze stójką – całość w bladoniebieskiej tonacji. Jak zwykle elegancka w ruchach, zwracała na siebie uwagę panów.

Emilia patrzyła na podobne do siebie stacje. Dobrze pamiętała te pierwsze chwile – wtedy w 1900 roku. Ten dreszczyk emocji.

Teraz za wszelką cenę starała się zapanować nad mocniejszym biciem serca.

Siedząca naprzeciw niej Marcysia dostrzegła, że w miarę jak zbliżali się do Krakowa, na twarzy Emilii zachodziły zmiany. Po przekroczeniu granicy Hornowska zamilkła, wpatrzona w widok za oknem. Wydawało się, że zapomniała o całym świecie.

Do Krakowa pozostały tylko dwie stacje. Emilia otrząsnęła się z zamyślenia. Posłała służącej lekki uśmiech i wyszła na korytarz, nie mogąc doczekać się końca podróży.

Za oknem mignęły zabudowania podkrakowskich wiosek.

Na dworcu panował zwykły o tej porze gwar.

Emilia stała na peronie, szukając w tłumie znajomej twarzy. Spodziewała się, że hrabina wyjdzie po nią sama. Jeśli nie pozwoliłyby jej na to obowiązki, powinna przysłać stangreta, Michała.

Zerknęła na Marcysię.

– Gdzież on się podziewa? – mruknęła Marcysia.

W przeciwieństwie do swojej pani nie lubiła tego człowieka. Był mrukliwy i niegrzeczny. Kilkakrotnie doszło między nimi do sprzeczki.

Marcysia zerknęła na bagaże, które stały obok nich, wyładowane przez pracowników kolei. Nie było tego dużo – dwie walizki, podróżny kufer, podręczny sakwojaż z kobiecymi drobiazgami.

Obok już kręcił się tragarz, gotowy w każdej chwili przenieść bagaże na postój dorożek. Marcysia, która przywiązywała wagę do pieniędzy, nie zamierzała mu płacić za coś, co zrobi

stangret.

– Poszukam go...

Emilia skinęła głową przyzwalająco.

Marcysia pobiegła w stronę dworcowego holu.

Emilia się rozejrzała. Na peronie pozostało zaledwie kilka osób. Jej uwagę przyciągnął mężczyzna, który z pozorną obojętnością studiował tablicę ogłoszeń, co jakiś czas zerkając z zainteresowaniem w jej stronę.

Wyłapała jego spojrzenie, zimne i groźne.

Szybko odwróciła się i z elegancją ruszyła w stronę holu.

– Pani Emilio – powiedział wysoki mężczyzna w długim płaszczu, jaki nosili stangreci. – Przysłała mnie hrabina – dodał szybko, widząc na twarzy Emilii zdziwienie.

Mężczyzna miał jasne, budzące zaufanie oczy.

Popatrzyła na niego z uwagą.

– A gdzie Michał?

– On już nie pracuje u hrabiny.

Wydawało się to dziwne. Dobrze знаła przywiązanie ciotki do służby. Od lat pracowały u niej te same osoby. Musiała to wyjaśnić, więc spytała:

– Co się stało?

– Rozchorował się.

Wiadomość zaniepokoiła Emilię. Lubiła go. Mimo że był ponurym, skrytym człowiekiem, zawsze umiała znaleźć z nim wspólny język.

– To coś poważnego?

– Suchoty.

Michał nigdy nie skarżył się na zdrowie.

To niemożliwe, aby nikt tego nie zauważył, pomyślała.

Rozejrzała się dyskretnie. Na peronie było już prawie pusto.

– Chodźmy, panienko – rzucił mężczyzna nieśmiało. – Robi się późno, hrabina czeka z obiadem.

Te argumenty rozwiały jej wątpliwości.



Mężczyzna poprowadził Emilię do czarnej jak noc karety. Młoda Hornowska przystanęła, marszcząc brwi. Ciotka nie lubiła czarnego koloru. Zbyt kojarzył jej się ze smutkiem i żałobą.

Cóż, przez te kilka miesięcy jej nieobecności wiele mogło się zmienić. Nieco uspokojona postąpiła krok naprzód.

Młody stangret otworzył drzwi. Emilia rozejrzała się po placu. Nigdzie nie dostrzegła swojej służącej.

– A gdzie Marcysia?

Stangret popatrzył na nią niepewnie. Przypominał jej uczniaka przyłapanego przez profesora na złym uczynku.

– Nie wiem, proszę pani.

Słowa te rozeźliły Emilię.

– Zatem poszukaj jej – powiedziała twardo.

– Ależ... – próbował protestować.

Uciszyła go zdecydowanym gestem.

– Nie myślisz chyba, że zostawię ją tutaj samą.

– Przecież trafi.

Emilia zastanawiała się przez kilka chwil.

W słowach stangreta było wiele racji.

Służąca zagubiła się z własnej winy. Powinna czekać tutaj, bez względu na to, czy znalazła Michała, czy nie.

Chodzi nie wiadomo, gdzie i po co. Była zła na Marcysię.

Na pewno trafi. Przecież zna dobrze Kraków. W domu powiem jej, co o tym myślę.

Skinęła na stangreta. Postawiła na pierwszym schodku stopę obutą w pantofelki prosto z Paryża. Nabyła je w modnym warszawskim salonie.

Stangret podał jej dłoń i pomógł wsiąść. Chwilę później zajął się bagażami.

Trzasnął bat i ruszyli.

Nie odjechali daleko – zaledwie kilkanaście metrów. Na wysokości poczty kareta się zatrzymała. Emilia nie zdążyła nawet zadać pytania, co się dzieje, kiedy otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie.

Mężczyzna o zimnych oczach usiadł obok zaskoczonej Emilii. Długo wpatrywała się w jego twarz. Był to ten sam człowiek, który na dworcowym peronie wpatrywał się w nią z ciekawością.

– Co pan tu robi? Kim pan jest? – spytała szybko.

– Będę pani towarzyszył w podróży – odparł krótko.

Nic z tego nie rozumiała. Złość wzięła górę nad zaskoczeniem.

Jak stangret mógł do tego dopuścić?

– To jakieś nieporozumienie – powiedziała gniewnie.

Chciała zawołać służącego, ale uświadomiła sobie, że przecież nie zna nawet jego imienia.

Od samego początku górę wzięły emocje związane z powrotem do ukochanego Krakowa. Najpierw, zupełnie niepotrzebnie, pozwoliła oddalić się Marcysi, potem zapomniała spytać stangreta o imię.

Dwa błędy w krótkim czasie.

Mężczyzna wpatrywał się w nią z uśmiechem. Położył palec na ustach. W momencie, kiedy kareta ruszyła, pochylił się w stronę Emilii.

Emilia otworzyła usta do krzyku.

Mężczyzna jedną ręką chwycił ją mocno za ramię, drugą przyłożył chusteczkę do jej nosa i ust.

Poczula słodkomdłący zapach i jeszcze przez chwilę walczyła o oddech. Pociemniało jej w oczach. Straciła przytomność.

Włosy

27 września 1904 r. – wtorek

Po wczesnym śniadaniu, które zjadł przed siódmą, Witold przeglądał zaległą prasę. Do gabinetu, jak to było w jej zwyczaju, bez pukania weszła Jadwiga.

Oderwał wzrok od artykułu.

– Paczka do pana – oznajmiła gosposia i podeszła bliżej.

– Paczka? – powtórzył.

– Właściwie paczuszka. – Podała mu mały, niepozorny przedmiot opakowany niebieskim papierem, przewiązany wstążką w tym samym kolorze.

– Waży tyle, co piórko – dodała.

Zzerała ją ciekawość, co kryje pudełeczko.

Witold nie spieszył się z otwarciem.

– Kto przyniósł?

– Ekspres. Zostawił i do razu sobie poszedł.

Sama była zdziwiona jego zachowaniem. Na pewno był opłacony przez nadawcę, ale na ogół ekspresi czekali z nadzieją, że i od adresata do ich kieszeni trafi moneta lub nawet przyjemnie szeleszczący banknot. Mężczyzna musiał dostać wyraźne wskazówki. Zniknął szybko, zanim Jadwiga zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Witold wolno przeniósł wzrok na Jadwigę, która nie ruszała się z miejsca. Posłał gosposi chmurne spojrzenie.

– Dziękuję Jadwidze – powiedział, nie siląc się na uprzejmość.

Odetchnął, kiedy w końcu opuściła gabinet.



Zamyślony patrzył na paczuszkę. Wziął ją delikatnie do rąk. Odwiązał wstążkę, przyjrzał się papierowi, odwinął. W środku było białe pudełeczko przypominające to, w które pakowano chusteczki u Krzyżanowskiego. Obejrzał przedmiot ze wszystkich stron. Żadnego słowa, żadnego adresu. Był coraz bardziej zaintrygowany.

Otworzył wieczko. W środku, na białym papierze leżało pasemko czarnych włosów. Nawinał pukiel na palce. Zastanawiał się, co to może oznaczać.

Głupi żart?, pomyślał najpierw. Lecz nie znał nikogo, kto mógłby zabawiać się w ten sposób.

Więc? Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Witoldowi nie przychodziło do głowy żadne sensowne wyjaśnienie.

Zapalił cygaro.

Kiedy wstał, aby otworzyć okno i wpuścić do pokoju trochę świeżego powietrza, zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, panie Witoldzie – rozpoznał głos Wereszyńskiego. – Unika mnie pan...

W tym, co powiedział, było trochę racji. Witold przezornie milczał.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki prowadzi pan śledztwo – ciągnął Wereszyński niezrażony.

– To niełatwe zdanie – przemówił w końcu Korczyński.

– Dlatego właśnie zwróciłem się o pomoc do pana, a nie do kogoś innego.

Cisza.

– Zastanawiam się, co pan robił w Wiedniu.

Witold drgnął. Był przekonany, że zgubił mężczyznę, który przez ostatnie kilka dni chodził za nim krok w krok.

Skąd wie o moim wyjeździe? Gorączkowo szukał odpowiedzi.

Jadwiga?

Szybko odrzucił te podejrzenia. Wiadomość nie mogła wyjść od niej. Nie powiedział jej przecież, dokąd jedzie.

Więc kto?

Postanowił grać na zwłokę.

– Musiałem sprawdzić pewien trop.

Wereszyński zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Wiem, że pojechał pan tam z Fletcherem i spotkał się z niejakim Brownem. To chyba nie z nimi uciekła moja żona – zakpił.

Na kilka chwil zapadła cisza.

– Otrzymał pan przesyłkę? – spytał Wereszyński, zmieniając raptownie temat.

Witold był coraz bardziej zaniepokojony.

– Tak, ale...

– Chce pan zapewne powiedzieć, że nic nie rozumie... – Wereszyński zawiesił głos.

Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, ciągnął: – Pani Hornowska jest cała i zdrowa, gdyby to pana oczywiście interesowało.

Witold mocniej zacisnął dłoń na słuchawce.

– To na wypadek gdyby przyszła panu do głowy jakaś dziwna myśl.

– Na przykład?

– Gdyby chciał pan wycofać się ze zlecenia...

Witold znów milczał.

– Muszę mieć gwarancję. Zwłaszcza w związku z pana działaniami w Wiedniu.

Przemysłowiec znów się zaśmiał.

– Mam nadzieję, że się rozumiemy?

Aż za dobrze.

– Zapewniam pana, że dotąd jeszcze włos jej z głowy nie spadł. Nie licząc oczywiście tych kilku pasemek, które panu przesałem. Jednakże Emilia pozostanie moim gościem, póki pan nie wywiąże się ze swego zadania...

– Chciałbym ją zobaczyć – przerwał mu Witold.

Teraz zamilkł Wereszyński. Długo rozważał odpowiedź.

– Dobrze. Punktualnie o piątej przyjedzie po pana Leopold.

Połączenie zostało przerwane.

Witold odłożył słuchawkę na widełki. Z trudem panował nad nerwami.

Po chwili, dając upust emocjom rzucił wszystko, co znajdowało się na biurku.

Jadwiga, pełna najgorszych przeczuć, wpadła do pokoju zaalarmowana odgłosami.

Spojrzała na porozbijane filiżanki i dzbanek, na czerwoną plamę szybko wsiąkającego w dywan atramentu.

– Mój Boże, co się stało, panie Witoldzie?

Witold stał przy oknie i patrzył na ubrane w jesienne barwy drzewa. Odwrócił się powoli.

Jadwiga dostrzegła w jego oczach ten dziwny błysk, który zawsze budził jej niepokój.

Poczuła, jak przechodzą ją ciarki.

– Panie Witoldzie...

– Proszę tu posprzątać.

– Ale...

Ominął Jadwigę i zanim zdążyła zareagować, wyszedł.

Nie mógł zostać. Bezczytność była dla niego zbyt ciężkim wyzwaniem. Nie był już tak cierpliwy jak dawniej.



Punktualnie o piątej przed domem na św. Sebastiana zatrzymała się karetka. Leopold nie był sam. Towarzyszył mu wysoki mężczyzna o lisiej twarzy i rozbieganych oczach. Mężczyzna nie był delikatny. Chwycił Witolda mocno za ramię i poprowadził do czarnej karety, która czekała na nich przed domem. Kiedy wsiedli, przewiązał mu oczy opaską.

Początkowo Witold próbował liczyć zakręty, ale pomylił się po kilku minutach. Słuchał odgłosów ulicy, doszukując się w nich charakterystycznych brzmień.

„Noże, noże!”, zachęcał do skorzystania z usług cienki, chłopięcy głosik.

Gdzieś obok zabrzmiał dzwonek ruszającego tramwaju. Witold odtwarzał w myślach jego trasę. Skręcili w prawo. Zabrzmiała syrena fabryczna.

Przez jakiś czas jechali wzdłuż torów kolejowych. Słyszał gwizd parowozu.

Karetka zwolniła. Pięć minut później odgłosy miasta zanikły.

Kiedy przekroczyli granice Krakowa, Witold całkowicie stracił rozeznanie. Ukołysany jednostajnym stukotem kopyt, zapadł w drzemkę.

Mocne szarpnięcie przywróciło go do rzeczywistości.

– Wsiadaj!

Witold nawet nie drgnął. Nic nie widział – opaska mocno uciskała jego skroń.

– Nie zdejmie mi pan tego? – spytał ze złością.

– Nie bądź pan taki cwany... – Mężczyzna chwycił Witolda za ramię i pomógł mu wsiąść.

Wokół pachniało wilgotną ziemią. Padał deszcz. Witold czuł na twarzy zimne krople.

– Ruszaj!

Niepewnie postąpił krok naprzód i poślizgnął się na trawie. Z trudem utrzymał równowagę.

– Uważaj, schody.

Zatrzeszczały pod nogami drewniane deski. Zaskrzypiały drzwi.

Znaleźli się w ciepłym pomieszczeniu. Dopiero teraz mężczyzna zdjął Witoldowi opaskę. Ten zamrugał oczami, chcąc odgonić czarne plamki, które przysłaniały mu widok. Powoli wracała ostrość widzenia.

Mężczyzna o lisiej twarzy zniknął, teraz przed Witoldem stał lokaj o gładko zaczesanych włosach.

– Pan pozwoli za mną – powiedział grzecznym tonem.



Emilia siedziała na fotelu ustawionym obok kominka. Spała. Na stoliku leżała otwarta książka. Być może Emilię zmorzyła lektura lub padający za oknem deszcz.

Witold przez dłuższą chwilę patrzył na śpiącą i nie mógł się zdecydować, czy podejść bliżej. Zerknął na grubą kobietę, która stała za nim i obserwowała każdy jego ruch.

Postąpił krok naprzód.

Emilia się nie poruszyła.

– Emilio...

Zamrugnęła powiekami i wolno otworzyła oczy. Spojrzała na Witolda niepewnie. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że go nie poznała.

– Jak się pani czuje?

– Dobrze – odpowiedziała cicho, słabym głosem.

Nie podobał mu się wyraz jej twarzy. Miała smutne, przygaszone oczy – bez tak charakterystycznej dla niej iskry.

Emilia wyprostowała się.

– Przepraszam, że tak pana przywitałam, ale ostatnio wciąż jestem senna.

Na potwierdzenie tych słów ziewnęła, w ostatniej chwili zasłaniając usta dłonią.

– Napije się pan czegoś? – spytała lekko, jakby to było spotkanie towarzyskie.

– Dziękuję.

– „Dziękuję, tak” czy „dziękuję, nie”?

– Poproszę herbatę.

Emilia spojrzała znacząco na grubą kobietę przysłuchującą się ich rozmowie.

– Pani Mario, czy poda nam pani herbatę?

Zapytana nawet nie drgnęła.

Emilia patrzyła na nią z wyczekiwaniem.

– Dobrze, w takim razie sama zwołam pokojówkę...

Wstała gwałtownie, zbyt szybko. Zakręciło jej się w głowie. Straciła równowagę.

Witold podtrzymał ją i pomógł jej z powrotem usiąść.

Był coraz bardziej zaniepokojony. Spojrzał na Marię.

– Chciałbym porozmawiać z panem Wereszyńskim – rzucił gniewnie.

– Nie wiem, gdzie jest – usłyszał w odpowiedzi.

Witold nie namyślał się dłużej. Zdecydowanym krokiem podszedł do niej. Kobieta cofnęła się wystraszona, aż plecami dotknęła ściany. Korczyński chwycił ją mocno za nadgarstki i przyciągnął do siebie. Syknęła z bólu.

– To niech pani go natychmiast poszuka – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Położył dłonie na jej ramionach i poprowadził do wyjścia. Otworzył drzwi. Wypchnął Marię na korytarz.

Nie odezwała się ani słowem.

Witold i Emilia zostali sami.

Wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu, bo za moment kobieta wróci – tym razem nie sama. Potrzebował kilku chwil, aby spokojnie porozmawiać z Emilią. To, co bowiem z pozoru wydawało się niekontrolowanym wybuchem złości, było w pełni przemyślanym posunięciem.

Przysunął fotel. Usiadł naprzeciw Emilii i ujął jej dłonie w swoje.

– Pani Emilio – rzekł wolno i wyraźnie. – Wie pani, kim jestem?

Pokręciła przecząco głową. Tego się obawiał. Zaciśnął jej dłonie mocno, aż syknęła.

– Proszę patrzeć mi prosto w oczy.

Posłuchała.

– Pani Emilio, czy pani wie, co to za miejsce?

– Nie...

Pomógł jej wstać i podtrzymując, zaprowadził do okna. Otworzył je szeroko. Chciał, żeby Emilia chociaż na moment się skupiła.

Świeże powietrze ją orzeźwiło. W oczach pojawiły się żywsze iskierki.

– Panie Witoldzie... – szepnęła. Nie umiała już dłużej panować nad emocjami. Zapłakała.

Wtuliła się w niego. Mężczyzna gładził ją po włosach, pocieszał kojącym głosem. Nie wiedział, jak długo to trwało. Emilia powoli uspokoiła się. W końcu westchnęła z ulgą i przestała

drżeć.

Ktoś wszedł do pokoju.

– Pan Wereszyński czeka – zabrzmiał ponury głos Reintera.

Witold pocałował Emilię w policzek.

– Wyciągnę panią stąd – szepnął jej do ucha.



Następnego dnia Witold wstał bardzo wcześnie. Na zewnątrz było jeszcze ciemno. Przez w połowie zsunięte zasłony wpadała do pokoju poświata księżyca.

Sięgnął po zapalniczkę i zapalił lampę. Przeszedł do gabinetu, usiadł w fotelu i długo zastanawiał się, co robić dalej. Próbował ułożyć wszystko w myślach, stworzyć jakiś plan działania. Nic. Miał pustkę w głowie. Żadnego pomysłu.

Wciąż brzmiały mu w głowie słowa, które poprzedniego dnia wypowiedział Wereszyński. „Ma pan czas do niedzieli”.

Obezwładniała go myśl, że od niego zależy życie Emilii.

Rozmyślał zmartwiony.

Gdzie mogła ukryć się Anna Wereszyńska? Czy opuściła już Kraków? Kto jej pomógł? Bo nie miał żadnych wątpliwości, że ktoś ją wspierał. Nie działałaby na własną rękę w męskim świecie, w którym kobiecie przypisana była rola wiernej żony i matki.

I dlaczego zostawiła męża? Co nią kierowało?

Czy wbrew temu, co mówił Wereszyński, wydarzyło się coś szczególnego, co spowodowało jej decyzję?

Nie wiedział, jak wygląda. Znał ją tylko z opisu innych osób. W ich relacjach powtarzało się określenie „ładna kobieta”. Przypuszczał, że potrafiła wykorzystać swój urok dla własnych celów.

Anno, jakie skrywasz tajemnice?, spytał bezgłośnie. Patrzył w lustro, jakby tam chciał znaleźć odpowiedź.

Przypomniał sobie inną Annę, aktorkę. Przed kilkoma laty nie potrafił ochronić tamtej kobiety. Zginęła przypadkowo wplątana w śledztwo, jakie wówczas prowadził. Do końca zagubiona i niepewna, czego tak naprawdę chce od życia.

Ponure myśli nękały go coraz bardziej. Próbował je odegnąć.

Nie miał żadnego pomysłu na dalsze poszukiwania, dlatego postanowił wrócić tam, gdzie trop się urywał. W miejsce, gdzie widziano Wereszyńską po raz ostatni.

Odkrycie

28 września 1904 r. – środa

Po ostatniej rozmowie z Witoldem Henryk długo nie mógł zasnąć. Uparcie powracała myśl, że sprawa, której podjął się Korczyński, jest jedną z tych trudniejszych. Poszukiwania zaprowadziły go w ślepy zaułek, a on sam zagubił się w tym wszystkim.

Starszy pan miał żal do przyjaciela, że ten nie do końca był wobec niego szczery. Henryk o śledztwie wiedział tylko jedno – ważną rolę odgrywał w nim Stanisław Wereszyński.

Pomimo wszystkich wątpliwości Henryk nadal chciał pomóc Witoldowi.

Przy śniadaniu wpadła mu do głowy pewna myśl. Już wiedział, co robić. Jak to zwykle bywa, nie wszystko przebiegło zgodnie z przewidywaniami. Realizacja planu zajęła mu kilka dni.



Dzień był przyjemny i słoneczny. Pogoda zachęcała do spacerów, więc krakowianie licznie wylegli na alejki Plant.

Lekko spóźniony na spotkanie z Romanem Michałowskim, kuratorem Zakładu św. Józefa, Henryk przemknął przez rynek, odpowiadając grzecznym ukłonem na pozdrowienia znajomych.

Panowie byli umówieni u Sauera, w ulubionym lokalu Winiarskiego.

Hrabia – szczupły, elegancki mężczyzna z siwą bródką – przybył na miejsce przed czasem. Kiedy patrzył na zbliżającego się Henryka, znów zadał sobie pytanie, jaką to ważną sprawę ma do niego starszy pan, z którym poza zebraniem Towarzystwa widywał się rzadko.

Henryk wyglądał na zafrasowanego.

– Zaintrygował mnie pan – zaczął hrabia. Nie miał zbyt dużo czasu, dlatego postanowił od razu przejść do sedna.

Winiarski uśmiechnął się.

– Pamięta pan naszą ostatnią rozmowę?

Hrabia skinął głową.

– Tak, rozmawialiśmy o zakładzie i jego dobrodziejach.

Nie widział w tym nic szczególnego. Wiele osób o to pytało. Niektórzy z nich, zachęceni przez hrabiego, wspomagali zakład drobnymi datkami. Hrabia nie sądził, aby Henryk chciał zrobić to samo.

– Zgadza się. Wspomniał pan wówczas o Stanisławie Wereszyńskim...

Hrabia znów skinął głową.

– Czy mógłby pan powiedzieć o nim coś więcej? – poprosił Henryk z nieśmiałością, która do niego nie pasowała.

Michałowski długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Widzę, że bardzo on pana interesuje.

– Tak.

Hrabia milczał przez kilka sekund.

– Co mogę panu o nim powiedzieć? To dobry człowiek. W każdym razie tak mogę go ocenić, wiedząc o tym, co zrobił dla chłopców. Chociaż przyznam, że...

Henryk słuchał uważnie.

Pół godziny później opuszczał restaurację Sauera przekonany, że opisane przez hrabiego wydarzenia będą dla Witolda ważne, nawet bardzo ważne. Dlatego też bez wahania skierował

kroki na św. Sebastiana.

Drzwi otworzyła Jadwiga. Spojrzała na niego ponuro. Henryk nie zdążył jeszcze wejść, kiedy oznajmiła, że Witolda nie ma w domu. Wyszedł zaraz po śniadaniu. Oczywiście nie powiedział, dokąd idzie i po co. Przypuszczała, że szybko nie wróci.

Henryk się zasępił.

Jadwiga dopiero teraz zauważyła, że starszy pan jest zdenerwowany. Próbowала dowiedzieć się, co spowodowało go w odwiedziny. Henryk nie chciał z nią o tym rozmawiać.

Zaprosiła go na herbatę i ciasteczka. Na św. Sebastiana Henryk spędził czas do dziewiątej. Wrócił do domu w ponurym nastroju. Kiedy szedł Plantami, zaczęło padać.



Witold cały dzień krążył po rynku. Jego wysiłki były daremne. Nikt nie potrafił mu pomóc. Utknął w miejscu.

Po szybkim obiedzie, który zjadł w resursie, udał się na Biskupią.



Siedział z Eignerem przy kominku, w przyjemnym ciepłe bijącym od paleniska. Za oknem wiatr trząsał gałęziami drzew. O szybę uderzały krople deszczu. Witold prawie nic nie mówił. Patrzył na gospodarza obojętnie i trudno było odgadnąć, o czym myśli. Fiaker wyczuwał jednak, że w ostatnich dniach wydarzyło się coś, co wytrąciło Witolda z równowagi i zachwiało jego pewnością siebie. Przyjaciel wyglądał na zagubionego.

Rozmawiali o drobnych sprawach. Czasami tylko Eigner rzucał jakieś pytanie, z pozoru niezwiązane ze śledztwem. Krok po kroku odkrywał nowe elementy zagadki. W końcu Witold zamilkł.

Eigner długo czekał na jakieś wyjaśnienia. Odniósł wrażenie, że Witold chce mu powiedzieć coś bardzo ważnego, ale jeszcze się waha.

– Powiesz mi w końcu, co się dzieje, czy dalej będziemy się bawić w sekrety? – rzucił Eigner, zniecierpliwiony przedłużającą się ciszą.

Witold utkwiał wzrok w jasnych płomieniach ogniska. Przetarł oczy dłonią, jakby w ten sposób chciał odegnać powracający koszmar.

Chwilę później zaczął mówić. Cichym, monotonnym głosem wyrzucał z siebie wszystko, co siedziało w nim od kilku dni.

Powiedział o okolicznościach, w jakich poznał Wereszyńskiego, o jego żonie, o swoich kłopotach z pieniędzmi, w końcu – o Emilii.

Eigner ani razu mu nie przerwał. Nie zadał żadnego pytania. Czasami, na znak zrozumienia kiwał głową – część tej historii znał. Zwłaszcza tę, która dotyczyła słabości do pokera.

– Emilia – powtórzył ciepło imię Hornowskiej. Podobnie jak Witold, myślał o niej z sympatią. – Jak chcesz to rozegrać?

Witold wykonał ruch dłonią, który mógł oznaczać wszystko.

– Muszę odnaleźć Wereszyńską. To jedyny sposób, aby Emilia wróciła do domu – powiedział bez przekonania.

Eigner zasępił się.

– Ale nie masz żadnego pomysłu...

Witold uśmiechnął się smutno.

– Wszystko, co do tej pory zrobiłem, zaprowadziło mnie w ślepy zaułek.



Jadwiga czekała na Witolda do późnych godzin.

Siedziała u siebie, w wypieszczonym przez nią pokoiku, i cerowała starą spódnicę, z którą nie mogła się rozstać. Co parę minut zerkała w okno, wciąż mając nadzieję, że za chwilę dostrzeże Witolda.

Przed północą była już zmęczona.

Wypiła kubek zimnej wody, ale i to nie pomogło. Oczy jej się kleiły, z trudem opanowała ziewnięcie. Nie zauważyła, kiedy zmorzył ją sen.

Zegar wskazywał dwadzieścia minut po północy, kiedy Witold stanął w drzwiach mieszkania. Próbował w ciemności trafić kluczem do zamka, ale ku jego zdziwieniu drzwi same się otworzyły.

Zaskoczony patrzył na Jadwigę.

– Nareszcie pan wrócił – rzuciła, oświetlając lampą jego twarz.

Oślepiony zasłonił oczy dłonią.

– Co Jadwiga wyprawia? – Ominął gospozię i przeszedł do salonu.

Jadwiga podreptała za nim. W milczeniu patrzyła, jak zdejmuje przemoczoną marynarkę i rozpina kołnierzyk.

Pod jej czujnym wzrokiem podszedł do barku i nalał wódki do kryształowej szklaneczki. Ze szklaneczką w dłoni usiadł w fotelu.

Dopiero teraz spojrzął na Jadwigę, która stała w drzwiach jak zamurowana.

– Dlaczego Jadwiga nie śpi?

Napił się wódki.

– Wieczorem był tu pan Henryk, ale pan jak zwykle gdzieś zniknął. Gdybym chociaż wiedziała gdzie...

– Mówił, o co chodzi?

– Nie, ale... – Zamilkła.

Była rozdarta. Henryk nie chciał nic powiedzieć – miał tylko prośbę, która zarówno wtedy, jak i teraz wydawała jej się dziwna.

Witold dostrzegł rozterkę na twarzy kobiety.

– Pan Henryk prosił, aby pan go odwiedził bez względu na porę – zacytowała go dokładnie.

Witold spojrzął na zegar.

– Rano...

Był zmęczony, nie miał już ochoty nigdzie wychodzić.

– Nie, panie Witoldzie.

Witold spojrzął na nią uważnie, zaskoczony kategorycznym tonem.

– Pan Henryk był taki... – Szukała odpowiedniego słowa. – Taki jakiś, jak nie on...

Witold odstawił szklaneczkę. Powoli udzielał mu się jej niepokój.

– Co Jadwiga ma na myśli?

– Wyglądał na zdenerwowanego...

Witold raz jeszcze rzucił okiem na zegar. Było dokładnie wpół do pierwszej.



Dozorca nie rozpoznał w ciemności stojącego przed bramą Witolda. Otworzył bramę

dopiero wtedy, kiedy ten się odezwał. Korczyński należał do tych niewielu osób, które bez wahania płaciły szperę. Tak było i teraz – wsunął banknot w dłoń dozorca. Ten uklonił się w pas.

– Pan Henryk u siebie? – spytał Witold już prawie na schodach.

Dozorca spojrzął na niego zdziwiony.

Gdzież mógłby być o tej porze?, pomyślał.

Witold nie czekał na odpowiedź. Wszedł szybko na pierwsze piętro. Na górze pojawiły się wątpliwości.

– Niepotrzebnie dałem się ponieść emocjom – mruknął. Wyrzucał sobie, że posłuchał Jadwigi.

Była noc. Henryk zazwyczaj chodził spać przed dziesiątą. Witold nie sądził, aby starszy pan czekał na niego tak długo. Chorował na serce. Wizyta o tej porze mogła go niepotrzebnie zdenerwować.

Witold stał przed drzwiami i nie mógł się zdecydować, jak ma w tej sytuacji postąpić. *Skoro już tu jestem...*

Zapukał, ale odpowiedziała mu cisza. Nacisnął klamkę. Ustąpiła. To go zaniepokoiło. Henryk był człowiekiem ostrożnym. Nigdy nie zostawiał otwartych drzwi, nawet w ciągu dnia.

Witold wszedł do mieszkania.

– Henryku! – rzucił w ciemność.

Odpowiedziała mu cisza. Postąpił krok naprzód.

W mieszkaniu było zimno. Przez szeroko otwarte okno wpadał do salonu chłodny wiatr, przynosząc ze sobą zapach jesieni, drobne liście i pył z kominów.

Firanka w oknie uniosła się lekko.

Witold zapalił zapałkę. Szybko zgasła dotknięta podmuchem wiatru. Po ciemku odnalazł drogę do sypialni.

Uchylił drzwi.

W słabym świetle ustawionej na nocnym stoliku lampy dostrzegł przykrytą grubym pledem sylwetkę Henryka.

Witold podszedł bliżej, aby zgasić lampę. Nie zrobił tego, bo w połowie ruchu zamarł, dostrzegając na podłodze ciemną plamę.

Tknięty obawą, odrzucił pled. Cofnął się i jak skamieniały patrzył na zastygłą w przerażeniu twarz Henryka. Z podciętego gardła wciąż płynęła wąska strużka krwi. To oznaczało, że zmarł niedawno – kilka, może kilkanaście minut wcześniej.

Witold oparł się o ścianę i bezradnie zacisnął pięści. Przymknął oczy. Kilka razy głęboko odetchnął. Czuł się bezsilny. Stał odrętwiały i nie mógł wykonać żadnego ruchu, choć wiedział, że musi opuścić to miejsce. Jego ciało nie chciało słuchać.

Trzasnęło okno. Witold drgnął.

Mocno uderzył pięścią w ścianę, raniąc kostki dłoni, której nie zdążył jeszcze wyleczyć.

Ból przywrócił mu jasność myślenia.

Odetchnął głęboko, powstrzymując emocje, które nim targały. Zmusił się, aby jeszcze raz podejść do Henryka. Zamknął mu oczy i przykrył ciało pledem.

– Niepotrzebnie wplątałem cię w tę sprawę, przyjacielu – szepnął.

Podkręcił knot lampy. Spokojnie obejrzał sypialnię, a potem całe mieszkanie. Sam nie wiedział, czego tak naprawdę szuka. Robił to kierowany jakimś wewnętrznym przecuciem – głosem, który podpowiadał mu, że Henryk zginął z określonego powodu. Witold przypuszczał, że w swoich dociekaniach starszy pan posunął się o krok za daleko. Usłyszał coś, o czym nie powinien wiedzieć.

Witold dobrze znał Henryka. Kiedy starszy pan poszukiwał określonych informacji,

zawsze robił notatki. Tak było zapewne i tym razem. Mieszkanie wyglądało na nieprzeszukane. Brak śladów walki sugerował, że ten, kto przyszedł tu przed Witoldem, obiecał gospodarzowi, że nie zrobi mu nic złego, jeśli otrzyma to, czego chce.

Korczyński przejrzał szuflady w sekretarzyku, ale nie znalazł niczego szczególnego. Przeszedł do małego salonu. Tutaj, na ustawionym przy piecu stoliku, dostrzegł kalendarz Czecha. Bezwiednie ujął go w dłoń i sprawdził jak wszystkie książki na półce – szukając pojedynczych, luźnych kartek. Znów nic.

Myśl, że coś przeoczył, nie dawała mu spokoju. Jeszcze raz objął wzrokiem pomieszczenie. Znów spojrzął na kalendarz. Przypomniał sobie, że Henryk skrupulatnie zapisywał każde spotkanie. Otworzył kalendarz na wczorajszej dacie.

– Roman Michałowski – odczytał.

Nie namyślając się dłużej, wyrwał kartkę, złożył ją na pół i wsunął do kieszeni. Kalendarz położył na półce między książkami.

Dziesięć minut później opuścił mieszkanie. Domyślał się, że dozorca, którego ponownie obudził, dobrze go zapamięta.



Witold nie pomylił się w swoich przypuszczeniach.

Nie minęło nawet pół godziny, kiedy do drzwi zapukał inspektor Kurz.

Wystraszona Jadwiga patrzyła na mężczyznę niepewnym wzrokiem. Z każdą chwilą była coraz bardziej zaniepokojona. Zaczęło się od powrotu Witolda, który szybkim, zdecydowanym krokiem poszedł bez słowa na górę. Z jego miny i zachowania wywnioskowała, że stało się coś złego. Potem niespodziewanie zjawił się Kurz.

Inspektor spojrzął twardo na Witolda. Poczekał, aż Jadwiga zostawi ich samych, i rzucił gniewnie:

– Był pan tam.

Witold nie zaprzeczył.

– Dlaczego pan na mnie nie czekał? – spytał Kurz.

– Co by to zmieniło, inspektorze? – Witold uśmiechnął się ponuro.

Kurz stanął przed nim.

– Co pan wie o śmierci Henryka Winiarskiego?

Odpowiedź padła natychmiast.

– Nic.

Kurz w zamyśleniu potarł czoło.

– Czy jego śmierć wiąże się w jakiś sposób z prowadzoną przez pana sprawą, o której z niezrozumiałych dla mnie powodów nie chce mi pan nic powiedzieć?

I znów cisza.

– Dlaczego nie chce mi pan ułatwić zadania?

Witold milczał uparcie.

– Decyzja należy do pana – mruknął Kurz.

Witold nigdy nie przestawał go zaskakiwać.

– W co pan się wplątał?

Odczekał chwilę.

– Więc? – Głos inspektora był nieprzyjemny.

Witold w końcu przemówił.

– Zapewniam pana, że nie robię nic, co byłoby niezgodne z prawem.

Kurz zniecierpliwiony machnął dłonią.

– Konkrety, panie Witoldzie. Interesują mnie konkrety.

Witold jeszcze przez chwilę analizował sytuację, w jakiej się znalazł.

– Chciałbym zaproponować panu pewien układ... – zaczął ostrożnie.

Inspektor popatrzył na niego z uwagą. Dał znak, aby Witold mówił dalej.

– Pozwoli mi pan poprowadzić śledztwo do końca na moich zasadach...

– Co otrzymam w zamian? – inspektor wszedł mu w słowo.

Witold rozumiał, że transakcja musiała być korzystna dla obu stron. Gorączkowo zastanawiał się, co może zaoferować inspektorowi.

Dotąd Kurz stał z boku, nie interesując się zbytnio prowadzoną przez Witolda sprawą. Kiedy doszło do morderstwa, nie mógł dłużej przemykać oczu.

– A gdybym powiedział, kim jest ten chłopak, którego ciało znaleźliście parę dni temu nad Wisłą? – spytał Witold.

Kurz skinął głową prawie niezauważalnie. To już było coś. Posunęli się o mały krok do przodu.

– Proszę mówić dalej.

Witold usiadł w fotelu. Inspektor poszedł w jego ślady.

Gospodarz w paru zdaniach podzielił się swoją wiedzą.

– To wszystko?

Na razie musi panu wystarczyć, pomyślał Witold.

– Nie wydaje się panu, że to i tak dużo? – zauważył, powoli odzyskując pewność siebie. – Zwłaszcza że dotąd nie udało się panu nic ustalić.

Kurz w duchu przyznał mu rację. Wstał.

– Obieca mi pan jedno... – Zawiesił głos.

Witold popatrzył na inspektora z wyczekiwaniem.

– Nie będzie pan szukał sprawiedliwości na własną rękę. Mordercę Henryka zajmę się sam.

Układ był uczciwy.

Inspektor wstał. Panowie uścisnęli sobie dłonie.

Przy drzwiach się zatrzymał.

– Oczywiście nic pan nie wie o kartce wyrwanej z kalendarza? – spytał ze zrezygnowaniem.

Witold uśmiechnął się tylko.



Jadwiga, której dotąd nie powiedział o śmierci Henryka, siedziała w kuchni zasępiona.

Witold zajrzał do niej rano, przed siódmą. Zerknął na zgarbioną sylwetkę.

Jak mam jej to powiedzieć?

Cofnął się do salonu.

Jadwiga spostrzegła go. Podniosła się, usiadła, znów wstała.

– Co się dzieje, panie Witoldzie? – spytała nieśmiało, z wyczuwalnym lękiem w głosie. – Niech pan mi powie, co się stało? Pan wczoraj wrócił od Henryka taki przybity. I potem te odwiedziny inspektora...

– Niech Jadwiga usiądzie. – Po raz pierwszy tego dnia spojrzął jej prosto w oczy.

Jadwiga przeczuwała najgorsze. Mocno zacisnęła usta.

Witold odczekał jeszcze chwilę, a potem powiedział niemal beznamiętnie:

– Henryk nie żyje.

Jadwiga zasłoniła usta dłonią, poderwała się z krzesła i pobiegła do swojego pokoju.

Trzasnęły drzwi.

Witold długo siedział przy stole w samotności.

O dziesiątej wyszedł z domu.

Hrabia Michałowski

29 września 1904 r. – czwartek po południu

Witold nie miał pewności, czy hrabia Michałowski zechce z nim rozmawiać. Lokaj, który otworzył drzwi i odebrał wizytówkę, patrzył na Witolda z zainteresowaniem, ale i pewnym zdziwieniem.

– Witold Korczyński – odczytał wolno. – Nie wiem, czy...

Witold ubiegł jego słowa i dopisał coś na wizytówce.

– Proszę to przekazać hrabiemu.

Lokaj uśmiechnął się pod wąsem i wolnym krokiem ruszył do gabinetu, gdzie o tej porze hrabia czytał codzienną prasę. Michałowski nie lubił, kiedy ktokolwiek przeszkadzał mu w tym zajęciu. Znajomi wiedzieli o tym i nigdy nie zakłócali mu spokoju. Obcy, tacy jak Witold, na ogół odchodzili z kwitkiem.

Lokaj wrócił pięć minut później. Był lekko zdziwiony. Nie mógł pojąć, dlaczego hrabia odstąpił od swoich przyzwyczajień.

– Hrabia przyjdzie za moment. Proszę poczekać... – Wskazał krzesło.

Witold nie skorzystał.

Dokładnie po trzech minutach pojawił się hrabia. W prawej dłoni trzymał wizytówkę. Nazwisko nic mu nie mówiło. Być może kazałby lokajowi pozbyć się nieproszonego gościa, gdyby nie te kilka tajemniczych słów.

„Chciałbym porozmawiać o pana spotkaniu z Henrykiem Winiarskim”, przeczytał.

Patrzył na Witolda z nieskrywanym zainteresowaniem. Nie mógł nic odczytać z wyrazu jego twarzy. Pozostała nieprzenikniona, ale z ubioru i pewnej elegancji w ruchach wywnioskował, że ma do czynienia z człowiekiem nieprzeciętnym – z kimś, komu warto poświęcić trochę czasu.

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym rozmawiać z panem o tamtym spotkaniu. Zwłaszcza że Henryk prosił mnie o dyskrecję. Dałem mu słowo – przedstawiał swoje wątpliwości.

Teraz ruch należał do Witolda. Od tego, co powie, zależało dalsze postępowanie gospodarza. Wyczuł, że Michałowski ponad wszystko ceni sobie szczerłość, dlatego opowiedział o swojej znajomości z Henrykiem.

– Przyjaciel? To wielkie słowo, panie Witoldzie, i mam nadzieję, że pan go nie nadużywa.

– Zapewniam pana, że nie. Henryk jest... – Witold zamilkł. – Był moim przyjacielem.

Hrabia popatrzył na niego z jeszcze większą uwagą.

– Był?

Witold wytrzymał jego spojrzenie.

– Henryk nie żyje. Został zamordowany – powiedział zimnym tonem.

W oczach hrabiego pojawiło się niedowierzanie, chwilę potem zdziwienie, wreszcie – przerażenie. Wiadomość poważnie go dotknęła, co zdarzało się rzadko.

– Mój Boże... – wyszeptał.

Po chwili wskazał Witoldowi korytarz.

– Zapraszam...



Hrabia nie zaprowadził Witolda do gabinetu, lecz do biblioteki. Być może uznał, że to

najlepsze miejsce do prowadzenia takich rozmów. W ciszy, z dala od domowników.

Z bocznych lamp sączyło się łagodne światło.

Hrabia poczęstował Witolda cygarem.

– Tak, rzeczywiście spotkałem się wczoraj z panem Henrykiem. Wydawał mi się dziwnie poruszony – zaczął.

– O czym panowie rozmawiali? – spytał Witold niecierpliwie.

Hrabia zamyślił się. Splótł przed sobą dłonie.

– Nie tak szybko, drogi panie. Najpierw to pan opowie mi wszystko o śmierci Henryka.

Przez dłuższą chwilę Witold milczał. W końcu uznał, że to odpowiednia cena za informacje, po które tu przyszedł. Zaczął mówić – krótko, zwięźle, bez emocji.

Hrabia słuchał Witolda w skupieniu.

Jego życie płynęło spokojnym rytmem, bez gwałtownych zdarzeń. Jako kurator w zakładzie słyszał wprawdzie o różnych dramatycznych historiach i trudnych wyborach, jakich musieli dokonywać ludzie. Ale nie dotyczyło to ludzi z jego sfery.

Witold oszczędził mu opisu, ograniczając się do informacji, że znalazł ciało Henryka w łóżku.

– Jak zginął?

Nie chciałby pan tego wiedzieć, pomyślał Witold.

Hrabia popatrzył pytająco.

– Jak zginął? – powtórzył.

– Poderżnięto mu gardło...

Słowa zawisły w powietrzu. Hrabia zadrżał. Na krótką chwilę wstrzymał oddech.

– Mój Boże... – szepnął.

Sięgnął po karafkę, która stała na stoliku.

– Napije się pan czegoś?

Witold podziękował.

Hrabia nalał sobie solidną porcję wódki i wypił duszkiem.

– Niech pan mówi dalej...

Witold uśmiechnął się smutno.

– W zasadzie to wszystko.

– Jak człowiek może być dla człowieka tak okrutny? – zastanawiał się na głos hrabia.

Smutny uśmiech nie schodził z warg Witolda. Mimo swojej okropności nie była to najgorsza zbrodnia, z jaką miał w życiu do czynienia.

Chwilę później padło następne pytanie:

– Skąd pan wiedział, że Henryk Winiarski spotkał się tego dnia ze mną?

Witold spokojnym głosem wyjaśnił, jak trafił na ten trop.

– Czy teraz może mi pan powiedzieć, o czym rozmawialiście tamtego dnia?

– Oczywiście.

Hrabia miał dobrą pamięć. Odtworzenie zdarzeń z poprzedniego dnia nie było dla niego problemem. Mówił wolno, nie chcąc pominąć żadnego szczegółu.

– Na początku czerwca zaginął niejaki Jasio Podgórski, wychowanek naszego zakładu. Chłopak ostatnie dni spędził w Bronowicach – dworku, który należy do Wereszyńskiego. Od pewnego czasu stało się bowiem zwyczajem, że Wereszyński zabierał jednego z naszych wychowanków do siebie na wieś, aby – jak to mówił – pooddychał świeżym powietrzem. I rzeczywiście, chłopcy bardzo chwalili sobie te wypady. – Przerwał na moment. – Oczywiście policja wypytywała Wereszyńskiego o chłopca. Ten, co jest zupełnie zrozumiałe, był zdenerwowany całą sytuacją. Twierdził, że Jasio uciekł z dworku w sobotę. Wereszyński szukał

go, ale bez rezultatu. W jakimś stopniu czuł się za niego odpowiedzialny. Kilka dni po zaginięciu ciało Jaśka wyrzuciła Wisła. Życie toczyło się dalej swoim rytmem. Może tylko opiekunki tęskniły za chłopcem, który był dla nich jak żywe srebro. Chłopcy nadal spędzali czas w Bronowicach. Aż miesiąc później, pod koniec lipca, sytuacja się powtórzyła. Zaginął Jakub Taraś. Kilka dni później jego zwłoki – tak jak zwłoki Jasia – znaleziono na brzegu Wisły.

Witold przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Jak pan myśli, co się mogło stać?

– Przyznam, że nieraz zastanawiałem się nad tym. Ale do głowy nie przychodzi mi żadne sensowne wyjaśnienie.

– Może pan podać jeszcze raz nazwiska tych chłopców?

Hrabia powtórzył.

Witold miał wrażenie, że coś mu umyka – jakiś istotny element tej łamigłówki. Nie potrafił go uchwycić.

– Wie pan coś o stajennym Wereszyńskiego? – spytał nieoczekiwanie.

Hrabia patrzył na Witolda zdziwiony.

Niby dlaczego miałbym interesować się służbą?, spytał samego siebie.

Głośno wyraził swoje zdziwienie.

Witold, niezrażony, opowiedział mu o Kacprze, podkreślając wspólny element wszystkich historii.

Hrabia sprawiał wrażenie poruszonego.

– Przypadek? – spytał niepewnie.

– Nie wydaje mi się.

Milczenie trwało długo.

Hrabia, który i tak poświęcił Witoldowi dużo czasu, zerknął znacząco w stronę drzwi.

Witold nawet nie drgnął. Nie opuszczało go przecucie, że hrabia nie powiedział mu wszystkiego.

– Pan wybacz, ale... – Michałowski wstał.

Witold poszedł w jego ślady.

– Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać.

– Zrobiłem to ze względu na Henryka, to... – szukał odpowiedniego słowa – to był bardzo zacy człowiek. Będzie nam go brakowało.

Mocno uścisnęli sobie dłonie.

Witold ruszył w stronę drzwi.

– Proszę poczekać – usłyszał.

Odwrócił się wolno.

Hrabia wpatrywał się w niego intensywnie. Uśmiechnął się z pewnym zażenowaniem.

– Musi pan wiedzieć o jednym. Od wydarzeń, które panu opisałem, a właściwie od momentu, kiedy znaleziono ciało drugiego chłopca, zakład nie przyjął od Stanisława Wereszyńskiego żadnego datku. Wstrzymano także wyjazdy naszych podopiecznych do Bronowic.

– Kto podjął taką decyzję?

– Ja, jako kurator.

– Dlaczego?

– Widzi pan... – Po raz pierwszy hrabia się zawahał. – Zawsze zastanawiałem się, dlaczego Wereszyński jest tak szczodry. I wie pan, do jakiego doszedłem wniosku? Sądzę, że robił to, ponieważ miał w tym jakiś interes. Przyznam, że bardzo mnie to niepokoi. I mam nadzieję, że uda się panu wcześniej czy później coś ustalić.



Witold nerwowo chodził po gabinecie. Rozmyślał nad każdą rozmową, którą przeprowadził w trakcie śledztwa. Powracał do słów, gestów, wyrazu twarzy. Szukał punktu zaczepienia. Gdzie popełniłem błąd?, zadawał sobie pytanie.

Podszedł do okna i otworzył je, wpuszczając świeże powietrze.

Uderzył dłonią we framugę.

– Do diabła...

Poczuł się tak bezsilny, jak nigdy dotąd.

Wrócił do biurka i zapalił cygaro. Wodził palcem po mapie Krakowa, uliczkach odchodzących od rynku. Zerknął do swoich notatek.

Wymieniał w myślach ostatnie miejsca, które odwiedziła Wereszyńska. Sklepy przy rynku, cukiernia Maurizia.

Ulica Sławkowska, na którą wyprowadził Wereszyńską młody subiekt. Pijarska u wylotu Sławkowskiej, gdzie praczka widziała, jak Anna wsiadła do karety. W stangrecie ktoś inny rozpoznał służącego hrabiny Ledóchowskiej.

Sama hrabina zaprzeczyła, jakoby to była jej kareta.

Powrócił myślami do spotkania z Ledóchowską. Kobieta była pewna siebie. Nie miał żadnych podstaw, aby jej nie wierzyć.

Usiłował odtworzyć przebieg tamtej rozmowy.

W gestach i mimice hrabiny nie dostrzegł wówczas nic, co przeczyłoby wypowiedzianym przez nią słowom. A te brzmiały: „Ta osoba musiała się pomylić”.

Nie opuszczało go przecucie, że coś mu umyka.

Potańczał czoło, chcąc w ten sposób odegnąć zmęczenie. Znów wstał i przeszedł się po gabinecie – od drzwi do okna, od okna do drzwi.

Przystanął na środku gabinetu, tknięty nagłą myślą. Próbował ją uchwycić.

To nie o słowa chodziło, lecz o ton głosu.

Wyniosły, tak niepasujący do hrabiny. Wtedy nie zwrócił nań zbyt dużej uwagi. Teraz nabrał znaczenia.

Może był to sposób, aby ukryć prawdę?, zadał sobie pytanie. Była przecież zwykłym człowiekiem.

Jeśli kłamała, w jaki sposób mogła pomóc Annie Wereszyńskiej?

Prawdopodobnie wywiozła ją z Krakowa.

Dokąd?

Nie sądził, aby gdzieś daleko.

Więc gdzie?

Znał tylko jedno takie miejsce.

– Obym się nie mylił – mruknął.

Odetchnął z ulgą. Już wiedział, co ma zrobić.



Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy minęli figurkę św. Nepomucena. Za ledwie kilka minut później Eigner skręcił w alejkę wysadzaną jarzębinami. Promienie zachodzącego słońca oświetlały czerwone owoce, nadając im niepowtarzalny blask.

Eigner zerknął na Witolda, z którym przez całą podróż zamienił za ledwie parę słów.

Zatrzymał dorożkę przed niewielkim dworkiem o pokrytym gontem dachu.

Witold siedział przez kilka chwil bez ruchu. Patrzył zamyślony na drgające w oknach światło. Z wnętrza dobiegał przez otwarte okna dźwięk fortepianu. Ktoś zażartował głośno, ktoś inny się zaśmiał.

Toczyło się normalne życie.

Witold wysiadł z dorożki i spojrzął na Eignera. Ten dał mu znak, że zostaje. W przeciwieństwie do Witolda, nie lubił tego miejsca i panującej tu atmosfery. Sięgnął po nieodłączną fajeczkę.

W momencie, kiedy Witold ruszył w stronę drzwi, te otworzyły się znienacka. Ponury mężczyzna z bokobrodami patrzył z niechęcią na przybyszów.

Witold, który swego czasu był w dworku częstym gościem, widział tego człowieka po raz pierwszy.

– Pan do kogo? – rzucił ponurak.

– Przyszyła mnie hrabina. – Kłamstwo przyszło mu bez trudu.

Mężczyzna pokiwał głową.

– A w jakiej sprawie? – spytał nieufnie.

Witold nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Zawahał się. Nie uszło to uwagi mężczyzny.

– Czego pan chce?

Głos był napastliwy.

Witold przedstawił się.

Mężczyzna nadal patrzył na niego nieufnie. Nazwisko nic mu nie mówiło.

– A pani Jasińska jest? – spytał Witold o rezydentkę, daleką krewną hrabiny Ledóchowskiej. Jasińską znał od kilku lat. Z początku nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Jednak pewne okoliczności kazały jej spojrzeć na Witolda przychylniejszym okiem. Kobieta odnosiła się do niego z szacunkiem, Witold odwzajemniał się tym samym.

Ponurak podrapał się za uchem. Długo bił się z myślami.

– No jest – odpowiedział.

Witold zrobił krok w stronę drzwi.

Zrezygowany mężczyzna machnął dłonią.

– Proszę wejść... – mruknął, nie mając pewności, czy dobrze robi.

Wpuścił Witolda do sieni i wskazał krzesło, które stało przy szafie na ubrania.

Z głębi mieszkania, od strony salonu, wciąż dochodziły dźwięki fortepianu.

Witold nie skorzystał z zaproszenia.

– Idę po panią – oznajmił mężczyzna i zostawił Witolda samego.

Korczyński patrzył na zawieszane na ścianach trofea myśliwskie – wypchane zwierzęta i poroża. Była to pamiątka po hrabim. Chociaż od jego śmierci minęło wiele lat, wdowa nie zmieniła niczego w wystroju tego miejsca.

Fortepian zamilkł i po chwili z salonu wychynęła Jasińska.

Kobieta ubrana była w suknię z cienkiego kolorowego kaszmiru, przybraną w górze dwiema falbankami.

Witold zauważył, że od ostatniej jego wizyty, blisko pół roku temu, w wyglądzie kobiety zaszły pewne zmiany. Jasińska wyraźnie zeszczuplała, wyglądała młodziej.

Spojrzała na Witolda z sympatią.

– Witam panią. – Ukłonił się.

Uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Dawno pan nas nie odwiedzał. – Zamilkła na chwilę, może czekając na słowa wyjaśnienia. Kiedy nie padły, ciągnęła tym samym ciepłym tonem: – Zapraszam, pan zapewne zmęczony...

Skierowali się do salonu.

W salonie, jak i w sieni, wszystko wyglądało tak jak przed laty.

Witold rzucił okiem na pomieszczenie.

Tapicerowane krzesła i fotele, dwa stoliki, w rogu fortepian znanej petersburskiej firmy Carla Schroedera. Witryna z biblioteczką, wyposażona w najlepszą polską literaturę. Ściany zdobione olejnymi pejzażami i fotografiami krewnych. W rogu biały kominek. Wszystko utrzymane w imponującej czystości – bez śladu kurzu czy pyłku.

Na stoliku stały dwie filiżanki z parującą jeszcze herbatą – znak, że przed chwilą ktoś tu był. Witold wpatrywał się w nie z dziwnym uporem. Wolno przeniósł wzrok na kobietę.

Jasińska w milczeniu zebrała filiżanki i przez jadalnię, którą rozjaśniały lustra i ciepły odcień ścian, przeszła do kuchni, żeby wydać odpowiednie dyspozycje.

Wróciła po chwili. Wskazała fotele.

– Co pana do nas sprowadza? – spytała uprzejmie, kiedy usiedli.

– Przyjechałem do pani Wereszyńskiej – rzucił.

– Nie rozumiem, dlaczego pyta pan o Annę...

Zamilkła. Zdała sobie sprawę, że zdradziła się, wypowiadając imię, które jeszcze nie padło. Uśmiechem próbowała ukryć zakłopotanie.

Witold bacznie obserwował rezydentkę.

– Kto pana przysłał?

– Hrabina.

Jasińska nie miała żadnych podstaw, aby mu nie wierzyć.

– Proszę poczekać, powiem pani Annie, że pan przyjechał.

Jasińska wróciła po pięciu minutach. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Pani Anna czeka.

Przeszli zaciemnionym korytarzem do zachodniego skrzydła dworku, gdzie umieszczono gościnne, rzadko używane pokoje.

Stanęli przed drzwiami na końcu korytarza.

Jasińska uśmiechnęła się i już bez słowa odeszła.

Anna Wereszyńska

29 września 1904 r. – czwartek wieczór

30 września 1904 r. – piątek rano

Witold zapukał. Odczekał chwilę, a kiedy nie usłyszał zaproszenia, ponowił pukanie. Znów odpowiedziała mu cisza.

Delikatnie otworzył drzwi.

Wolno przyzwyczajając wzrok do półmroku, w którym tonął pokój. Jedyne światło dawała lampa ustawiona na komódce, po prawej stronie od wejścia.

W głębi, przy sekretarzyku, siedziała szczupła kobieta.

– Pani Anno – powiedział.

Nie zareagowała.

Postąpił krok w jej stronę. Unoszący się w powietrzu delikatny zapach perfum wydawał mu się znajomy.

– Pani Anno – powtórzył.

Kobieta poruszyła się. Wstała. Była już na tyle blisko, że nawet w półmroku widział dokładnie jej twarz.

Zamarł w bezruchu. Poblądł. Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Stał zaskoczony i w milczeniu patrzył na Wereszyńską, wciąż nie dowierzając swoim zmysłom.

Nie, jednak nie mógł się mylić. Te same delikatne rysy twarzy. Te same duże oczy. Ta sama elegancja w ruchach, mimo że ubrana była jedynie w koszulę nocną i peniuar.

– Helena?! – szepnął.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Miło cię znów widzieć...

Milczał.

– Odebrałeś mój list?

– Nie jestem tu z powodu tego listu – powiedział.

Zimny ton spowodował, że Wereszyńska zamarła. Cofnęła wyciągniętą w stronę Witolda dłoń.

– Nie? – rzekła zdziwiona. – Myślałam, że...

Nie pozwolił jej dokończyć.

– Na twoim miejscu nie cieszyłbym się z tego spotkania, Heleno... – mruknął. Przetarł oczy jak ktoś, kto chce za wszelką cenę odpędzić senny koszmar. – A może – Anno? – dodał z drwiną w głosie. – Do diabła, nawet nie wiem, jak masz naprawdę na imię!

Przez twarz kobiety przebiegł cień lęku. Chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła.

– Przysłał mnie twój mąż – wyjaśnił krótko.

Wereszyńska zadrzała.

– Wiedziałaś, że mnie szuka, ale... – Przerwała. Jej głos lekko drżał. – Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że możesz dla niego pracować – dokończyła ze złością.

– Życie lubi sprawiać przykre niespodzianki. Jak wtedy, gdy...

Zniknęłaś, dokończył w myślach.

W pokoju zapadła cisza. Stali naprzeciw siebie jak dwie obce osoby, które nie mają sobie nic do powiedzenia.

Witold wyminął Annę. Podeszedł do okna i przez kilka długich minut z dziwnym uporem wpatrywał się w ciemność. Nie wiedział, jak długo tak trwał, obojętny na upływający czas. Do

rzeczywistości przywrócił go cichy głos.

– O czym myślisz?

Wereszyńska dotknęła dłonią jego ramienia.

Bardzo wolno odwrócił się w jej stronę.

– O tobie.

Musnęła palcami policzek Witolda. Przy tym drobnym geście peniuar lekko się rozchylił, odsłaniając jej ciało. Wydawała się tak bezradna i zagubiona – drobna kobieta, która potrzebowała pomocy. Patrzyła na Witolda wyczekująco, ale i z nadzieją, a każdy gest zapraszał do czegoś więcej. Teraz ruch należał do niego. Witold z pewnym wahaniem pochylił się w jej stronę i pocałował ją w usta. Odwzajemniła pocałunek. Nie mógł dłużej nad sobą panować. Zaczął pieścić jej ciało.

– Tak się boję... – powiedziała, rozpinając mu kołnierzyk. – Może być jak dawniej – szepnęła, poddając się pieszczotom.

Nagle, czy to przez te słowa, czy przez zimny wiatr, który wpadł niedomkniętym oknem, Witold w jednej chwili się opanował.

Nigdy już nie będzie tak jak kiedyś, pomyślał. Odsunął się od Heleny.

Na twarzy Wereszyńskiej pojawiło się zdumienie.

– Wyjedźmy stąd...

Patrzył na Wereszyńską nieprzeniknionym wzrokiem.

Znów uniosła dłoń, by dotknąć jego policzka. Nie zrobiła tego, bo Witold chwycił ją mocno za nadgarstek. Syknęła.

– Nie czaruj, Heleno, nie czaruj... – powiedział ze smutkiem w głosie. – Tamto już nie wróci – dodał ciszej.

– Naprawdę moglibyśmy jeszcze raz spróbować...

– Masz przecież kochającego męża, który nie pozwoli ci odejść – rzucił i posłał jej ironiczny uśmiech.

– Nie znasz go.

Nawet nie wiesz, jak dobrze go poznałem, pomyślał.

– To zły człowiek.

– Mimo to wróciłaś do niego wtedy – zauważył spokojnie. – Teraz znów szukasz pocieszenia w moich ramionach?

Każde jego słowo było jak igielki wbijające się w jej ciało.

– Co teraz będzie? Nie oddasz mnie chyba w jego ręce?

Witold patrzył gdzieś ponad jej ramieniem, jakby w przestrzeni przed sobą szukał odpowiedzi.

– Nie wiem. Nie wiem, Heleno – odrzekł szczerze.

Zerknął w stronę drzwi.

– Zostań. – Spoglądała na niego wyczekująco.

Witold uśmiechnął się półgębkiem. Spojrzał jej prosto w oczy.

– To niczego nie zmieni.

– Boję się. – W jej głosie pojawiła się błagalna nuta.

Witold odwrócił się, nieczuły już na jej prośby i słowa.

– Dobranoc – rzucił, zamykając za sobą drzwi.

Zniknął w otulonym ciszą i spokojem domu, zostawiając kobietę z własnymi myślami.



Prosto z pokoju Heleny udał się do salonu. Tutaj czekała na niego Jasińska, mocno już zaniepokojona.

Takt i wrodzona delikatność nie pozwalały jej spytać wprost o przebieg rozmowy. Wystarczył rzut oka na twarz Witolda, aby zrozumiała, że nie wszystko przebiegło po jego myśli. Korczyński podszedł do okna i poszukał wzrokiem Eignera.

– Pana przyjaciel nie chciał zostać – Jasińska ubiegła jego pytanie. – Powiedział, że wróci jutro rano... – dodała szybko.

Usiadł w fotelu naprzeciw rezydentki.

– Przygotowałam panu pokój...

Witold skinął głową w podziękowaniu.

Rozmawiali przy herbacie blisko godzinę, starannie omijając temat Anny Wereszyńskiej. Wspominali pierwsze ich spotkanie i kolejne wizyty Witolda. Jasińska z wielką swadą opowiadała o codziennym życiu i o osobach, które przez lata przewinęły się przez dworek. Jej rozmówca nie słuchał uważnie – myślami był w zupełnie innym miejscu.

Kiedy zegar wybił dziesiątą, Jasińska powiedziała, że jest zmęczona.

Witold długo chodził po pokoju.

Sytuacja mocno się skomplikowała. To, co przed paroma godzinami wydawało się proste, nagle nabrało nowego wymiaru.

W końcu wrócił do salonu. Wziął z barku szklankę i karafkę.

Było mu wszystko jedno, co pije. Chciał zagłuszyć galopujące myśli i zasnąć choćby na parę godzin.

Wkrótce wszystko pociemniało.



Obudził się przed piątą z bólem głowy. W ciemności nie mógł znaleźć lampy. Po omacku, potykając się o nogę krzesła, trafił do okna. Otworzył je szeroko i odetchnął głęboko rześkim powietrzem.

Patrzył, jak drzewa wyłaniają się z gęstej ciemności, i marzył o filiżance kawy, która przywróciłaby mu jasność myślenia.

Dochodziła szósta, kiedy z kuchni dobiegły odgłosy krzątania. Rozpoczynał się nowy dzień.

Witold cicho przeszedł na taras, z którego roztaczał się widok na zadbane ogród. Usiadł w wiklinowym fotelu i wsłuchując się w odgłosy przyrody, próbował uporządkować myśli.

– Wcześniej pan wstał – usłyszał z tyłu głos Jasińskiej.

Przysunęła sobie fotel i usiadła obok. Przez chwilę w milczeniu bawiła się łańcuszkiem zawieszonym na szyi.

– Pan nie chciał wczoraj o tym rozmawiać, a ja nie chciałam naciskać, ale... – Zawiesiła głos. – Odnoszę wrażenie, że nie jest pan wobec mnie szczery. – Spojrzała na niego uważnie. Dostrzegła na jego twarzy oznaki zmęczenia i oczy błyszczące jeszcze od wypitego wczoraj alkoholu.

Witold w odpowiedzi uśmiechnął się tylko, co potwierdziło jej podejrzenia.

Jasińska pokiwała ze smutkiem głową.

– Co pan przede mną ukrywa? – spytała wprost, domagając się wyjaśnień.

Witold dobrze zdawał sobie sprawę, że nie może kolejny raz skłamać. Prawdy też nie mógł wyjawić, więc wybrał milczenie.

– Martwię się o Annę. Wczoraj w nocy płakała, kiedy pan od niej wyszedł. Martwię się także o pana...

Długo, przenikliwie patrzyła na Witolda.

– Wereszyński – to on pana przysłał. – To nie było pytanie.

Po raz pierwszy Witold spojrział rezydentce prosto w oczy. Był pod wrażeniem jej przenikliwego umysłu.

– Panie Witoldzie, ta kobieta wiele w życiu wycierpiała. Ona nie może do niego wrócić.

Jasińska nie spodziewała się żadnych słów z jego strony, gdyż po chwili milczenia ciągnęła:

– Powinien pan jak najszybciej opuścić ten dom – oznajmiła lodowato.

– Przyjechałem tutaj w określonym celu, ale...

Jasińska nie pozwoliła mu skończyć.

– Mam sposoby, aby pana powstrzymać – zagroziła. – Pani Anna jest pod opieką hrabiny. Nigdy nie darowałabym sobie, gdybym zawiodła zaufanie, jakim hrabina mnie obdarza.

Mężczyzna pochylił się w stronę rezydentki.

– Nie zrobię nic, co będzie sprzeczne z wolą Anny – dokończył ze spokojem przerwana przez Jasińską myśl.

Te słowa nieco uspokoiły kobietę.

– Zanim mnie pani stąd wyrzuci, chciałbym jeszcze raz z nią porozmawiać. A potem... – Wykonał nieokreślony ruch dłonią. Sam tak naprawdę nie wiedział, co będzie potem.

Jasińska patrzyła na niego ze smutkiem. Darzyła Witolda sympatią, ale teraz nie mogła być wobec niego pobłażliwa. Ich relacje, oparte dotąd na wzajemnym szacunku, musiały się odtąd zmienić.

Jasińska skinęła głową na znak, że zgadza się na jego prośbę.



Słońce z trudem przebijało się przez wiszące nisko chmury. Promienie światła nieśmiało dotknęły koron drzew. Z południa powiał wiatr. Słońce znów skryło się za ciemnymi obłokami.

Eigner zatrzymał dorożkę i zerknął do tyłu na Witolda, który nie odezwał się ani słowem, odkąd wyjechali z dworku w Prądniku.

Gdzie teraz przebywał? Jakimi ścieżkami podążały jego myśli?

– Co zamierzasz? – spytał Eigner, lekko już zniecierpliwiony.

Witold milczał. Nie usłyszał pytania lub nie chciał go usłyszeć. To drugie wydawało się fiakrowi bardziej prawdopodobne.

Powtórzył pytanie.

Witold miał już ułożony w głowie plan działania. Wolno i starannie dobierając słowa, opowiedział Austriakowi o rozmowie z Wereszyńską i o tym, kim ona jest. Dzielił się przemyśleniami, wiedząc, że Eigner precyzyjnie wyłapie w jego rozumowaniu każdy błąd.

W ciszy, jaka zapanowała po jego ostatnich słowach, słyhać było najmniejszy powiew wiatru i delikatny szum liści.

Eigner długo patrzył na poszarzałą twarz Korczyńskiego.

Nie podobała mu się rola, jaką Witold sobie wyznaczył. Zbyt wiele było w tym wszystkim niewiadomych. Zbyt wiele zależało od zachowania innych osób.

Nie podobał mu się spokój, z jakim Witold mówił o tym wszystkim – jak człowiek, który dawno już pogodził się z tym, co nieuniknione.

– Jesteś pewien, że to najlepsze rozwiązanie?

Witold nie odpowiedział, zagubiony w płataninie myśli. Miał nadzieję, że w dwa dni, jakie pozostały do niedzieli, zdąży zrealizować większość swoich zamierzeń i zmieni niekorzystny układ sił.



Eigner zatrzymał dorożkę przed pomnikiem Mickiewicza. Słowa nie były potrzebne. Wszystko ustalili po drodze z Prądnika.

Trzasnął bat. Dorożka potoczyła się wolno w stronę Floriańskiej.

Witold skierował swe kroki do Banku Hipotecznego. Stamtąd udał się na Wiślną, gdzie pod trójką mieściła się siedziba banku zastawnego Włodzimierza Angelusa. W mrocznej sieni ominął mocno zdenerwowanego mężczyznę, który kłął pod nosem na czym świat stoi.

U Angelusa Witold spędził blisko godzinę.

U Fischera przy rynku Witold kupił zwykły papier i szarą kopertę. Potem poszedł do kawiarni Janikowskiego. Przy stoliku na świeżym powietrzu przesiedział do południa, zadowolając się filiżanką mocnej kawy.

Obok kawiarni przebiegł umorusany Antek. Chłopak pędził na złamanie karku. Za nim roznosił się głos zdenerwowanej kwiaciarki, której chłopak spłatał zapewne jakiegoś figla.

Witold odczekał chwilę. Rzucił na stolik kilka monet, doliczając do rachunku spory napiwek, i ruszył w ślad za chłopakiem.



Leopold przecierał mokrą ścierką grzbiet konia, któremu sam nadał imię. Był to jego ulubiony wierzchowiec. Czasami, kiedy Wereszyński miał dobry humor, pozwalał mu przejechać się nim po okolicy.

Z tyłu dobiegł gwizd. Leopold nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Po chwili dźwięk rozległ się ponownie.

Mężczyzna zerknął za siebie. Przy drzwiach dostrzegł szczupłego chłopaka, który patrzył na Leopolda uważnie. W jego oczach błyszczały wesołe iskierki.

– A ty tu czego? – Leopold nie lubił tych krakowskich urwisów, szukających ciągle okazji do psot.

– Mam coś dla ciebie. – Chłopak nie był speszony, że rozmawia z dorosłym mężczyzną. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Pójdiesz stąd czy mam cię psami pogonić?

– A przecie tu nie ma psów – zauważył młodzieniec rezolutnie.

Teraz uśmiechnął się Leopold.

Odłożył ścierkę i przyjrzał się chłopakowi. Przypomniały mu się czasy, kiedy sam błąkał się po ulicach miasta, będąc jeszcze mniejszym szkrabem od niego. Gdyby nie Wereszyński, nie wiadomo, gdzie byłby dzisiaj.

– Dobra, czego chcesz?

Chłopak pomachał szarą kopertą.

– List mam.

– Do mnie?

– Tak...

– Nie pomyliłeś się?

Chłopak zdecydowanie pokręcił głową.

– Miałem dostarczyć do rąk własnych. – Wyciągnął dłoń w stronę Leopolda.

Zaciekawiony stangret rozerwał kopertę. Czytał list, a jego twarz stawała się coraz bledsza. Ponowił lekturę. Dłoń mu zadrżała.

– Od kogo masz... – Nie dokończył.

Chłopak zniknął tak szybko i bezszelestnie, jak się pojawił.



Była już prawie noc, kiedy do drzwi mieszkania przy ulicy św. Sebastiana ktoś zapukał. Jadwiga, która była już w łóżku, poszła otworzyć, złorzecząc pod nosem.

W świetle lampy ukazała się postać szczupłego mężczyzny, właściwie młodzieńca – o jasnych, przenikliwych oczach. Na jego stanowcze żądanie niechętnie poczłapała na górę, przekonana, że Witold dawno już śpi. Kiedy przez szparę w drzwiach zobaczyła światło, odetchnęła z ulgą.

Witold, który siedział przy biurku w ubraniu, nie był ani trochę zdziwiony. Jadwiga zrozumiała, że czekał na nocnego gościa.

Zaproszenie

1 października 1904 r. – sobota rano

Sobotni poranek był słoneczny. Zapowiadał się ładny dzień.

Jadwiga od wczesnych godzin kręciła się po kuchni. Miała za sobą kolejną nieprzespaną noc. Po wiadomości o Henryku nie mogła znaleźć sobie miejsca. Wciąż myślała o starszym panu i zastanawiała się nad tym, jak zginął, bo Witold jak dotąd nie raczył jej tego wyjaśnić. Domyślała się tylko, że nie była to zwykła śmierć. Pochówkiem Henryka zajął się jego siostrzeniec, o którym do tej pory Jadwiga wiedziała tylko tyle, że mieszka gdzieś pod Krakowem. Pogrzeb miał się odbyć w poniedziałek.

Na tę wiadomość Witold pokiwał tylko głową – jak ktoś, kogo takie sprawy zbytnio nie interesują.

Po śniadaniu, które upłynęło w zupełnym milczeniu, gosposia posprzątała ze stołu, podała kawę i oznajmiła, że wychodzi do kościoła. Było to jedyne miejsce, gdzie znajdowała ukojenie.

Jadwiga przecięła ulicę Jasną i skierowała się w stronę plant dietlowskich. Była w połowie drogi, kiedy zza zakrętu wyłoniła się czarna kareta, zaprzęzona w dwa konie.

Na krótką chwilę skrzyżowały się spojrzenia gosposi i siedzącego na koźle mężczyzny. W oczach mężczyzny czaiła się zimna nienawiść. Jadwiga poczuła, jak przechodzą ją ciarki.



Po wyjściu gosposi Witold przeniósł się na fotel przy kominku. Wpatrzony w stojący po przeciwnej stronie salonu fortepian pił drobnymi łyżkami kawę i próbował odegnać wspomnienia.

Skupił się na tu i teraz. Dotąd wszystko przebiegało po jego myśli – zgodnie z opracowanym planem. Do wykonania pozostał jeden element, ale jakże ważny. Witold po raz kolejny musiał uzbroić się w cierpliwość. W tej chwili bardzo dużo zależało od Eignera, który miał się odezwać w południe.

Spojrzał na zegar. Dochodziła dziesiąta.

Wstał z zamiarem nalania sobie kieliszeczka czegoś mocniejszego. Był już przy barku, kiedy usłyszał, jak ktoś otwiera drzwi.

Chwilę później do salonu wkroczył Reiner.

Witold zaklął w duchu.

Za wcześnie, za wcześnie, pomyślał nerwowo.

Pojawienie się Reinera dzień przed wyznaczonym przez Wereszyńskiego terminem burzyło misternie zbudowany plan.

Z wielkim trudem przyszło mu zachowanie spokoju.

– Widzę, że jest pan zaskoczony moją wizytą? – Reiner nie dał zwieść się pozorom. Patrzył na Witolda z nieukrywaną satysfakcją.

– Przejdziemy się – powiedział spokojnie, ale nie wykonał żadnego ruchu.



Wereszyński oderwał wzrok od papierów, które przeglądał z uwagą. Uśmiechnął się uprzejmie.

Gestem wskazał wolny fotel po drugiej stronie biurka. Witold usiadł niechętnie.

Wereszyński od razu przeszedł do rzeczy.

– Wiem, że ostatnie dni spędził pan poza Krakowem. W piątek z kolei pobrał pan pieniądze z banku i spłacił swoje zobowiązania.

Wciąż zaskakiwał Witolda.

– Jestem przekonany, że pan już wie, gdzie ukryła się moja żona – oznajmił suchym tonem.

Spojrzał twardo na Witolda.

– Słucham. Co ma pan mi do powiedzenia?

– Myli się pan – powiedział Witold spokojnym głosem. – Dotąd nie udało mi się odnaleźć pana żony, choć nie zaprzeczam, że wpadłem na pewien trop... Gdyby trzymał się pan wyznaczonego terminu, być może jutro pana żona siedziałaby tutaj w salonie i piła kawę, herbatę czy co tam lubi.

Pozwolił sobie na pewną zgryźliwość, chociaż wiedział, że nie powinien igrać z ogniem.

Wereszyński patrzył na niego czujnie, doszukując się kłamstwa w każdym słowie.

– Dość.

Na kilka chwil zapadła cisza.

– Sądzi pan, że w to uwierzę?

– Nie interesuje mnie, w co pan wierzy – odparł Witold.

Wereszyński wstał i przeszedł się po gabinecie.

– Dobrze, panie Witoldzie. Proponuję porzucić te gierki. Przejdźmy do rzeczy. Spytałem wprost – gdzie ona jest?

Wereszyński zatrzymał się przed Witoldem. Patrzył na niego z góry.

– Nie wiem.

– To, że pan spłacił swoje długi, nie rozwiązuje sprawy. Mam wrażenie, że zapomniał pan o... – Zawiesił głos. – O Emilii.

Myślę o niej każdego dnia.

Wereszyński wrócił na swoje miejsce. Przez kilka chwil bawił się piórem, otwierając je i zamykając z powrotem.

– Proszę tylko nie mówić, że jest panu obojętna. Choć to nie partia dla pana, jak się zdaje. Hrabina strzeże jej jak oka w głowie. Ciekawe dlaczego? Czyżby się dowiedziała, jakim naprawdę jest pan człowiekiem?

– A jakim jestem? – odparł Witold i spojrzał swemu rozmówcy prosto w oczy.

– Żalonym.

Witold uśmiechnął się.

– Przykro mi, że pana rozczarowałem.

Wstał.

– Teraz, skoro wszystko sobie wyjaśniliśmy... Pan wybaczy, ale mam ważne sprawy do załatwienia.

Wereszyński spojrzał na Witolda z nieukrywanym zdziwieniem.

– Niech pan mnie nie rozśmiesza – powiedział nieprzyjemnie.

Witold nie poruszył się.

– Siadaj pan, jeszcze nie skończyliśmy naszej rozmowy.

Witold zerknął w stronę drzwi, w których od początku stał Reiner. Nie miał wątpliwości, że mężczyzna nie pozwoli mu opuścić pomieszczenia.

Usiadł.

– Dlaczego tak bardzo zależy panu na jej powrocie? – spytał cicho. – Dlaczego nie pozwoli jej pan odejść? Dlaczego tak uparcie chce ją pan sprowadzić do domu, który dawno przestał być jej domem?

Na twarzy Wereszyńskiego nie drgnął żaden mięsień, chociaż każde pytanie było jak mocny cios. Mężczyzna sięgnął do pudełka z cygarami. Zapalił. Przez dym patrzył na Witolda.

– Wie pan, co to jest prawdziwa miłość? – spytał w końcu znudzonym głosem. Nie interesowała go odpowiedź, gdyż ciągnął: – Wątpię. Przez życie idzie pan szybko i zdecydowanie, nawet nie zdając sobie sprawy, że błądzi pan w tym poszukiwaniu prawdy i sprawiedliwości. Dokonuje pan złych wyborów, marnuje energię na walkę z wiatrakami. Dlaczego? Czy nie ma innych pożytecznych zajęć? Odpowiem za pana. Pan po prostu nie może żyć bez tego dreszczyku emocji, bez zapachu krwi. W ten sposób ucieka pan przed prawdą o samym sobie. A prawda jest taka, że niczym nie różni się pan od tych, których tak zawzięcie pan tropi.

– Tania filozofia, panie Stanisławie – skwitował jego wywód Witold.

– Być może, ale zapomina pan, że to ja wciąż rozdaję karty.

Wereszyński wypuścił dym z ust.

– Rozmawiał pan z nią?

Szukał na twarzy Witolda potwierdzenia swoich słów.

Korczyński uparcie milczał. W kącikach jego ust błąkał się prowokujący uśmiech.

Gospodarz stracił panowanie.

– Zaczarowała pana? Tak? – domagał się odpowiedzi.

– To piękna kobieta...

Te słowa go zdradziły. Witold zrozumiał to zbyt późno. Zamilkł.

Przemysłowiec posłał mu pełne triumfu spojrzenie. Nie miał już wątpliwości.

– Powie mi pan, gdzie ona jest?

– Pana żona to piękna kobieta – podjął spokojnym głosem Witold. – Żaden mężczyzna nie może pozostać obojętny na jej urok. Wielu jest takich, których ucieszyła wiadomość, że odeszła od pana. Wielu z nich z chęcią zajęłoby pana miejsce w jej łóżku...

Witold stapał po kruchym lodzie. Prowokował i nie do końca wiedział, dlaczego to robi.

Zapadła długa, niezręczna cisza. Wereszyński skrzywił się z irytacją. Skinął głową na Reinera. Ten z błyskiem w oczach ruszył w stronę Witolda.

– Wstań.

Witold nie zdążył się podnieść. Reiner był szybki. Precyzyjnie wymierzony cios posłał Witolda na podłogę. Z rozciętej wargi popłynęła krew. Lekko oszołomiony, próbował się podnieść. Daremnie – nogi miał jak z waty.

Reiner pomógł mu wstać i posadził go na krześle.

Wereszyński patrzył na Witolda z rozbawieniem.

– Chce pan jeszcze coś dodać?

Witold milczał. Szumiało mu w głowie. Nie mógł się skoncentrować. Słowa docierały do niego z daleka.

– Na ogół dostaję to, czego chcę, po mniejszym lub większym wysiłku.

Wereszyński spojrział na zegar.

Spotkanie trwało już prawie godzinę, a oni nie posunęli się do przodu nawet o krok.

– Pan się uparł i nie chce mi powiedzieć, gdzie jest moja żona. Nie rozumiem, co panem kieruje... – Nie dokończył.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i do środka wszedł wysoki brunet o lisiej twarzy.

Wereszyński wyłąpał jego rozbiegane spojrzenie. Wstał. Szttywnym krokiem podszedł do przybysza, jakby przeczuwał coś złego. Przez kilka chwil mężczyźni prowadzili cichą rozmowę. Na twarzy Wereszyńskiego zaszła gwałtowna zmiana.

Wrócił na swoje miejsce. Oddychał ciężko jak po długim, męczącym biegu. Drżącą ręką

sięgnął do pudełka z cygarami. Znów zapalił. Spojrzał na Witolda wściekłym wzrokiem.

– Pięknie pan to rozegrał – mruknął. Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Przyznam, że nie doceniłem pana. Uwolnienie Emilii... – Zamilkł.

Zmienia układ sił, dodał w myślach.

Witold odetchnął z ulgą. Opadło napięcie, jakie towarzyszyło mu od kilku dni. W tej chwili liczyło się tylko jedno – Emilia była bezpieczna.

Wereszyński zastanawiał się kiedy popełnił błąd.

Chyba że...

Ta myśl na kilka chwil go sparaliżowała.

Zawinił ktoś z jego służby. Pozostało tylko pytanie: Kto?

Starannie dobierał ludzi, którzy dla niego pracowali. Oferował im pomoc, otaczał ich opieką, a w zamian wymagał tylko jednego – bezgranicznej lojalności.

Ktoś musiał zdradzić.

Spojrzał na Witolda jak na równorzędnego przeciwnika.

– Kto? – rzucił. – Kto i za ile go pan kupił?

– W każdym mechanizmie jest jakiś słaby element – odpowiedział wymijająco Witold.

Wereszyński długo wpatrywał się w zmęczoną twarz swojego rozmówcy.

– Dobrze pan wie, że wcześniej czy później się tego dowiem.

Witold zawahał się. Doszedł do wniosku, że ukrywanie imienia nie ma w tej chwili żadnego znaczenia.

– Leopold – powiedział.

– Leopold – powtórzył jak echo Wereszyński. Na jego twarzy pojawiło się rozczarowanie. Chłopak był ostatnią osobą, którą by o to podejrzewał. Stracił pewność siebie. Dlaczego akurat on?, zapytał siebie w duchu. Traktowałem go jak syna.

To go zabolalo.

– Co mu pan obiecał? Pieniądze?

Witold pokręcił głową.

– Nie. Nie pieniądze.

– Zatem?

– Wolność.

– Wolność – powtórzył Wereszyński.

Witold uśmiechnął się.

Przemysławiec odłożył cygaro, patrząc na żarzącą się końcówkę. Splótł przed sobą dłonie.

– Panie Witoldzie, pora kończyć tę zabawę. Spytałem po raz ostatni – gdzie jest moja żona?

Dał Witoldowi czas do namysłu.

Kiedy ten nadal milczał, wykonał nieokreślony ruch dłonią.

– Nie jesteś pan tak twardy, jak ci się wydaje. Każdego można złamać.

Spojrzał na Reinera.

– Zaproś doktora...



Doktor Julian Roszkowski spojrzał niechętnie na stojącego przed nim Reinera. Nie lubił tego człowieka. Gdyby ktoś spytał go dlaczego, nie potrafiłby udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Zimne oczy mężczyzny napawały go lękiem. Jeśli było to możliwe, unikał go jak ognia. W tak dużym domu, jak pałac w Dębnikach, nie stanowiło to żadnego problemu.

Bezbarwnie wypowiedziane przez Reinera słowa zaintrygowały doktora na tyle, że bez chwili wahania udał się za nim do gabinetu.

Patrzył na Wereszyńskiego z wyczekiwaniem.

– Miał pan okazję poznać naszego gościa. – Wskazał głową na Witolda.

Roszkowski uśmiechnął się.

Nie tracąc czasu, Wereszyński przeszedł do sedna sprawy.

– Pan Witold jest bardzo uparty. Chcę dowiedzieć się od niego paru istotnych rzeczy, ale nie jest to człowiek, który tak łatwo ulega. Ostatnio pracował pan nad jakimś specyfikiem...

Spojrzał znacząco na Roszkowskiego.

W oczach doktora pojawił się dziwny błysk.

– Serum prawdy.

– Właśnie. Co to właściwie jest?

– W jego skład wchodzi między innymi *Datura stramonium*, bardziej znany pod nazwą bielun dziedzierzawa. Zawiera skopolaminę i atropinę.

– Sprawdzał pan już na kimś ten specyfik?

– Nie miałem jeszcze okazji. Pan Witold będzie pierwszym pacjentem, na którym wypróbuję jego działanie.

– A skutki uboczne?

Roszkowski wzruszył ramionami.

– Zapewne występują, jak zawsze.

Wereszyńskiemu nie spodobała się ta odpowiedź. Z wahaniem patrzył na doktora.

– Potrzebuje go żywego – powiedział z naciskiem.

Doktor skinął głową.

Witold przysłuchiwał się tej rozmowie z rosnącym niepokojem. Rozmawiali o nim jak o króliku doświadczalnym.

– Zatem oddaję mojego gościa w pańskie ręce, doktorze.



Roszkowski wyszedł na kilka minut z gabinetu. Wrócił z taczką, na której leżała fiolka i dwie strzykawki. Postawił ją na biurku.

– Będzie pan łaskawy zdjąć marynarkę. – Roszkowski nie porzucił grzecznego tonu.

Witold się nie poruszył. W myślach gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji.

Doktor spojrzał znacząco na Reinera.

– Nalegam.

Witold wykonał polecenie.

Roszkowski rozbił fiolkę. Zanurzył w niej strzykawkę i napełnił ją szarym płynem.

Witold poszukał wzrokiem przemysłowca. Na chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Poczekaj pan – Wereszyński powstrzymał doktora. Obszedł biurko i stanął przed Witoldem. – Dam panu ostatnią szansę. Zmienił pan zdanie?

W odpowiedzi Witold tylko uśmiechnął się smutno.

Wereszyński wzruszył ramionami. Odsunął się.

– Proszę kontynuować – rzucił i wyszedł z gabinetu.

Roszkowski postąpił krok w stronę Witolda.

– Proszę podwinąć rękaw.

Reiner przewiązał Witoldowi ramię.

Doktor popatrzył na znajdujący się w strzykawce płyn i uderzył w nią palcem.

Pochylił się nad Witoldem, który nie stawiał oporu. Doktor nie był delikatny. Zatopił igłę w żyłę i mocno nacisnął tłoczek strzykawki.

Witold wpatrywał się w wąską strużkę krwi, która płynęła z miejsca ukłucia.

Lek zaczął działać szybko. Pierwsze objawy nastąpiły po paru minutach. Witold poczuł dziwne ciepło. Głosy zamilkły, pokój zafalował mu przed oczyma. Głowa bezwiednie opadła na pierś.

– Gdzie ona jest?

Słowa dobiegały z daleka.

Uniósł głowę.

Ktoś się nad nim pochylił i uderzył go w policzek – raz, drugi.

– Kto? – spytał zachrypniętym głosem.

– Anna.

– Anna? – powtórzył imię, które było pustym, nic nieznaczącym słowem.

Witold balansował na granicy snu i jawy. Walczył z ogarniającą go słabością, aż w końcu odpłynął w głęboki sen.

Kuraś

1 października 1904 r. – sobota wieczorem

Prawie godzinę już Gabriel Kuraś, dwunastoletni chłopak o kręconych włosach, obserwował ze swojej kryjówki leżącego na łóżku Witolda. To, co wydarzyło się dużo wcześniej, wzbudziło jego niepokój.

Było południe, kiedy dwóch potężnych mężczyzn zawlekło Korczyńskiego do pokoju na końcu korytarza i rzuciło na łóżko jak szmacianą lalkę.

Dwukrotnie w ciągu dnia zaglądał tam doktor i próbował nawiązać z Witoldem jakiś kontakt. Mężczyzna nie reagował.

Kuraś, który zajmował pokój obok, dobrze słyszał wszystkie dźwięki dochodzące zza ściany. Skrzypiące drzwi, kroki, słowa.

Kiedy minęła pora obiadu i dobrze wiedział, że nikt nie zajrzy do niego przez parę najbliższych godzin, wymknął się z zamkniętego na klucz pokoju i dostał się do sąsiada jednym z tajnych przejść. Odkrył je pewnej nocy, gdy nie mógł spać.

Choć był więźniem, Kuraś dzięki tajnym przejściom mógł w każdej chwili opuścić pałac. Nie zrobił tego z prostego powodu. Tutaj i tak miał lepiej niż na ulicy, gdzie żył przez ostatnie lata, po śmierci matki. Dach nad głową, jedzenie, czyste ubranie zamiast brudnych szmat, które dotąd nosił na sobie.

Był wdzięczny losowi, że sprawił mu taką niespodziankę. A wszystko zaczęło się zupełnie przypadkowo – w słoneczny dzień, kiedy krążył głodny wąskimi uliczkami Kazimierza. Zmęczony, zatrzymał się przed wystawą cukierni i rozmarzonym wzrokiem patrzył na smakowite ciastka. Wtedy zaczepił go mężczyzna ubrany w ciemny płaszcz. Obcy wyglądał niepozornie. Kupił Kurasiowi ciastko, które ten pochłonął w kilka sekund. Z dziwnym wyrazem twarzy patrzył na jego szczupłe, wychudzone ciało. Gdy Kuraś spytał, czy nie mógłby dostać jeszcze jednego ciastka, mężczyzna złożył mu pewną propozycję. Chłopak wahał się tylko przez chwilę.

W odpowiedzi na ciche przyzwolenie chłopca obcy chwycił go mocno za ramię i zaprowadził na Krakowską, gdzie stała karetka. Dla Kurasia zaczęło się nowe życie. Nie wiedział, co go czeka, ale wołał niepewność niż głód i biedę. Nikt go nie popychał, nie wyzywał ani z niego nie drwił.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że nie pozwolono mu opuszczać pokoju. Nie była to wysoka cena za bezpieczeństwo, ale brakowało mu swobody, do której przywykł. Miał czas, wręcz bardzo dużo czasu. Dokładnie przeszukał każdy zakamarek, zajrzał za każdy mebel, aż trzeciego dnia odkrył za regałem z książkami ciemną wnękę. Okazała się ona wąskim korytarzem, który zaprowadził go do zagraconego pomieszczenia obok schodów. Zamek nie sprawił mu problemu. Odtąd co noc buszował po pałacu, odkrywając jego tajemnice. Szybko przekonał się, że tajnych, nieodkrytych lub może zapomnianych przez lokatorów korytarzy było w tym domu więcej.

Ostatniej nocy odkrył przejście do małego pokoiku sąsiadującego z gabinetem pana domu. W cienkiej ścianie wydrapał mały otworek, akurat na jedno oko. Tego dnia przed południem zakradł się tam ponownie. Początkowo nic się nie działo. W gabinecie przy wielkim biurku siedział mężczyzna, w którym rozpoznał gospodarza. Spotkał go tylko raz. Nie mógł o nim wiele powiedzieć – może tylko tyle, że miał przyjemny głos.

Znudzony Kuraś chciał opuścić swoje miejsce, kiedy do gabinetu wprowadzono Witolda. Został, kierowany ciekawością. Wstrzymując oddech, wsłuchiwał się w prowadzoną rozmowę. To, co zobaczył, poruszyło nim do żywego.



Witold obudził się z wielkim bólem głowy. Z trudem otworzył oczy. W pokoju panował półmrok, bo grube zasłony nie przepuszczały światła. Wolno przyzwyczajał wzrok do ciemności. Po kilku minutach odróżniał już poszczególne kształty.

Chciał usiąść. Organizm gwałtownie zaprotestował. Serce biło jak młot. Witold opadł na poduszkę. Długo leżał bez ruchu i zbierał siły. Zadawał sobie pytania, na które nie umiał odpowiedzieć.

– Gdzie jestem?

Próbował skupić myśli. Obrazy nakładały się jeden na drugi, myliły mu się dni i zdarzenia.

Widział twarze ludzi, o których nie potrafił w tej chwili nic powiedzieć. Słyszał fragmenty rozmów, krzyki i szepty.

Odplynał. Minęło pół godziny, zanim znów odzyskał przytomność.

Tym razem miał więcej sił. Usiadł. Chociaż wciąż kręciło mu się w głowie, zdołał zapanować nad słabością.

Wiedział już, kim jest i gdzie się znajduje.

Dotknął ranki w zgięciu łokcia. Powoli przypomniał sobie ostatnie wydarzenia, chociaż nie był pewien, ile czasu od nich minęło. Czy nadal jest sobota? Niedziela? A może już poniedziałek?

Pamiętał, że coś mu wstrzyknięto – specyfik, który pogrążył go w długim śnie.

Czuł się słaby jak dziecko. Opuścił bose stopy na zimną posadzkę i podszedł do okna. Otworzył je.

Na zewnątrz panowała wieczorna szarówka – pora dnia, kiedy dzień walczył z nocą. Padał drobny deszcz. Powiało chłodem.

Oparty o framugę, Witold wdychał zapach wilgoci. Drżał z zimna, ale nie zamknął okna. Świeże powietrze go orzeźwiło. Wciąż odczuwał działanie leku, lecz powoli wracała jasność umysłu.

Odepchnął się od ściany i zataczając, podszedł do drzwi. Nacisnął klamkę. Nie ustąpiły.

Czego się, durniu, spodziewałeś?, skarcił się w myślach. Wrócił do łóżka, które przyciągało jak magnes. Podparł głowę rękoma.

Domyślał się, że wstrzyknięta substancja nie podziałała jak należy. W przeciwnym razie nie byłoby go już wśród żywych. Nie łudził się, że puszcza go wolno. Był im potrzebny, dopóki nie wyjawi, gdzie jest Anna Wereszyńska.

Musiał się stąd wydostać.

Pozostawało pytanie – jak.

Kiedy tak siedział i obmyślał sposób ucieczki, gdzieś z prawej strony dobiegł go odgłos kroków.

Drgnął.

Z ciemności wyłonił się Kuraś, który dotąd po cichu obserwował Witolda.

Ten uniósł głowę i przetarł oczy, jakby im nie wierzył.

– Co tu robisz? Jak tu wszedłeś? – spytał.

– Chce pan stąd wyjść?

Witold skinął tylko głową. W tej chwili nie było go stać na nic więcej.

Kuraś poprowadził Witolda tą samą drogą, którą tu dotarł. Wąskim korytarzykiem, który łączył oba pokoje.

Zmęczony tą krótką wędrówką Korczyński usiadł na łóżku. Przed oczami miał mroczki. Próbował opanować słabość, ale organizm go nie słuchał. Głowa opadała mu bezwiednie. Mocne szarpnięcie za ramię przywróciło go do rzeczywistości.

Kuraś wyciągnął w jego stronę kubek z wodą.

– Napij się pan.

Pierwszy łyk orzeźwił Witolda. Dopił do końca.

– Wstawaj pan, idziemy. Nie ma czasu. – Chłopak nie dawał za wygraną.

Witold powoli dźwignął się na nogi.

– Chodź pan. Nie może pan tu dłużej zostać.



Szli wolno i ostrożnie wzdłuż ściany, prawie niewidoczni w wieczornej szarówce i deszczu. Jak cienie dotarli do załomu. Od furtki w okalającym pałac murze dzielił ich trawnik – dwadzieścia metrów pustej przestrzeni.

Witold spojrzął na chłopca.

– Idziesz ze mną?

Chłopak pokręcił głową.

– Ja tu zostaję.

– Jesteś pewien?

– Tak. Niech pan już idzie.

Witold oderwał się od ściany.

Kuraś patrzył za oddalającym się Witoldem – z każdą chwilą coraz mniej pewny, czy podjął słuszną decyzję.

Nagle zamarł. Usłyszał za sobą kroki. Chwilę później mocne dłonie zasłoniły mu usta. Szarpnął się, ale ucisk nie zelżał. Kuraś ugryzł kneblujące go palce. Odpowiedź była gwałtowna. Mężczyzna, od którego pachniało alkoholem, uderzył chłopca w twarz. Z rozciętej wargi popłynęła wąska strużka krwi. Kuraś osunął się bezwładnie na ziemię.



Do furtki w murze pozostało Witoldowi zaledwie parę kroków, kiedy ktoś zagroził mu drogę.

– Proszę, proszę – kto to się wybrał na spacer...

Przez ścianę deszczu patrzył wprost w zimne oczy Reiner. Nie zdążył nic powiedzieć. Mocny, precyzyjny cios obrócił nim. Witold upadł twarzą w wilgotną trawę. Na kilka chwil stracił przytomność.

Reiner pochylił się i chwycił Korczyńskiego za włosy.

– Z wielką chęcią bym cię zabił. Niestety, jesteś jeszcze potrzebny. Ale to kwestia czasu. Ciekawe, czy będziesz błagał o litość tak jak ten staruch, twój przyjaciel. Kiedy go zabijałem, kwiczał jak zarzynana świnia – wysyczał.

Puścił Witolda.

– Wstawaj!

Słowom towarzyszyło mocne kopnięcie w zebra.

Witold się nie poruszył.

– Wstawaj, psie! Nie mam czasu cackać się z tobą.

Mężczyzna upajał się swoją przewagą. Znów kopnął Witolda w zebra. Ten syknął z bólu. Wbił paznokcie w ziemię. Prawą ręką wyczuł jakiś twardy przedmiot. Zacisnął na nim dłoń.

Dźwignął się na kolana.

– Kiepsko wyglądasz.

Reiner patrzył na niego z kpiącym uśmiechem.

Chwilę później uśmiech zamarł na jego twarzy. Uderzony kamieniem w głowę, przewrócił się na ziemię.

Witold nie panował nad sobą. Nie wiedział, skąd ma tyle sił. Uderzał raz za razem. Przestał dopiero wówczas, kiedy zobaczył na swoich dłoniach krew.

Odrzucił kamień jak najdalej.

Pochylił się na Reinerem.

– Co z nim?

Witold zerknął przez ramię.

Kuraś stał zaledwie trzy kroki dalej. Witold nie miał wątpliwości, że chłopak widział wszystko.

Uśmiechnął się smutno.

– Nie żyje.

Chłopiec pokiwał głową.

– To był zły człowiek?

– Bardzo zły.

– Zatem zasłużył na śmierć.

Witold stał wstrząśnięty. Jak prosta była filozofia chłopca. Jak prosty był jego świat.

Reiner zabił Henryka w bestialski sposób. Ale czy zasługiwał na śmierć?

Nikt na nią nie zasługuje pomyślał gorzko Witold. Ale nie odpowiedział chłopcu. Nie było czasu tłumaczyć, że czarne nie zawsze jest czarne, a białe – białe.

Spojrzał za siebie w okna oświetlone lampami. Wolno przeniósł wzrok na chłopca.

– Nadal chcesz tu zostać?

Kuraś zawahał się. Pomyślał o latach spędzonych na ulicy.

– Tak.

Witold nie próbował wpłynąć na jego decyzję.

– Gdybyś się rozmyślił, znajdziesz mnie na Świętego Sebastiana pod dwunastką.

Zapamiętasz?

Emilia

1 października 1904 r. – sobota wieczorem

Zataczając się, Witold szedł środkiem ulicy. Miał tylko spodnie i koszulę. Bez butów wzbudzał zainteresowanie nielicznych przechodniów.

Nic nie czuł. Nie wiedział, gdzie jest ani dokąd zmierza. Kierowany jakimś wewnętrznym głosem, po godzinie błądzenia dotarł na plac Latarni. Oparł się o barierkę mostu nad Rudawą i przez kilka chwil zbierał siły.

Ruszył prosto przez most. Wyminęła go dorożka, która zatrzymała się kilka metrów dalej. Fiakier, siwy mężczyzna w meloniku, długo przyglądał się Witoldowi.

– Co panu jest?

Witold nie słyszał.

– Ja pana znam. Panie Witoldzie, co panu?

Mężczyzna spojrzał w stronę koszar artylerii.

– Wsiadaj pan, póki nikt nas nie widzi.

Witold wtoczył się do dorożki, choć nadal nie wiedział, kim jest człowiek, który mu pomaga.



Burza przyszła wczesnym popołudniem. Gwałtowny grzmot wyrwał Jadwigę z drzemki, w którą zapadła po zjedzonym w samotności obiedzie. W pierwszej chwili kobieta nie wiedziała, co się dzieje. Dopiero gdy odegnała resztki snu, zrozumiała, co było źródłem hałasu. Leżała przez chwilę, wsłuchując się w jednostajny szum deszczu. Wstała i przeszła do kuchni. Usiadła przed oknem. Patrzyła na duże krople uderzające o szybę. Grzmotnęło blisko, bardzo blisko. Na sekundę izbę rozjaśnił błysk. Jadwiga przeżegnała się.



Witold drżał z zimna. Nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Jadwiga w pierwszej chwili pomyślała, że Witold jest pijany. Szybko zrozumiała swoją pomyłkę. To nie była wina alkoholu.

Ponieważ daremnie próbowała się czegoś dowiedzieć, chciała zaprowadzić Witolda do łóżka.

Zaprotestował.

Ostatnim wysiłkiem woli podszedł do krzesła.

Jadwiga wyciągnęła z szafy gruby pled, otuliła nim Witolda i poszła do kuchni zaparzyć herbatę.

Do parującej filiżanki dołała kilka kropli wódki. Na siłę wetknęła mu filiżankę w dłoń. Pił drobnymi łyżkami, parząc sobie usta. Herbata przyjemnie rozgrzewała od wewnątrz.

Pięć minut później udało mu się opanować drżenie rąk. Z jego twarzy zniknęła nienaturalna bledość.

Drobna poprawa nie uspokoiła Jadwigi.

Wstała.

– Sprowadź doktora – powiedziała twardo.

Zareagował gwałtownie. Nie zdążyła odejść nawet na krok. Chwycił ją mocno za rękę.

– Nie – rzucił tylko.

Zamarła w bezruchu.
– Ależ panie Witoldzie, pan jest... – Płatała się. Głos jej zadrżał. Skrywane przez wiele dni emocje szukały ujścia. – Najpierw pan Henryk, a teraz pan...
Nie potrafiła dłużej nad sobą zapanować. Zapłakała.
– Pan mi tu jeszcze... – Nie musiała kończyć. Domyślił się, co chciała powiedzieć. Jego uścisk zelżał. Witold głaskał Jadwigę po dłoni jak dziecko – tak długo, aż szloch minął.
– Spokojnie. Nic mi nie będzie – mówił kojącym głosem, zaskoczony jej wybuchem. Odsunęła się i otarła łzy. Wyglądała na zakłopotaną.
Na bladej twarzy Witolda pojawił się uśmiech.
– Przygotuje mi teraz Jadwiga kąpiel i mocną kawę.
Skinęła głową. Zawstydzona swoim wybuchem szybko zakrzętnęła się w łazience. Kwadrans później Witold był innym człowiekiem. Zmył z siebie ostatnie przeżycia, zmienił ubranie.
Siedział przy stoliku i dopijał drugą filiżankę kawy.
Jadwiga obserwowała go uważnie.
Milczeli.
Witold odstawił pustą filiżankę na stolik i spojrzał na Jadwigę przytomniej. Powoli odzyskiwał siły i jasność myślenia.
– Sprowadzi mi Jadwiga dorożkę – powiedział.
Jadwiga wpatrywała się w Witolda wzburzona.
– O tej porze, panie Witoldzie? Jest pan słaby. W takim stanie nie powinien pan nigdzie się ruszać. Pan potrzebuje lekarza.
Witold w duchu przyznał jej rację. Wysiłkiem woli zapanował nad wszechogarniającym bólem, który promieniował od poobijanych żeber.
Kobieta patrzyła na niego z wyczekiwaniem. Miała cichą nadzieję, że Witold zrezygnuje z wyjścia.
Jakże się myliła w swych domysłach.
Witold wiedział, że igra z własnym życiem. Ale musiał doprowadzić pewne sprawy do końca. Nie mógł sobie pozwolić na chwilę słabości.
– Dorożka...
Popatrzył na nią tym wzrokiem, który zawsze napawał ją lękiem. Jadwiga poddała się. Nie zatrzymam go, pomyślała zrezygnowana.
– Dokąd chce pan jechać?
– Do Prądnika.
Jadwiga zarzuciła chustę i wyszła.



Odprowadziła Witolda do dorożki. Patrzyła na niego, bojąc się, że widzi go po raz ostatni. Kiedy wsiadał, szybko przeżegnała się. Była pewna, że tego nie dostrzeżę.
Witold uśmiechnął się kącikami warg.
– Wrócę, Jadwigo. Na pewno wrócę...
Dorożkarz był młodym człowiekiem o twarzy zaczerwienionej z niewyspania.
– Dokąd? – spytał, oglądając się na pasażera.
Witold nie odpowiedział od razu.
– Na Biskupią – rzucił, zmieniając zdanie.



Witold stał w progu, opierając się o framugę. Prawą dłoń zaciskał na żebrach. Eigner oświetlił gościa lampą. O nic nie pytał, chociaż nie podobał mu się wyraz jego twarzy. W milczeniu wprowadził przyjaciela do saloniku.

– Gdzie ona jest? – spytał Witold zadziwiająco mocnym głosem.

Gospodarz wskazał głową na pokój obok. Witold ominął go. Delikatnie otworzył drzwi. Skrzypnęły zawiasy.

Emilia leżała na boku, z prawą dłonią podłożoną pod głowę. Oddychała lekko i miarowo. Witold po cichu podszedł do łóżka.

– Emilio – szepnął, chociaż wiedział, że go nie usłyszy.

Odgarnął z jej czoła niesforny kosmyk. Nie zareagowała.

Przez uchylone okno wlatywał zapach kwiatów. W trawie grał świerszcz. Gdzieś nieopodal zaszczekał pies.

Witold poczuł znużenie. Przeżycia ostatnich godzin dały o sobie znać. Ostrożnie położył się obok Emilii, mówiąc sobie, że to tylko na chwilę. W panującej ciszy długo przyglądał się jej spokojnej twarzy. Bał się, że młoda Hornowska nigdy nie zapomni ostatnich wydarzeń.

Zasnął niepostrzeżenie, ukołyszany jej miarowym oddechem.

Śnił.

Szedł wąską ścieżką w gąszczu krzewów, które boleśnie raniły mu dłonie. Choć bardzo chciał, nie mógł wydostać się z gęstwiny. Wokół było ciemno. Gdzieś z boku dochodziło wycie wilków.

Wśród krzewów dostrzegł światełko. Ktoś szedł z naprzeciwka, przyświecając sobie lampą naftową. Witold przyspieszył. Odgarnął dłonią gałęzie.

Reiner patrzył na niego jednym okiem. W miejscu, gdzie powinno być drugie, ziała czarna dziura.

Witold obudził się gwałtownie, zdezorientowany. Wyprostował zdrętwiałą dłoń.

Zaskrzypiały drzwi.

Do pokoju zajrzał Eigner. Na jego twarzy błędził uśmiech.

Witold usiadł.

– Która godzina?

– Po dziewiątej.

Przetarł dłonią oczy, odgarniając resztki snu.

– Jak długo spałem?

– Może kwadrans.

Westchnął.

Nie opuszczało go poczucie, że tracił czas. A nie miał go zbyt wiele. Nie zdradził Wereszyńskiemu, gdzie ukrywa się jego żona, ale jeśli chciał ją wywieźć z Krakowa, musiał działać szybko.

– Nie chciałem cię budzić – wyjaśnił Eigner, kiedy zobaczył jego niepewną minę.

– Trzeba było – mruknął Witold.

Przeszli do salonu.

– Co zamierzasz?

– Wracam do Prądnika...

Eigner patrzył na Witolda nieodgadnionym wzrokiem. Zastanawiał się, co ma w tej sytuacji zrobić. Z jednej strony nie mógł zostawić Emilii samej, z drugiej – bardzo chciał

przyjacielowi pomóc.

– Dam sobie radę – powiedział cicho Witold, odgadując myśli fiakra. Wstał. Skrzywił się z bólu. Żebra znów dały o sobie znać.

– Widzę. Jesteś okazem zdrowia.

Na drwiącą uwagę Witold odpowiedział jedynie uśmiechem.

– Opiekuj się nią. – Wskazał pokój, w którym spała Emilia.

Emilia się poruszyła. Po długim śnie wracała na jawę. Najpierw usłyszała dochodzący z oddali cichy głos. Nie wiedziała, czy się obudziła, czy to nadal sen.

Przez jej ciało przeszedł dreszcz. Wyczuła czyjąś obecność. Wolno otworzyła oczy. W ciemności dostrzegła jedynie sylwetkę. Kim był ten, który tak bacznie jej się przyglądał?

– Pan Witold? – spytała z nadzieją.

– Jak się pani czuje?

Głos należał do kogoś innego.

– To pan?

Eigner postawił lampę na stoliku. Hornowska z ufnością wpatrywała się w jego twarz. Przed dwoma dniami wszedł jak cień do pokoju, w którym ją przetrzymywano. Wiedziała, że nie był jednym z nich. Szepnął tylko, że przysłał go Korczyński. Dopiero wtedy go rozpoznała.

Położył palec na ustach i wyprowadził ją na zewnątrz. Niewiele pamiętała z tego, co nastąpiło później. Poprowadził ją w ciemność, wąską ścieżką – do dorożki, która stała ukryta wśród drzew.

Kiedy ruszyli, zasnęła.

Ocknęła się tutaj, w tym domu, przekonana, że jest bezpieczna. Miała nadzieję, że jej koszmar dobiegł końca.

Emilia posłała mężczyźnie lekki uśmiech.

– On tu był?

Skinął głową.

– Chciałabym z nim porozmawiać... – oznajmiła zadziwiająco mocnym głosem.

– W tej chwili to raczej niemożliwe. Przed godziną wyjechał.

– Dokąd?

Lepiej, kobieto, żebyś nie wiedziała, pomyślał.

– Jutro odwiozę panią do hrabiny – zręcznie zmienił temat.

Spojrzała w ciemność za oknem.

– Nie może pan zrobić tego teraz?

– Jest późno, panienko. Jutro rano pojedziemy do domu.

Nie protestowała. Miał rację. Jej przyjazd o tak późnej porze wywołałby niepotrzebne zamieszanie. Chciała oszczędzić ciotce emocji.

– Czy moja ciocia wie o wszystkim? – zadała jeszcze pytanie, które od dłuższego czasu nie dawało jej spokoju.

– Nie. I byłoby lepiej, gdyby tak pozostało.

Prądnik

1 października 1904 r. – sobota wieczór

Anna Wereszyńska siedziała przed toaletką i rozczesywała włosy. Po kilku minutach odłożyła szczotkę i popatrzyła w swoje lustrzane odbicie. Pod oczami widziała sińce – oznakę kolejnej nieprzespanej nocy.

Miała dosyć bezczynności – tkwienia w jednym miejscu niczym w więzieniu, którego nie można opuścić. Chciała mieć to wszystko za sobą, znaleźć się jak najdalej stąd, zapomnieć o problemach i strachu.

Czekanie zabijało w niej resztki sił.

Co z tego, że Witold przed wyjazdem obiecywał jej pomoc, skoro od dwóch dni nie miała od niego żadnych wieści.

Próbowała zabić czas. Spacerowała po lekko zaniedbanym ogrodzie, czytała, grała na fortepianie.



Kilka minut przed dziesiątą usłyszała na korytarzu kroki. Chwilę później ktoś cicho zapukał. Do pokoju zajrzała Jasińska. Kobieta była jeszcze ubrana. Nigdy nie chodziła spać przed północą, oddając się wieczorami swojej pasji. Spod jej rąk wychodziły prawdziwe cudenka – dziergane na drutach serwety.

Wereszyńska spojrzała na nią wyczekująco.

– Ma pani gościa – rzuciła rezydentka.

Wereszyńska wstała.

– Witold?

– Tak. Czeka na zewnątrz. Przyszłam spytać, czy chce pani z nim rozmawiać. Gdyby to ode mnie zależało... – Nie dokończyła.

– Proszę go wpuścić.

– Jest pani pewna? – Jasińska sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

Wereszyńska skinęła głową.

Rezydentka wzruszyła ramionami.

– Jak pani sobie życzy.

Przez niedomknięte drzwi Wereszyńska słyszała oddalające się kroki. Z sieni dobiegły odgłosy rozmowy.

W pełnej napięcia ciszy czekała na przybycie swojego gościa.



Witold długo stał przy drzwiach i milczał.

Nie wyglądał dobrze.

Wereszyńska w pierwszym odruchu chciała podejść i jak dawniej wtulić się w jego ramiona. Nie zrobiła tego. Powstrzymało ją zimne spojrzenie Witolda.

– Martwiłam się o ciebie – powiedziała cicho.

Zmusił się do uśmiechu.

– Co teraz będzie? – spytała.

Długo czekała na odpowiedź. Korczyński wciąż odczuwał działanie leku. Myślenie przychodziło mu z trudem.

- Zabiorę cię stąd.
- Dokąd?
- Mam przyjaciół w Wiedniu.
- Mogę im ufać?
- Oczywiście. Kiedyś pomogłem im w trudnej sytuacji i...
- Mają wobec ciebie dług wdzięczności? – dokończyła.

Szybko wyprowadził ją z błędu.

- Nie, Heleno – powiedział z bolesnym grymasem na twarzy. – To moi przyjaciele.

Wereszyńska przez kilka chwil wpatrywała się w niego z nadzieją.

- Co będzie z nami? – spytała cicho.

- Z nami? – powtórzył jak echo.

- Zostaniesz tam ze mną?

Uśmiechnął się gorzko.

- Nie.

Jedno słowo, które rozwiało jej nadzieje.

- Połubińscy zaopiekują się tobą. Będziesz tam bezpieczna...

Nie skończył. Gdzieś za drzwiami dobiegł dziwny dźwięk. Odgłos uderzenia? Strzału?

Wereszyńska spojrzała z lękiem na Witolda.

- Co to było?

Witold nasłuchiwał. Dźwięk powtórzył się. Dobiegał z prawego skrzydła, gdzie swój pokój miała rezydentka. Dwa strzały, jeden za drugim.

Kobieta zadrzała, kiedy w dłoni Witolda dostrzegła broń. W jej oczach pojawił się strach.

Witold zerknął na nią.

- Zostań – syknął.

W całym domu panowała niczym niezmacona cisza. Było ciemno.

Witold szedł korytarzem, sprawdzając wszystkie pomieszczenia, aż dotarł do salonu.

Drzwi były lekko uchylone. Przez szparę wylewało się światło.

Przekroczył próg i zamarł w bezruchu. W świetle lampy dostrzegł Stanisława

Wereszyńskiego. Mężczyzna siedział w fotelu pod ścianą i z lekkim uśmiechem patrzył na Witolda.

- Jak pan widzi, trudno się ode mnie uwolnić – rzucił.

Przemysławiec nie był sam. Za nim, w ciemności, stał potężny mężczyzna. Obok, bliżej światła, doktor Roszkowski.

Witold zdawał sobie sprawę, że nie ma szans, a jednak jakaś siła pchała go do przodu.

Uniósł broń i wycelował ją w Wereszyńskiego. Mężczyzna nawet nie drgnął. Zachował spokój jak człowiek, który wie, że wyjdzie cało z każdej opresji.

Cień poruszył się. Wereszyński dał mężczyźnie znak, aby pozostał na miejscu. Ten powstrzymał się od działania i uważnie obserwował Witolda.

Witold mocniej zacisnął dłoń na broni. Wystarczyło nacisnąć spust.

– Śmiało, niech pan strzela. Moja śmierć, co prawda, niczego nie zmieni... – Wereszyński nie tracił spokoju. Uśmiech nie schodził z jego warg. – Wiem, że jest pan do tego zdolny, ale...

Nie dokończył. Uwagę Wereszyńskiego przyciągnął szmer dochodzący z sieni. Po chwili w drzwiach pojawiła się jego żona.

Kobieta przeszła obok Witolda i stanęła między nim a swoim mężem, na linii strzału.

Witold opuścił broń.

- Miałaś zostać w pokoju – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Wereszyński patrzył na niego rozbawiony.

– I co teraz, panie Korczyński? – W jego głosie zabrzmiała kpina. Przemysłowiec wykonał prawie niedostrzegalny ruch dłonią. Potężny mężczyzna, który dotąd posłusznie ukrywał się w cieniu, postąpił krok w stronę Witolda i odebrał mu pistolet.

– Teraz już lepiej – mruknął Wereszyński i spojrzał ciepło na swoją żonę. – Wszystko w porządku, kochanie? – zwrócił się do niej z pytaniem, na które nie odpowiedziała.

Przeniósł wzrok na potężnego mężczyznę.

Rozumieli się bez słów.

Mężczyzna chwycił Wereszyńską pod ramię.

– Idziemy, proszę pani... – Łagodny głos nie pasował do jego wyglądu.

Wereszyńska nawet nie drgnęła. Błagalnie spojrzała na męża.

Na twarzy przemysłowca pojawiło się zniecierpliwienie.

– Zostaw nas samych, kochanie – polecił.

Wereszyńska знаła go doskonale. Wiedziała, że nie zmieni jego decyzji.

Trzasnęły drzwi.



Przemysłowiec odetchnął z ulgą.

Zamyślony, patrzył w miejsce, gdzie przed chwilą stała jego żona. Pozostał po niej tylko delikatny zapach perfum.

– Przegrał pan – powiedział. – Od samego początku popełnił pan wiele błędów...

Witold mu przerwał.

– Gdzie jest Jasińska?

Pytanie zdziwiło Wereszyńskiego. Zmarszczył czoło.

– Jasińska? – Machnął lekceważąco ręką, bagatelizując sprawę. – Daj pan spokój z jakąś Jasińską.

– Gdzie ona jest?

Słyszac twardy głos Witolda, przemysłowiec spojrzał na niego inaczej.

– Wciąż mnie pan zaskakuje. Zamiast martwić się o własną skórę, pan wypytuje o jakąś kobietę.

Roszkowski, który do tej pory stał w milczeniu, pochylił się w stronę pryncypała i szepnął mu kilka słów. Na twarzy Wereszyńskiego pojawiło zrozumienie.

– Nie mam dla pana zbyt dobrych wieści. Obawiam się, że ta kobieta nie żyje.

Witold przymknął oczy.

Zbyt dużo ofiar, pomyślał, mocno zaciskając pięści.

– Oczywiście to pana wina – rzucił Wereszyński. – Miał pan tylko odnaleźć moją żonę. Ale pan musiał grzebać w moim życiu. Niepotrzebnie wciągnął pan w to wszystko swojego przyjaciela. Pierwszy błąd. Drugi – po co wypytywał pan o mnie pokojówkę?

– Ją też pan zabił?

Wereszyński wydawał się nie słyszeć tego pytania, gdyż ciągnął z niezmaconym spokojem:

– A w końcu ten chłopak, którego przekonał pan do współpracy – nie wiadomo, w jaki sposób. Szkoda go. Doktor był niepokieszony. Wydawał się odpowiednim materiałem do jego badań.

W jednej chwili Witold wszystko zrozumiał.

– To pan zabił tych chłopców? – spytał zmienionym głosem.

Wereszyński porzucił poprzedni wątek.

– Kogo?

Witold z trudem przypomniał sobie nazwiska wychowanków zakładu, których ciała wyrzuciła Wisła.

– Jakub Taraś i Jasiak Podgórski.

Wereszyński pokiwał głową.

– Cóż, postęp w medycynie wymaga poświęceń. Ci chłopcy wcześniej czy później i tak by umarli. To dzieci ulicy, wyrzutki społeczne. Ludzie chwasty, którym dałem szansę. Ich los był przesądzony od chwili, kiedy przyszli na świat.

Przez chwilę Witold milczał, przerażony tymi słowami.

– A Tadeusz Karcz? Miał rodzinę.

Przeniósł wzrok na doktora.

– Zastanawia mnie, jak pan mógł zgodzić się na takie działania? „Będę stosował zabiegi lecznicze wedle mych możliwości i zdolności ku pożytkowi chorych, broniąc ich od uszczerbku i krzywdy...” – zacytował fragment przysięgi lekarskiej.

Doktor spiorunował Witolda wzrokiem.

– „Nikommu, nawet na żądanie, nie podam śmiertelnej trucizny ani nikomu nie będę jej doradzał...” – ciągnął Witold. – Do jakiegokolwiek wejść domu, wejść doń dla pożytku chorych, wolny...”. Jak to dalej brzmi, doktorze? – Patrzył na niego wyczekująco.

– „...od wszelkiej chęci krzywdzenia i szkodenia” – dokończył Roszkowski.

– Właśnie.

W pokoju zapadła cisza.

Wereszyński zaśmiał się.

– Pomylił się pan w ocenie pewnych zdarzeń. Prawda jest taka, że to nie ja znalazłem doktora, ale on mnie – wtrącił się do tej wymiany zdań. – Mój wkład w niewątpliwie postęp, jakim będzie wynalezienie szczepionki, jest skromny. Ja tylko stworzyłem odpowiednie warunki do prowadzenia badań.

Zerknął na Roszkowskiego. Rozumieli się bez słowa. Doktor skinął głową i podjął rozpoczętą przez Wereszyńskiego myśl.

– Pewnie zastanawia się pan, co mnie do tego skłoniło? – spytał Witolda. – Wiem, że trudno będzie to panu zrozumieć, ale proszę chociaż spróbować. Oczywiście, jak wielu moich kolegów po fachu, składałem przysięgę Hipokratesa, ale... – Przerwał. – Widzi pan, brałem udział w wojnie – nieważne w tej chwili, jakiej i gdzie. Tam widziałem wiele okropieństw, a wszystko w imię wyższych celów. Walka za ojczyznę, cara, honor, a nawet – w imię Boga. To zmusiło mnie do przewartościowania pewnych spraw. Tych, którzy idą na wojnę, nie mogę uratować, ale tych, którzy umierają, bo nie ma dla nich odpowiednich leków – owszem. To wielkie wyzwanie, a ja miałem szczęście. Spotkałem człowieka, który zrozumiał moje marzenia.

Zerknął na Wereszyńskiego.

– Każde wielkie dzieło wymaga poświęceń, panie Witoldzie. Wiem, co chce pan powiedzieć. Zapewniam pana, nie jestem szalony. W każdym razie nie bardziej od tych, którzy wysyłają młodych żołnierzy na wojnę. Lek, nad którym pracuję, wyleczy wszystkie choroby...

– Krótko mówiąc, spodziewa się pan znaleźć panaceum... – rzucił ironicznie Witold.

– Może pan to nazywać, jak chce.

– Nigdy nie uda się panu tego osiągnąć. – Witold chciał zachwiać jego pewnością.

– Nie?

Zamilkł.

– Ale chociaż próbuję coś zmienić. Próbuję...

– Jakim kosztem! – Witold uniósł głos. Miał już tego dosyć. – Zabił pan wiele

niewinnych osób. Młodych ludzi, którzy powinni iść swoją drogą.

– Te wyrzutki nazywa pan ludźmi?

Słowa zawisły w powietrzu.

– A Kacper? Wasz stajenny?

Tym razem odpowiedzi udzielił Wereszyński.

– To był przypadek. Chłopak zobaczył coś, czego nie powinien widzieć. Znalazł się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie. Ma pan jeszcze jakieś pytania?

Wereszyński sprawiał wrażenie człowieka, który dobrze się bawi. Spojrzał na zegarek.

– Zastanawiam się, co mam z panem zrobić. W zasadzie nie mam litości dla tych, którzy stają mi na drodze. Powinienem pana zabić, ale moja żona nigdy by mi tego nie wybaczyła.

Wstał.

– Wyjaśniliśmy sobie wszystko. Na mnie już pora. Miło mi było pana poznać. Nie mówię do widzenia, gdyż jest to nasze ostatnie spotkanie. To za małe miasto, abyśmy żyli obok siebie.

Rozumie pan, co mam na myśli?

Witold milczał.

Przemysław patrzył na niego zimnym wzrokiem.

– Kiedy zatem wraca pan do Paryża?

W odpowiedzi usłyszał ciszę.

– Mam nadzieję, że w ciągu tygodnia pozalátwia pan wszystkie swoje sprawy.

Po wyjściu niedawnego zleceniodawcy Witold długo siedział w fotelu.

Nie dawała mu spokoju myśl, że od samego początku był tylko nic nieznaczącym pionkiem w grze, którą rozgrywał Wereszyński.

Nocne wędrówki

3 października 1904 r. – poniedziałek

4 października 1904 r. – wtorek

Przez następne dni Witold nie zrobił niczego, aby pozamykać swoje sprawy. Długo spał, jadł późno śniadania, chodził po mieszkaniu w szlafroku. Dopiero przed drugą ubierał się i wychodził na spacer, z którego wracał na obiad około trzeciej. Potem siadał do fortepianu. Salon zalewały smutne, rzewne dźwięki. Wtórował im padający od kilku dni deszcz, którego krople jednostajnie uderzały o szyby.

Jadwiga, która nigdy nie lubiła tej jego gry, uciekała do swojego pokoju.

Mniej więcej po godzinie Witold z hukiem zamykał klapę fortepianu i udawał się do gabinetu. Dopiero wieczorem wyganiał go stamtąd głód.

Gospoia przygotowywała jego ulubione potrawy. Mimo to Witold ani razu jej nie pochwalił, a przecież kiedyś zdarzało mu się to często.

Korczyński prawie z nią nie rozmawiał. Ograniczał się do półsłówek. Każda próba nawiązania do wydarzeń sprzed paru dni kończyła się niepowodzeniem. Witold patrzył na nią swoim nieprzyjemnym wzrokiem, zniechęcając do jakichkolwiek pytań.

Odniosła wrażenie, że Witold ucieka przed ludźmi i kłopotami, jakie niosą ze sobą.

Trzeciego dnia wyszedł z domu dopiero wieczorem. Nieśmiało spytała, kiedy wróci. W odpowiedzi wzruszył tylko ramionami. Na jego twarzy dostrzegła determinację.

Odprowadziła go do drzwi. Stała w progu tak długo, aż zniknął jej z oczu. Z każdą chwilą była coraz bardziej zaniepokojona. Wyczuwała, że coś złego wisi w powietrzu.



Stanisław Wereszyński uważnie analizował zapisy w księdze. Prowadząc liczne interesy, umiał odczytywać operacje księgowe. Przy niektórych kwotach stawiał duży znak zapytania i wykrzyknik.

Za oknem zapadła jesienna szarówka.

Wereszyński był w domu sam. Żonę, pod czujnym okiem kuzynki, wyprawił do Paryża, gdzie miała odpocząć po ostatnich ciężkich przeżyciach. Przed wyjazdem obiecał, że dołączy do niej, kiedy tylko upora się z bieżącymi sprawami.

Dochodziła jedenasta. Od ślęczenia nad dokumentami bolały go plecy. Wyprostował się, a kiedy to nie pomogło – wstał. Przeszedł się kilka razy po gabinecie. Przystanął przed oszkloną gablotą i spojrzął na gromadzoną przez lata kolekcję mosiężnych figurek. Podumał, pokiwał zadowolony głową.

Miał już wracać na swoje miejsce, kiedy w szybie mignął jakiś cień. Szybko odwrócił się w stronę drzwi. Zaskoczony, przez kilka chwil nie był w stanie nic powiedzieć.

– Co pan tu robi?

W dłoniach mężczyzny, który wszedł do gabinetu, zobaczył broń. Zadrżał.

– Co pan?

Cofnął się o krok. Za nim znajdowała się tylko gablotka. Oparł się plecami o zimną szybę, jakby chciał tam znaleźć schronienie.

– Co pan? – powtórzył.

W odpowiedzi mężczyzna uśmiechnął się tylko.

Wereszyński szybko otrząsnął się z zaskoczenia.

Spojrzał ponad ramieniem mężczyzny na drzwi. Był pewien, że za chwilę pojawi się w nich ktoś ze służby.

Kiedy uświadomił sobie, że jest już bardzo późno i wszyscy śpią, po raz pierwszy zwątpił. Tych, którzy mogliby mu pomóc, odprawił przecież do Paryża.

Trwało to tylko chwilę.

Nieraz bywał przecież w trudnej sytuacji. Wychodził cało z każdej opresji. Wystarczyło tylko znaleźć odpowiedni klucz.

– Mam pieniądze, zapłacę... – powiedział spokojnie.

Mężczyzna przestał się uśmiechać.

– Nie każdego można kupić, panie Stanisławie – przemówił. – Powinien pan już dobrze o tym wiedzieć.

Wereszyński widział, jak palec gościa wolno zaciska się na spuście.

Jak cień przebiegła mu myśl, że to już koniec. Próbował ją odegnać, ale nie potrafił:

– Nie możesz tego zrobić...

– Dlaczego pan tak uważa?

Lodowate słowa zabiły wszelką nadzieję.

– Pan nie jest taki... – Wereszyńskiemu zabrakło argumentów.

– Nie?

Zabrzmiął odgłos wystrzału.

Wereszyński poczuł szarpnięcie. Na koszuli pojawiła się czerwona plama krwi. Dotknął jej palcami. Nie czuł bólu.

– Dlaczego? – wykrztusił.

Oczy Wereszyńskiego przysłoniła mgła.

– Bo jest pan złym człowiekiem.

Były to ostatnie słowa, jakie usłyszał.

Nie widział mężczyzny, nie widział pokoju, a po chwili – oprócz białego światła – nie widział już nic.



Witold wrócił do domu tuż przed dwunastą. Wszedł do cichego salonu i usiadł w fotelu. Po chwili namysłu podszedł do barku i sięgnął po butelkę absyntu. Uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie ulubioną kawiarnię na Montmartrze, w której barman uraczył go tym trunkiem, biorąc go za członka paryskiej bohemy.

Witold potrzebował czegoś mocniejszego. Przygotowanie trunku wymagało trochę czasu, ale przecież nigdzie się nie spieszył.

Wolno nalał absynt do szklaneczki. Na wierzchu położył łyżeczkę z cukrem. Przelął wodę przez cukier, który się rozpuścił. Patrzył, jak każda kropla wody zamienia się w białą linię, tworząc u dołu szklanki charakterystyczne zmętnienie.

Pił małymi łydkami, czując, jak przyjemne ciepło rozchodzi się po jego ciele. Przed pierwszą dopijał trzecią porcję, kiedy Jadwiga, zaniepokojona szmerami dochodzącymi z salonu, wychynęła ze służbówki.

Uniosła lampę.

– To pan?

– Myślała Jadwiga, że duch? – Witoldowi lekko plątał się język.

Spojrzała zaszpanym wzrokiem na pobladłą, zmęczoną twarz mężczyzny, butelkę

i trzymaną w dłoni szklaneczkę.

– Niech pan idzie spać – powiedziała łagodnie.

Milczał.

– Powinien pan odpocząć...

Witold bez słowa wstał ociężale. Szywnym krokiem ruszył w stronę schodów.

Kiedy ją mijał, poczuła zapach prochu.



Witold siedział w szlafroku i robił notatki w grubym, skórzanym notesie. Zegar wybił pełną godzinę. Korczyński doliczył się dziewięciu uderzeń, kiedy z korytarza dobiegł odgłos kroków. Po chwili do gabinetu wszedł inspektor Kurz. Długo stał w drzwiach, mierząc gospodarza ponurym wzrokiem.

Nawet jeśli był zdziwiony niezapowiedzianą wizytą, Witold nie dał tego po sobie poznać. Odłożył pióro, zamknął notes. Gestem dłoni zachęcił inspektora, by usiadł.

Kurz nawet nie drgnął.

Zapadła pełna oczekiwania cisza.

– Gdzie pan był wczoraj wieczorem? – spytał inspektor, przechodząc od razu do rzeczy.

Witold dłuższą chwilę patrzył na inspektora zmrużonymi oczyma.

– Dlaczego pan pyta?

Kurz milczał.

Obrzucił wzrokiem gabinet. Nie był tu po raz pierwszy, a jednak każdy szczegół wzbudzał w nim zainteresowanie. Popatrzył na kaburę z bronią, która leżała na parapecie.

– Mogę?

Nie czekał na odpowiedź. Zdecydowanym krokiem podszedł do okna, wyjął pistolet z kabury i dokładnie obejrzał. Nie miał wątpliwości, że z tej broni nie oddano ostatnio żadnego strzału.

Inspektor pokiwał głową. Usiadł na wskazanym przez Witolda fotelu. Spojrzał na gospodarza twardo.

– Chciałbym obejrzeć także pana drugi pistolet. – W jego głosie nie słychać było prośby.

Witold sięgnął do szuflady i przesunął go w stronę inspektora. Kurz poddał przedmiot dokładnym oględzinom. Po chwili odłożył go na biurko.

– Wiem dobrze, że wczoraj wrócił pan późnym wieczorem, a właściwie w nocy – wyłożył karty na stół inspektor. – Około dwunastej? Zgadza się?

– Tak.

Przez twarz Witolda przebiegł cień uśmiechu.

– Gdzie pan był?

– Na Kazimierzu.

– Co pan tam robił? – Inspektor rzucał pytania szybko, nie dając Witoldowi czasu do namysłu. Była to stara, wypróbowana przez niego metoda, która tym razem się nie sprawdziła.

Witold spojrzał inspektorowi prosto w oczy.

– Dowiem się, co się stało, czy nadal będziemy bawić się w kotka i myszkę?

Inspektor zawahał się.

– Wereszyński nie żyje. Został zastrzelony – rzucił, nie spuszczając oka z Witolda. – Jeden strzał. Śmierć nastąpiła po kilku sekundach.

Twarz Witolda pozostała nieodgadniona. Wolno sięgnął po cygaro. Przez kilkanaście sekund skupił na nim całą uwagę. Dopiero kiedy poczuł w ustach smak tytoniu, spytał:

- Dlaczego mnie pan o to podejrzewa?
- Nie darzyliście się sympatią – zauważył Kurz.

Tylko przez chwilę Witold zastanawiał się, skąd inspektor wiedział o jego znajomości z Wereszyńskim. Ostatecznie dał sobie z tym spokój. Kurz był policjantem, wiedział o wielu rzeczach, o których inni nie mieli nawet pojęcia.

– Wiele jest osób, których nie lubię, i zapewne wielu jest takich, którzy nie przepadają za mną. Ale to nie oznacza, że musimy się od razu zabijać. Nie jestem mordercą – powiedział, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Kurz przez chwilę zbierał myśli.

– Wróćmy do mojego pytania. Gdzie pan był przez cały wieczór i część nocy?

– Na Kazimierzu.

– Co pan tam robił?

– Spacerowałem.

Kurz wyczuł w głosie Witolda nutkę drwiny.

– Ostrzegam, panie Witoldzie. Jeśli nie odpowie pan teraz na wszystkie moje pytania, to bez względu na naszą dotychczasową współpracę, będę zmuszony zaprosić pana na Mikołajską. Obaj chyba tego nie chcemy.

Zmroził Witolda wzrokiem.

Witold przez chwilę rozważał słowa inspektora.

– Postaram się odpowiedzieć na wszystkie pana pytania – rzekł pojednawczo.

– Co pana zagnało na Kazimierz?

Witold zawahał się.

– Prowadzę pewną delikatną sprawę...

– Co to za sprawa?

Witold westchnął. Nie miał wyjścia.

– Mosze Stepowicza.

Kurz uniósł brwi zdziwiony.

– Co to za jeden?

– Jubiler. Ma zakład na Krakowskiej.

Kurz zachęcił Witolda, by mówił dalej.

– Mosze podejrzewał, że ktoś go okrada. Ściśle mówiąc, podejrzewał o to swojego zięcia.

Przez cały wczorajszy wieczór obserwowałem zakład jubilerski.

– Coś pan ustalił?

– Niestety nie.

Kurz wstał i strzepnął z nogawki niewidoczny pyłek.

– Jeśli ten Stepowicz nie potwierdzi pana słów...

– Potwierdzi...

Kurz był już przy drzwiach.

– Mam nadzieję – mruknął i wyszedł.



Minęło południe, a Witold wciąż chodził po mieszkaniu w szlafroku. Za oknem szalał wiatr. Deszcz nie ustępował, monotonicznie uderzając o szyby.

Witold nigdzie się tego dnia nie spieszył. Pozalał wszystkie bieżące sprawy. Inne, po ostatnich zdarzeniach, a zwłaszcza po śmierci Wereszyńskiego – nie miały już żadnego znaczenia.

Melancholijnym wzrokiem obserwował ulicę, po której z rzadka przemykali ludzie. Jego uwagę przykuł mężczyzna w ciemnym płaszczu, który spacerował po chodniku, chuchając w zziębnięte dłonie.

Witold podejrzewał, że to jeden z ludzi Kurza. Był tego prawie pewien. Mój anioł stróż, pomyślał.



Około trzeciej zszedł do jadalni na obiad.

Jadwiga w milczeniu krzątała się wokół stołu. Kiedy dopijał drugą filiżankę kawy, nie wytrzymała.

– A inspektor to czego chciał? – zadała pytanie nurtujące ją od rana.

Witold wzruszył ramionami i szybko zmienił temat.

Porozmawiał chwilę z Jadwigą, chociaż tak naprawdę mało go interesowały jej historie, najczęściej zwykłe, babskie plotki.



Było późne popołudnie, kiedy się wypogodziło. Witold wyszedł z domu niepostrzeżenie. Ponownie skorzystał z tylnego wyjścia do ogrodu, o którym mało kto wiedział. Bez określonego celu spacerował opustoszałymi ulicami Krakowa.

Kilka minut przed siódmą niebo znów zakryły ciemne chmury. Pierwsze krople deszczu dopadły Witolda na Plantach, nieopodal Hotelu Royal. Stąd miał na św. Sebastiana kilka kroków. Przyspieszył. Na ulicy panował niczym niezmacony spokój.

Witold nie zdążył zdjąć płaszcza, kiedy do drzwi zapukał Kurz.

Mężczyzna patrzył na gospodarza nieodgadniwym wzrokiem.

– Gdzie pan był? – spytał.

Witold zmrużył lekko oczy.

– Nie muszę się chyba tłumaczyć z każdego swojego ruchu?

– Chyba że jest pan podejrzany.

– A jestem?

Rozmowa nie przebiegała po myśli inspektora. Po części sam był temu winien – zadając takie pytanie sprowokował Witolda do reakcji.

Kurz zerknął na Jadwigę, która stała w salonie i zaniepokojona przysłuchiwała się wymianie zdań.

Witold wskazał na schody.

– Zapraszam do siebie...

Obejrzał się przez ramię na gospozię.

– Dwie ciepłe herbaty, Jadwigo. – Polecenie wydane suchym głosem nie pozostawiało wątpliwości. Witold nie życzył sobie, aby wtrącała się do ich rozmowy.



Korczyński patrzył na inspektora przenikliwie.

Nie po raz pierwszy Kurz pomyślał, że nie chciałby mieć w nim wroga.

– Dlaczego zostawił mi pan tego anioła stróża przed domem? – spytał gospodarz.

Kurz uśmiechnął się, kryjąc w ten sposób zażenowanie. Powinien przewidzieć, że Witold łatwo przejrzy jego grę, a zgubienie cienia nie będzie dla niego żadnym problemem. Kiedyś już

przekonał się, że śledzenie Witolda nie jest wcale takie łatwe.

„Gdybym chociaż miał innych agentów, a nie takich patalachów, co to nawet nie potrafią wykonać prostego zadania”, pomyślał.

Westchnął. Szczerłość w tej chwili była jak najbardziej wskazana. Postanowił niczego nie ukrywać.

– Cóż, chciałem mieć pewność, że nigdzie pan nie wyjedzie.

– Jednym słowem – że nie ucieknę?

– No tak...

Przez chwilę Witold w milczeniu obserwował pustą ulicę. Potem wolno przeniósł wzrok na inspektora.

– A nie pomyślał pan, że gdybym to ja zabił Wereszyńskiego, od razu wyjechałbym z Krakowa?

Kurz pokiwał głową.

– Panie Witoldzie, dajmy sobie spokój z wzajemnymi oskarżeniami – zaproponował.

Witold nie miał nic przeciwko temu.

– Mosze Stepowicz potwierdził pana zeznania – oświadczył inspektor. – Od samego początku nie miałem co do tego wątpliwości, ale... sam pan rozumie. Musiałem sprawdzić każdy ślad.

– Nie rozumiem – uciął Witold i znów obrzucił inspektora nieprzyjemnym spojrzeniem.

Kurz kaszlnął.

– Dobrze. Ma pan rację i powody do gniewu. Rzeczywiście, wczoraj podejrzewałem, że to pan może być...

– Mordercą? – dokończył za niego Witold.

– Tak. Miałem podstawy, aby tak sądzić...

– Ale żadnych dowodów. – Witold znów wszedł mu w słowo.

Kurz pokiwał głową.

– Przejdźmy do rzeczy – zaproponował.

Witold chętnie przystał na tę propozycję.

– Oczywiście. Nie przyszedł pan przecież bez powodu. Czego pan ode mnie chce?

Kurz odrzekł z ulgą:

– Wiem o Wereszyńskim zbyt mało. Zdobycie dodatkowych informacji zajmie trochę czasu. Pan prowadził jego sprawę. Siłą rzeczy sporo pan o nim wie.

Przez chwilę pomilczeli.

– Skąd pan wie o moich powiązaniach z Wereszyńskim?

Nurtowało go to od chwili, kiedy Kurz odwiedził go poprzedniego ranka.

– Służba powiedziała mi, że był pan ostatnio częstym gościem w pałacu. Przypuszczam, że nie łączyły panów żadne interesy. Zatem tajemniczą osobą, dla której pan pracował, a której tożsamość tak skrzętnie ukrywał, był nie kto inny jak Wereszyński.

Inspektor sprawnie złożył wszystko w całość. Zebrał informacje, przeanalizował je i wyciągnął odpowiednie wnioski.

– Podejrzewa pan kogoś? – spytał Witold.

Kurz pokręcił głową. Trudno było mu przyznać, że nie ma pomysłu, jak dalej poprowadzić śledztwo.

– Był w domu sam.

– Sam?

Witold nie potrafił ukryć zdziwienia.

– A jego żona?

– Od kilku dni przebywa w Paryżu – wyjaśnił inspektor.
– Więc jednak wyjechała. – Witold zamyślił się.
– Mąż miał do niej wkrótce dołączyć. Zdaje się, że to miała być taka sentymentalna podróż. Powrót do miejsca, gdzie się poznali. Podobno ostatnio nie układało się między nimi najlepiej.

Inspektor podumał przez chwilę.

– Pan ją znał?

Popatrzył na Witolda uważnie. Ten zwlekał z odpowiedzią.

– Tak...

Kurz zachęcił gospodarza, by mówił dalej.

Witold spojrzał na niego zirytowany.

– Jak dobra była to znajomość? – Kurz nie miał zamiaru tak łatwo ustąpić.

Witold niechętnie opowiedział o sprawie Wereszyńskiego, o zaginięciu jego żony i o poszukiwaniach. Pominął wątek Emilii, chcąc oszczędzić jej niepotrzebnych emocji. Nie wspomniał też o tym, co kiedyś łączyło go z Anną.

Kiedy skończył, na dłuższą chwilę zapadła cisza.

Inspektor wyczuł, że Witold nie powiedział mu wszystkiego, ale nie drążył dalej tematu. To, co usłyszał, w zupełności mu wystarczyło. Zdążył wyrobić sobie zdanie o rodzinie przemysłowca.

– Panie Witoldzie, pomoże mi pan?

– Mam inne plany.

Inspektor spojrzał na Witolda zaskoczony. Nie takich słów się spodziewał.

– Mogę wiedzieć, co to za plany? – spytał, źle kryjąc rozczarowanie.

– Osobiste.

Twarz Witolda pozostała bez wyrazu.

– Ach tak – mruknął Kurz.

Witold zdawał sobie sprawę, że wykrętna odpowiedź nie zadowoli inspektora. Wręcz przeciwnie – wzbudzi jeszcze większą ciekawość. Miał cichą nadzieję, że mimo to Kurz nie będzie zadawał następnych pytań.

Nie interesowało go, kto zabił przemysłowca. Chciał zamknąć w swoim życiu rozdział poświęcony Wereszyńskim i jak najszybciej wyrzucić to nazwisko z pamięci.

Mężczyzna

Był jak cień. Przemknął w nocnej mgle, która snuła się po ulicach Krakowa – im bliżej Wisły, tym gęstsza. Do pałacu w Dębnikach wkradł się wejściem dla służby, od strony ogrodu. Kiedy było już po wszystkim, równie cicho opuścił pałac.



Następnego dnia w skupieniu studiował popołudniową prasę. Gazety pomijały milczeniem zdarzenie w Dębnikach. Dopiero w „Czasie” znalazł, to czego szukał.

„Wczoraj w Dębnikach, w pałacu, został zamordowany Stanisław Wereszyński, znany przemysłowiec, który na początku roku przybył do nas z Lwowa i tak zasmakował w Krakowie, że wkrótce przeniósł tutaj swoje interesy. Lokaj znalazł ciało i od razu zawiadomił policję. CK Dyrekcja Policji zarządziła śledztwo. Prowadzi je ceniony inspektor Kurz, znany ze skuteczności w tropieniu wszelkich występków i zbrodni. Śmierć Wereszyńskiego to strata nie tylko dla miasta, lecz także dla hojnie wspieranego przez zmarłego Zakładu św. Józefa. Podopieczni zakładu zapewne licznie pojawią się na pogrzebie. Niejeden uroni łzę. Zawdzięczają bowiem Wereszyńskiemu wiele...”

W błękitnych oczach mężczyzny pojawiła się złość.

– Wiele – szepnął.

Odłożył gazetę na stolik.

Redaktor, który opisał całe zdarzenie, kierował się obiegowymi opiniami. Prawda była bardziej złożona.

Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiał, tym bardziej nabierał przekonania, że postąpił dobrze. Zrobił to, co należało.

Nie miał żadnych wyrzutów sumienia.

Wiedział jedno – przemysłowiec był człowiekiem bezwzględny, gotowym skrzywdzić każdego, kto stanie mu na drodze.

Ktoś musiał zakończyć rozpętane przez niego szaleństwo.

Ta myśl go uspokoiła.

Sięgnął po fajkę i napełnił ją tytoniem.

Potem długo siedział na ławeczce przed domem i przez dym patrzył na bawiące się w kałuży dzieci.

Nad Biskupią powoli zapadał zmrok.

Dwa różne światy

Od samego rana w mieszkaniu hrabiny Ledóchowskiej wyczuwalne było napięcie. Sięgnęło zenitu, kiedy po obiedzie Emilia zaczęła szykować się do wyjścia. Starsza pani z niepokojem patrzyła na przygotowania bratanicy. W końcu nie wytrzymała.

– Dokąd się wybierasz, kochanie?

Emilia nie odpowiedziała od razu. Czuła się już dobrze. Oczywiście ostatnie wydarzenia pozostawiły pewne ślady, ale starała się jak najszybciej odzyskać równowagę psychiczną. Nie należała do osób, które siedzą beczynnym w jednym miejscu.

– Ciociu, nie możesz zamykać mnie w klatce...

Ledóchowska pomilczała chwilę. W duchu przyznała jej rację. Emilia powinna wrócić do dawnego życia. W tej sytuacji wymusiła na bratanicy tylko jedno. Oprócz Marcysi, podczas spaceru miał jej towarzyszyć stangret.

Popołudnie było słoneczne i ciepłe.

Emilia szła Plantami wolno, z lekkością. Miała na sobie suknię z liliowego batystu i lekki płaszczyk. Głowę zakrywał delikatnie przybrany kapelusz. W dłoni, opiętej ażurową mitenką, trzymała parasolkę. Nie miała określonego planu czy miejsca, do którego zmierzała. Chciała zaczerpnąć świeżego powietrza, spotkać znajomych, porozmawiać z ludźmi.

W niewielkiej odległości podążał za nią stangret. Mężczyzna patrzył ponurym wzrokiem na przechodniów.

Minęli wybudowaną w stylu chińsko-szwajcarskim altanę z wodą sodową, firmy „Rządca i Chmurski”. Szyld i lampa naftowa z kulistym, mlecznym kloszem wabiły o zmroku swym pomarańczowym światłem. W okolicach altany starsi klienci pojawiali się na plotki. Dobrze nasłuchując, można było się tutaj dowiedzieć wszystkiego: gdzie, kto, z kim i dlaczego.

Altana, oprócz wody sodowej, oferowała także łakocie dla dzieci. Na ladzie stały słoje pełne landrynek, dropsów i sztolwerków.

Emilia nie zauważyła nawet, kiedy zbliżyła się do kawiarni Janikowskiego. Nieopodal, w muzycznej altanie, aż do późnej jesieni dawała koncerty orkiestra 13 Pułku Piechoty, zwana Dziećmi Krakowskimi.

Koncerty te gromadziły tłumy. Alejkami biegały dzieci, na ławeczkach siedziały mamy i starsi panowie. Kilka osób, dla których zabrakło miejsc, wspierało się na laseczkach lub parasolach, przysłuchując się melodiom.

Teraz w powietrzu unosiły się czyste dźwięki walca *Nad pięknym modrym Dunajem*.

Emilia przystanęła.

Marcysia westchnęła. W przeciwieństwie do swojej pani nie lubiła tych koncertów. Zanosilo się, że spędzą tu więcej czasu. Ze znużoną miną obserwowała widzów, czyniąc w myślach szczegółowe uwagi. Dostrzegała każde niedociągnięcie w ubiorze. Spodnie niewyprasowane w kant, plamkę na mankiecie, źle dopasowany żakiet.

Koncert ciągnął się w nieskończoność. Marcysia zasłoniła usta dłonią, ukrywając ziewanie. Patrzyła pod nogi na wędrującą ścieżką mrówkę. W pewnym momencie wyczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Uniosła głowę.

Po drugiej stronie ścieżki, nieco przysłonięty przez wysokiego mężczyznę, stał Witold Korczyński i patrzył w ich stronę. Nie podszedł, nie przywitał się. Było to do niego niepodobne. Zawsze układny, teraz zachowywał się z dystansem, jak zupełnie obcy człowiek.

Zerknęła na Emilię. Kobieta miała przymknięte oczy. Całą sobą przeżywała koncert. Pociągnęła ją za mankiet.

Wyrwana z zamyślenia Emilia spojrzała na nią z wyrzutem. Już chciała skarcić służącą.

Ale wystarczył jeden rzut oka na jej twarz, aby zrozumieć, że stało się coś szczególnego. Marcysia wskazała głową w stronę Korczyńskiego.

W pierwszej chwili Emilia zamarła w bezruchu. Nie spodziewała się go w tym miejscu. Zdumienie szybko zastąpił uśmiech. Zdecydowanym krokiem podeszła do mężczyzny.

– Miło mi panią widzieć. – Witold uściśnął jej drobną dłoń w rękawiczce.

– Pan tutaj? – spytała, kiedy ukłony mieli już za sobą.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Ciocia powiedziała mi, że pan wyjechał.

W jednej chwili Witold zrozumiał, dlaczego wysłane przez niego listki z prośbą o spotkanie pozostały bez echa. Pomyślał, że hrabina zatrzymała je, chcąc oszczędzić bratanicy dalszych niepotrzebnych emocji.

– Jestem panu winna podziękowania. Jeden Bóg wie, do czego zdolni byli ci ludzie.

Gdyby nie pan...

– Nigdy nie znalazłaby się pani w takiej sytuacji – uciął.

Przemawiała przez niego gorycz. Przez te wszystkie dni czuł się winny. Z jego powodu po raz kolejny Emilia znalazła się w centrum zdarzeń.

Słowa zaskoczyły Hornowską.

– Jest pan wobec siebie niesprawiedliwy.

Milczał.

Emilia długo biła się z myślami.

– Panie Witoldzie, ostatnio miałam bardzo dużo czasu. Zastanawiałam się nad pewnymi sprawami... – Zawahała się.

Czy to odpowiednia chwila, aby o tym mówić?, spytała samą siebie.

Tak, natychmiast przyszła odpowiedź.

– Panie Witoldzie – podjęła. – Czy my... – Znów urwała.

Miała nadzieję, że podchwyci jej myśl. Kiedy tak się nie stało, brnęła dalej:

– Czy pan i ja...

Jak trudno było znaleźć odpowiednie słowa.

– Czy moglibyśmy być razem? – wyrzuciła z siebie w końcu i poczuła wielką ulgę.

Witold sprawiał wrażenie zakłopotanego. Była piękną i mądrą kobietą. Bardzo ją cenił, ale...

– Nie jestem dla pani odpowiednią partią – powiedział cicho.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Mówi pan jak moja ciotka.

Pokiwał głową.

– Proszę w tym wypadku posłuchać jej rady. Ona najlepiej wie, co jest dla pani dobre.

A ja... – Płatał się. – Pani mnie nie zna. Nie wie pani, jaki naprawdę jestem.

Emilia uśmiechnęła się.

– Ależ to nie ma znaczenia. Czyż nie jest tak, że trzeba dać sobie szansę?

Szukała potwierdzenia na twarzy Witolda.

Znów długo milczał, zanim zdecydował się odpowiedzieć.

– Pani Emilio, pochodzimy z dwóch różnych światów...

Cicho wypowiedziane słowa w jednej chwili zgasiły tłącą się gdzieś w głębi duszy nadzieję. Emilia sama nie wiedziała, na co liczyła, rozpoczynając tę rozmowę. Na jej twarzy pojawił się smutek.

– Proszę o tym zapomnieć – szepnęła.

Zapadła cisza.

– Potrafi pan pomóc innym, ale sobie – nie – dodała jeszcze ciszej.

Spojrzała mu prosto w oczy. Oczekała chwilę, a kiedy nic nie powiedział, odwróciła się.

Witold nie próbował jej zatrzymać, mimo że wciąż brzmiały mu w głowie słowa: „Trzeba dać sobie szansę”.

Stał w miejscu i patrzył za oddalającą się Emilią. W końcu zniknęła mu z oczu. Ruszył w przeciwną stronę.

Pora wracać do Paryża, pomyślał.